



SIECI

KOGO UWIERA GLIK?
KULISY ATAKU NA PIĘKARZA
PROTEST MEDYKÓW
FINANSOWY LOT NA MARSA
ODBIORCY TVN
CHCĄ TYLKO PROPAGANDY?
CZY GOWIN IDZIE ŚLADAMI DORNA I MARGINKIEWICZA?

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 38 (460) 2021
20–26 września 2021
CENA: 6,90 zł (w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS:

**JACEK SARYUSZ-WOLSKI
O ATAKACH Z BRUKSELI**

JESTEŚMY POD ŚCIANĄ

**MUSIMY
SIEBIE
O POLSKĘ?**

I PYTA TUSKA:

**JAK MOŻNA TAK JAWNIE
ZDRADZAĆ SWÓJ KRAJ?**

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

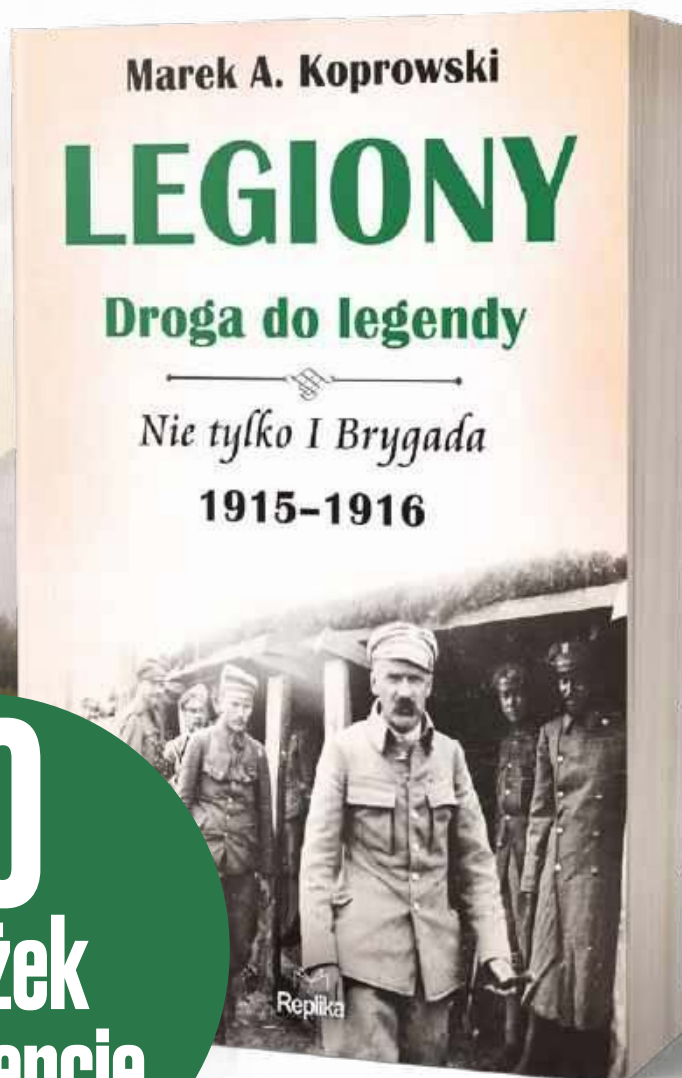


**TYLKO DLA PRENUMERATORÓW
WERSJI PAPIEROWEJ**

SIECI

**w SIECI
HISTORII**

Historia Legionów Polskich
w całej okazałości – od przełomu
lat 1914/1915 po początki roku
1916: I Brygada, komendant
Piłsudski i inne polskie oddziały



**50
książek
w prezencie**



Książkę „Legiony. Droga do legendy 1915–1916”
otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę pakietu:
tygodnik **SIECI** i magazyn **HISTORIA** za **280 zł**.

Zamów już dziś na:

www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o.,
ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9–16

Szaleńcy kontra normalsi

Seria sondaży z ostatnich dni nie pozostawia wątpliwości: Zjednoczona Prawica rozpoczęła nadrabianie strat po ciężkiej, pandemicznej i zdominowanej przez ideologiczną agresję lewicy jesieni. Przewyciężyła też próbę awansizacji/anarchizacji rządu przez Jarosława Gowina, odzyskując elementarną sterowność, choć za cenę zmniejszenia (sądzę, że czasowego) przewagi w parlamencie. W tym samym czasie ujawniły się zasadnicze słabości przywództwa sprawowanego przez Donalda Tuska po stronie opozycyjnej.

Taki mamy dziś, kreślony grubą kreską, ogólny krajobraz polityczny.

Warto jednak dostrzec, że w tle tych wydarzeń zdarzyło się – i nadal dzieje – coś, co może oznaczać zmianę dużo głębszą i co może w finale przynieść trzecią kadencję rządów obozu Jarosława Kaczyńskiego. To proces, który nazywam „odsłonięciem opozycji” – ujawnieniem jej prawdziwego programu i rzeczywistego stosunku do spraw dla każdego fundamentalnych. Polacy dowiedzieli się o kilku ważnych sprawach i plan pani Sylwii Spurek, by zakazać wędkowania (bo ryby cierpią), wcale nie jest najbardziej absurdalnym z nich. Opozycja jest za otwarciem granic dla każdego chcącego przez nie przejść, bez względu na to, czy jest migrantem ekonomicznym, czy handlarzem ludźmi. Media zaprzyjaźnione z opozycją nie mają hamulców (albo rozumu) przed powielaniem propagandy białoruskiej. Ma plan likwidacji 870 z 1000 szpitali. Jej twarzą gospodarczą znowu jest Leszek Balcerowicz, autor okrutnej terapii szokowej z lat 90. Opozycja chce też „opiłowywać katolików”, by „już nigdy nie podnieśli głowy”, i uważa, że Polacy byli sprawcami niemieckich zbrodni.

Wszystko to wybrzmiało w ostatnich tygodniach tak mocno, tak jednoznacznie, chwilami tak wulgarnie, z tak ważnych ust i tak przekonująco, że dotarło do najdalszych zakątków Polski.

Nawet w oczach ludzi mających ostatnio rozmaite pretensje do obozu rządzącego (co naturalne w sytuacji sprawo-

wania władzy) stał się on oazą spokoju, umiarkowania, przewidywalności i bezpieczeństwa.

Ale jeszcze ważniejsze jest to, że partia Jarosława Kaczyńskiego i rząd premiera Mateusza Morawieckiego włożyły dużo wysiłku, by być nie tylko wyborem mniejszego zła. Pokazano program pozytywny, rozbity na konkrety, z jasnym harmonogramem wdrożenia. Po odejściu Gowina udało się odkręcić kłamstwa o rzekomym wzroście podatków wskutek Polskiego Ładu, a tam, gdzie obawy były nadal silne, dokonano korekty. Oplacił się kurs konsekwentnie prorozwojowy, prorodzinny i propolski. Jesienne załamanie sondaży nie zostało uznane za rzekomy początek końca, ale naturalne w sytuacji tak silnych napięć wahnięcie, możliwe do skorygowania upartą pracą. I tak się stało, zgodnie zresztą z analizami prezentowanymi na portalu wPolityce.pl, wbrew opiniom sugerującym jakąś „utrata słuchu przez partię rządzącą”.

Ten proces radykalizacji i kompromitacji opozycji z jednej strony oraz rządu twardo stąpającego po ziemi z Polskim Ładem i stabilnością na sztandarach z drugiej tworzy zupełnie nową linię podziału politycznego i społecznego. Szaleńcy kontra normalsi, rewolucjoniści kontra obrońcy zasad elementarnych, likwidatorzy kontra rozwojowcy, zamordyści kontra wolnościowcy, kopertowcy kontra uczciwi.

Czy Zjednoczona Prawica wykorzysta tę szansę? Mimo przewagi medialnej przeciwnika, zdolnego do zakłamania wszystkiego, ma ogromną szansę. Powtarzam: opozycja się odsłoniła tak głośno i tak wulgarnie, że trudno to będzie odkręcić. Tym bardziej że powracający Tusk okazał się politykiem wyjąłowym, wtórnym i – co najważniejsze – jeszcze bardziej leniwym, niż był w momencie wyjazdu.

Ale są warunki. Trzeba mocno pracować nad językiem i „opowieścią”, które te różnice pokażą. Konieczna jest jedność, pokora i odrzucenie egoizmów rozmaitych grup. Z taką samą siłą muszą też pracować dwa podstawowe

silniki obozu: modernizacyjny i tożsamościowy. Bo o ile na rzecz obozu rządzącego pracują wspomniane wyżej czynniki radykalizacji opozycji i pozytywne skutki wdrażanych przez rząd programów, o tyle przeciw sobie ma falę demoralizacji i wspieranego z zewnątrz ideologicznego ataku na fundamenty polskości. Takie fale zmywały w przeszłości w Europie niejednego konserwatywny rząd, dobrze radzący sobie z wyzwaniem gospodarczymi i społecznymi. Mimo to szansa jest ogromna.

Michał Karnowski


40

**Trudna sztuka
kompromitacji**
Dorota Łosiewicz


48

**Z Mariuszem Pilisem
rozmawia Piotr
Filipczyk**


62

**Ustawione wybory
do Dumy**
Marek Budzisz

NA POZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 BACHORY PLATFORMY**
Krzysztof Feusette
- 9 NIE ICH WINA**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 DUMNA HARTA**
Jan Pietrzak
- 12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 W SOCZEWCE PANDEMII**
Bronisław Wildstein
- 14 WALIZKA AGNIESZKI KOCIĄK**
Michał Korsun
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 WF, CZYLI WAŻNA LEKCJA**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 SĘDZIOWIE, OCZYŚĆCIE SIĘ SAMI**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

- 20 Z JACKIEM SARYUSZ-WOLSKIM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowsky

KRAJ

- 26 LEKARSKI LOT NA MARSA**
Jan Rokita
- 30 PRZEMINĘŁO Z GOWINEM**
Stanisław Janecki
- 34 HUMANISTYCZNA
OFENSYWA CZARNKA**
Jakub Augustyn Maciejewski
- 36 KOGO UWIERA GLIK?**
Konrad Kołodziejski
- 40 TRUDNA SZTUKA KOMPROMITACJI**
Dorota Łosiewicz
- 44 JAK WYCHOWAĆ BUNTOWNIKA
BEZ POWODU**
Goran Andrijanić
- 46 DOBRZE SFORMATOWANI**
Marek Pyza, Marcin Wikło
- 48 Z MARIUSZEM PILISEM**
rozmawia Piotr Filipczyk
- 52 DYLEMAT ŚMIGŁOWCOWY**
Rozmowa z Vinc'em Tobinem

OPINIE

- 54 DEMORALIZACJA ZACHODU
ZAGROŻENIEM DLA NASZEGO
BEZPIECZEŃSTWA**
Bernard Margueritte

- 56 MANOWCE HISTORII, CZYLI
O ODWRACANIU KOTA OGONEM**
Marek Kornat, Mariusz Wołos

- 60 COVID DZIELI**
Adam Skowron

ŚWIAT

- 62 USTAWIONE WYBORY DO DUMY**
Marek Budzisz
- 66 ŚRODKOWOEUROPEJSKA
PODRÓŻ FRANCISZKA**
Grzegorz Górny
- 69 OSTATNI PODRÓŻNIK
PRZESZŁYCH CZASÓW**
rozmowa z Jackiem Palkiewiczem

SIECI KULTURY

- 73 OD WENECJI DO GDYNI**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 76 NADZIEJE I NIEPOKOJE**
Adam Ciesielski
- 80 WSZYSTKIE PACHAMAMY
TEGO ŚWIATA**
Robert Tekieli
- 81 WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 82 CZYTANIE JAKO SPORT
EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski
- 84 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

GOSPODARKA

- 85 XXX FORUM EKONOMICZNE
W KARPACZU**
Dodatek specjalny

KUCHNIA

- 98 MOJE SMAKI: ARKADIUSZ
SMOLEŃSKI**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 99 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 100 W MEDIALNEJ BREI**
Hanna Karp
- 102 WRZEŚNIOWE MEMENTO**
Alina Czerniakowska
- 103 W POLSCE, CZYLI NIGDZIE**
Lech Makowiecki
- 103 ROMANS Z SZYMPANSEM**
Piotr Cywiński
- 104 TYLKO HISTORIA**
Wiktor Świątlik
- 104 POLSKA BĘDZIE!**
Tomasz Łysiak
- 105 BY NOWYCH ŚWIĘTYCH
DO KALENDARZA...**
Leszek Długosz
- 106 UPADEK POWAGI ZACHODU**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie



ORLEN

Soki prosto Z NATURY



TŁOCZONE PROSTO Z OWOCÓW, BEZ KONSERWANTÓW

eprasa.pl/e1be62e630

stop
cafe

Sygnalista nadaje

Maciej Gdula, poseł Lewicy: „Po odsunięciu PiS-u od władzy bardzo chciałbym, żeby przynajmniej w mediach publicznych nie było transmisji live przyszłej kanonizacji Wyszyńskiego. Wystarczy wzmianka w wieczornych »Wiadomościach«. Czy to pragnienie to już zamach na tożsamość narodową?”. Nie, to tylko pogarda – i wobec historii, i wobec wierzących.

To także błąd polityczny, na co zwrócił uwagę Tomasz Lis: „Brak szacunku dla katolików i ich uczuć to – poza wszystkim – wielki prezent dla PiS-u. Kto tego nie rozumie, wyborów w Polsce nie wygra nigdy. Doskonale to rozumiał Kwaśniewski i dlatego dwa razy wygrał. W Polsce możesz być niewierzący – no problem, ale jeśli katolicy uznają, że ich nie szanujesz, patrzysz na nich z góry i z antypatią, to forget it”. Lewicowi liberałowie z „Newsweeka” też mają w tej sferze spore zasługi.

Najdalej w atakach na Prymasa Tysiąclecia poszła **Klaudia Jachira**, posłanka Koalicji Obywatelskiej: „Faszysta i antysemita (ot, błędy młodości) wynoszony na ołtarze przez obrońców pedofilii (kto nie ma pokus?) podczas stanu wyjątkowego – do obejrzenia na wszystkich kanałach”. Wpis obrzydliwy, ale warto znać prawdziwą twarz młodego pokolenia polityków Platformy Obywatelskiej. Wcześniej czy później te dzieci zaatakują także swoich politycznych rodziców.

Jachirze odpowiedział Roman Giertych: „Stefan Wyszyński

Brytyjski lewicowy dziennik „The Guardian” przeprowadził internetową, tekstową relację z meczu Polska–Anglia. Znalazł się w niej taki oto passus: „Operator kamery w dalszym ciągu kieruje obiektyw na dzieci wśród kibiców. Nie wiem, czy celowo wyszukują najbardziej aryjsko wyglądających młodych, czy wszystkie dzieci w Warszawie okazują się blondynami”. Dylematu nie rozstrzygnął. Cóż, w czasie kolejnych spotkań reprezentacji część dzieci trzeba będzie nieco przyciemnić. Może taki gest dobrej woli zadowoli fanatyków różnorodności z Wysp Brytyjskich?

najpierw czynnie walczył z faszystowskim nazizmem (pod gradem kul), potem więzieniem zapłacił za walkę z sowieckim komunizmem, m.in. po to, aby pani poseł mogła powiedzieć każdą bzdurę, jaka się jej podoba. Gratuluję kolejnego prezentu dla PiS”. Względem taktyczne to za mało, by powstrzymać opozycyjną ekstremę. Tu trzeba czegoś więcej. Przede wszystkim autorefleksji. Jachira znikąd się nie wzięła.

Donald Tusk o swoich rozmowach z kanclerz Niemiec w sprawie Nord Stream 2: „Angela Merkel bardzo często w rozmowach w cztery oczy mówiła: »Tak, ja wiem, że to jest złe dla Unii Europejskiej«, i że to nie ona podejmowała pierwotną decyzję, ale decyzja już jest na takim etapie, że ona nie może się z tego wycofać”. Lojalny podwładny. W cztery oczy zwrócił uwagę na problem, ale publicznie już nie śmiał o nim wspomnieć.

Jeszcze jeden cytat z wywiadu byłego premiera, obecnie szefa PO, także o gazociągu: „Mówiłem to wiele razy, jako szef Rady Europejskiej, jako polski premier – uważam, że to jest błąd, i to błąd z kategorii niewybaczalnych, bo z bardzo poważnymi konsekwencjami; błąd wynikający z egoistycznie rozumianych niemieckich interesów”. Ciekawe – to Niemcy realizują „egoistyczne interesy”? Skoro robią to w sprawie Nord Stream 2, to zapewne w innych obszarach też nie są święci? Dobrze wiedzieć.

Media podały, że Tusk zamierza wezwać na dywanik posłów, którzy szaleli przy granicy polsko-białej.

ruskiej. „Bo nie może być tak, że posłowie sami sobie kreują politykę zagraniczną. Na pewno Franciszek Sterczewski jest największą gwiazdą całej tej sytuacji. Kiedy widzi kamery, traci zdrowy rozsądek. Nie zgadzamy się na coś takiego” – powiedział anonimowo polityk związany z PO. Każdemu wolno się nie zgadzać, ale mleko już się rozlało. Tych nagrań nie da się wymazać.

Partia nie zgadza się ze Sterczewskim, a Sterczewski nie zgadza się z partią. Zamieścić „małe sprostowanie”: „Nie dostałem zaproszenia na dywanik od Donalda Tuska, lecz to ja się zgłosiłem z prośbą o rozmowę. Wierzę, że dzięki sercu młodych i doświadczeniu starszych uda się wygrać z PiS-em i zmienić ten kraj na lepsze”. Cóż, bywają mieszanki, które nie tyle niosą naprzód, ile wybuchają w rękach.

Prawdziwą burzę wywołały słowa **Marka Suskiego** z Radomia. Polityk PiS miał stwierdzić: „Polska walczyła w czasie II wojny światowej z jednym okupantem, walczyła z okupantem sowieckim, będziemy walczyć z okupantem brukselskim”. Później tak tłumaczył się z tych słów: „Użyłem ostrych słów po to właśnie, żeby dotarło to do Brukseli, że my się nie zgodzimy na takie traktowanie, bo nie jesteście podludźmi”. Kto wie, może to jedyna droga?

Jarosław Gowin rozstania z Unią się nie boi: „Ja się nie boję polexitu, bo uważam, że Polacy są proeuropejskim narodem w mądry sposób” – ocenia. Zaznacza jednak, że słowa polityka PiS o „brukselskim okupancie” nie są przypadkowe: „O różne rzeczy można Suskiego podejrzewać, ale nie o to, że wychodzi przed szereg. Jestem przekonany, że słyszał takie słowa, tego typu retorykę, na Nowogrodzkiej”. Pewności nie ma. Posła Suskiego nie należy nie doceniać.

Radosław Sikorski podzielił się z czytelnikami „Polityki” taką oto refleksją: „Prawda jest dość prosta i logiczna: stopień korzyści zależy od stopnia integracji. Więcej integracji, więcej korzyści. A mniej, to mniej”. Dodał, że Unia Europejska „jest dla Polski rozwiązaniem dylematów geopolitycznych, które były przez wieki naszym przekleństwem”. Na pytanie: „Co, jeśli jednak tak nie jest?”, nie odpowiedział, bo go nawet nie postawił. Po co zawracać sobie głowę rzeczywistością, skoro można wierzyć w bajki, która to wiara może pomóc w karierze?

Waldemar Buda, wiceminister funduszy i polityki regionalnej i poseł PiS, postawił



ciekawą tezę: „Po kilku sondażach potwierdza się absolutnie przewrotna teza, że Porozumienie w Zjednoczonej Prawicy nie tylko nie przynosiło żadnej wartości dodanej, ale wręcz obniżało poparcie”. To niemożliwe, żeby Jarosław Gowin nic nie dodawał Zjednoczonej Prawicy. Gdyby tak było, bardzo źle świadczyłoby to o polskim społeczeństwie. Bardzo źle.

Ludwik Dorn ma pomysł, jak obalić rząd. Trzeba złożyć propozycję posłom PiS – takim, którzy wiedzą, że nie znajdują się na listach wyborczych: „Dla siedmiu czy dziesięciu z was, którzy zagłosują za naszym antypisowskim rządem, znajdą się synekury dla żony, szwagrow, i to za parędziesiąt tysięcy miesięcznie. No to jak ma się perspektywę, że rodzina będzie dostawała po 20 tys. zł miesięcznie jeszcze przez dwa lata, a od Kaczyńskiego to dostaną ucho od śledzia, to rezultat polityczny takiej kalkulacji jest oczywisty. PiS i pan Kaczyński, moim zdaniem, tego nie przeżyją”. Potwierdza się, że po przejściu do obozu III RP ludzie nie tylko pięknieją, ale i szlachetnieją.

Grzegorz Braun wszedł na sejmową mównicę, powitał zgromadzonych staropolskim: „Szcześć Boże!”, i zaatakował ministra zdrowia Adama Niedzielskiego: „Niech Pan Bóg ma nas w swojej opiece, póki za tę dziedzinę aktywności naszego państwa odpowiada człowiek, zajmujący miejsce nieestety nie w ławie oskarżonych, a ławie rządowej. Akt oskarżenia, kiedy wróci Rzeczpospolita z całą swoją mocą, będzie zawierał informację o tysiącach zgonów nadmiarowych”. To nie koniec: „To są straty wojenne, ludzie którzy odpowiadają za te straty wojenne, są zbrodniarzami” – ciągnął dalej, a na koniec rzucił: „Będziesz pan wisiał!”. Braun, Jachira, Sterczewski – różne kostiumy, cele te same.

Dział gospodarczy „Gazety Wyborczej” zamieścił rozmowę z ekonomistą Janem Gromadzkim, który zbadał skutki wprowadzenia programu 500+. „Największy relatywny wzrost wydatków odnotowaliśmy nie w kategorii zakupu alkoholu czy papierosów, ale sprzętu RTV i AGD oraz w turystyce i edukacji. Wielu rodzinom 500+ pozwoliło na nabycie pierwszej w życiu zmywarki. W tym sensie ten program faktycznie dał wielu rodzinom poczucie godności – tak, jak to było reklamowane przez rząd” – mówi ekonomista. Cenne. W innych sprawach rząd PiS też ma rację.

Bachory Platformy

Proszę bardzo, proszę bliżej, przecież ja nie gryzę, prawda? Przepuście, panowie, panią Klaudię, żeby nam nie uciekła do tyłu, bo ja nie lubię mieć takich ludzi za plecami. A pan, panie Franku, co tak nieśmiało? Tak, ja wiem, że wołałby pan siedzieć przy drzwiach. Nie, pani Klaudio, wogóle nie będzie obiadu, więc wegetariańskiego również nie. O, i są nasi bohaterowie z kreskówki... Jak to jakiej, nie oglądaliście „Sąsiadów”? A ja przecież nie mówię, że jest fizyczne podobieństwo, zresztą, mnie też do księcia na białym koniu porównywano, więc nie ma o co się obrażać. Widzę, że wy zawsze razem? Każdą akcję, konferencję, wyjazd, przyjazd i odjazd? Pytam, bo mówi się czasem, że co dwie głowy, to nie jedna, a u was to jakoś nie znajduje przełożenia. Przykra sprawa, nie lekceważę jej.

Jak wiecie, zapowiedziałem w mediach, że przez najbliższe kilka tygodni będę ciężko pracował, a nawet harował jak wół, by przywrócić dyscyplinę w naszej partii. Tak, wiem, pan Franek z panią Klaudią nie są w Platformie, ale są w klubie, który jest nasz, więc to, co robią, wystawia świadectwo nam wszystkim... Pani Klaudio, czego pani tam szuka? To jest schowek na odkurzaczy. Przebrać się pani chciała?

A za kogo? Nie może pani powiedzieć? No i fajnie, bo to nam daje możliwość bezpośredniej reakcji na pani działania. A zatem komunikuję pani przy świadkach, że jeśli natychmiast nie posadzi pani czterech liter z powrotem na krzesło i nie zamieni się pani w słuch, to słuch po pani zaginie szybciej, niż pani lalkę na kijek zakłada! Baczność! Spocznij! Milczeć! I żadnych happeningów do odwołania, bo urwę warkocz i wrzucę do Wisły. A jak zobaczę w pobliżu granicy, jakiegokolwiek, niech to będzie nawet granica województwa czy powiatu, to własnoręcznie wywiozę na Białoruś... Panie Franku, co się dzieje? Pan też nie potrafi usiedzieć pięciu minut? Co pan ma? Owsiki? Jakie klopsiki? Wegetariańskie? Jachira, siadać! A dla kogo? A gdzie pan tu widzi uchodźców? Nie, nie pojedzie pan z nimi na granicę. I tak by wystygły. Prawda, koledzy? Halo, papużki nierozłączki! Do was szczególnie apeluję o jedno: jeśli któryś widzi, że ten drugi ma pomysł tak totalnie debilny, że aż będzie chciał go zrealizować, niech go weźmie i powstrzyma. Albo zadzwoni do mnie. To nie będzie żaden donos, tylko przejaw obywatelskiej troski o kondycję wózka, na którym jedziemy, i gałęzi, na której siedzimy... Panie Franiu, czemu pan płacze? W co pan się uderzył? A kto panu kazał to przeskakiwać? Jaki lekarz? Zalecił ćwiczenia? Ale z workiem? Panie Franciszku, jeśli mogę tak się do pana zwracać, a chyba mogę, bo pan ewidentnie potrzebuje duchowego ojca i guru, który przeprowadzi pana skołataną duszę przez meandry polityki



KRZYSZTOF FEUSETTE

parlamentarnej, pan musi mieć lepsze buty. Bo na razie za krótki pan jest w sznurowadłach. Ja, oczywiście, pamiętam, że pan chciał, abym nosił panu ulotki, niestety, teraz narobił pan nam obciachu jeszcze większego.

Czas na wolne wnioski. Oczywiście, moje, nie wasze. Propozycja dla państwa jest taka: wy nie biegacie jak kot z pęcherzem albo pan Szczerba po Krynicy, a my was, na razie, nie wygaszamy całkowicie. Pan Franio będzie od teraz, ale już poza Sejmem, przygotowywać się na igrzyska olimpijskie za trzy lata. Może się tam pokazać choćby w rzucie młotem, o ile, oczywiście, znajdzie wcześniej młociarza. Nie, panie Franiu, biathlon odpada. Co do nierozłączek, to proszę, abyście jeszcze dziś zatrudnili się w jakiejś pizzerii jako dostawcy. Możecie rozwozić na tandemie, jakbyście się bali rozdzielić. Będziemy udawać, że to wszystko było dla jaja, nie dla pizzy. A pani Klaudia nakręci film. Tak, może to być mongolski horror, jeśli w tym czuje się pani najlepiej.

Na koniec pragnę zakomunikować państwu to samo, co wszystkim pozostałym frakcjom w naszej partii, które mam zamiar przesłuchać w związku z wdrożeniem programu nowej dyscypliny. Zdradzę wam przy okazji, że was nazwałem „PIP-y”, od „pożyteczni idioci Putina”. No, więc przekaz jest jasny: idziemy po zwycięstwo. Nad złem. Nasze hasło brzmi: „PiS to zło!”. Zapamiętacie? Daliście radę ogarnąć osiem gwiazdek, to osiem liter też chyba dacie?

Niestety, tak się podczas mojej nieobecności porobiło, że samym antypisem nie da się już wygrać z PiS-em i dlatego musimy powoli, zdecydowanie, ale dyskretnie, przepoczwarzać się w PiS-bis. Stąd moje potępienie dla Nord Stream 2, choć wcześniej milczałem, gdy Angela szeptała, że to, co robimy, jest złe dla Europy. I uwierzcie mi na słowo, zwłaszcza że mówię szczerze: wiem, ile walczyliście – i wy tutaj zebrani, i wszyscy nasi najważniejsi działacze z przewodniczącym Budką na czele – żeby zablokować fundusze unijne dla Polski. Mam świadomość, ile potu, i to brzydko pachnącego, wlewali z siebie Róża Thun, Ela Bieńkowska, Rafał Trzaskowski, Darek Rosati i wielu innych Europejczyków polskiego pochodzenia – aby Unia zakręciła Polsce kurek. Jak wiecie, to się na razie nie udało. Słucham? Panie Franiu, gdybym ja mógł tam cokolwiek załatwić, to na pewno nie byłaby to kasa dla Polski. A co miałem powiedzieć? Że mi karta wejściowa do Brukseli wygasła? To już chyba lepiej rzuć patriotę, prawda? Nie, pani Klaudio, nie potrzebuję pily... Tak, wiem, że Nitras ma... Dobrze, wystarczy... Panie Franiu, gdzie pan biegnie?! Tam jest próg. No i widzi pan? W wyborach może być tak samo.

W jednej z warszawskich szkół średnich doszło do dramatycznej próby samobójczej. Chłopiec targnął się na swoje życie w szkolnej toalecie. Na szczęście nie zamknął drzwi. Może w ten sposób tylko postanowił zawołać o pomoc, może nie chciał umrzeć. Przyjechało pogotowie, dziecko odratowano. Wstrząśnięci uczniowie szybko przekazali historię przyjaciółom z innych szkół i tak, od dzieci, historia trafiła do mnie.

Nie znam motywów, które kierowały tym chłopcem, wiem jednak, że eksperci od lat alarmują o ogromnych problemach psychicznych młodych ludzi. 3–5 proc. nastolatków cierpi na depresję, a około 20 proc. osób do 18. roku życia doświadcza przynajmniej jednego jej epizodu. Można zatem założyć, że w każdej 30-osobowej klasie uczy się jedna lub dwie osoby z chorobowo obniżonym nastrojem.

Z danych wynika, że tygodniowo dwoje lub nawet troje nastolatków i młodych dorosłych (statystyki obejmują populację od 12. do 25. roku życia) ginie w wyniku podjętej, skutecznej próby samobójczej. Na stare problemy nałożyły się pandemia i lockdown. Z taką niepewnością, strachem o przyszłość młodzież wcześniej się nie mierzyła. Skutki zdalnej, przedłużającej się edukacji dla psychiki dzieci są opłakane. Z badań prowadzonych podczas lockdownu wynikało, że z powodu czasu spędzanego przed komputerami i lęku ponad 60 proc. dzieci zaczęło cierpieć na bezsenność, miało poczucie izolacji i frustracji. 43 proc. badanych myślało o śmierci, 75 proc. martwiło się o przyszłość. Wraz z powrotem dzieci do szkół nie skończyły się wszystkie problemy. Eksperci ze Środowiskowego Centrum Zdrowia Psychicznego dla dzieci i młodzieży Warszawa-Bielany alarmują, że nie dla wszystkich dzieci powrót do szkoły po długiej przerwie może być równie łatwy i równie przyjemny, a rodzice powinni uważnie obserwować swoje pociechy. Co powinny ich zaniepokoić?

- Unikanie rozmów o szkole i na temat spędzonego dnia
- reagowanie wycofaniem.

Nie ich wina

Można założyć, że w każdej 30-osobowej klasie uczy się jedna lub dwie osoby z chorobowo obniżonym nastrojem

„nie obchodzi mnie to”, „to bez sensu”.

– Postawa pełna poczucia niesprawiedliwości, nieuczciwego traktowania, zignorowania potrzeb, pominięcia czy odsunięcia.

– Utrata apetytu lub nadmierny apetyt.

– Symulowanie różnego rodzaju dolegliwości lub nasilenie objawów somatycznych, np. bóle głowy, bóle żołądka.

Co mogą zrobić rodzice, by pomóc? Zdaniem terapeutów kluczowa jest obecność. Ważne, by być blisko dziecka, być częścią jego uczniowskiego życia, istnieć w życiu szkoły jako rodzic, mieć kontakt z nauczycielami, pomagać w nauce, ale też pamiętać o dawaniu samodzielności i egzekwowaniu obowiązków, które ma każdy uczeń. Motywować do nauki poprzez rozmowę pokazującą perspektywę nauki i jej braku. Rozmowa o konsekwencjach decyzji czy postawy jest ważna, ponieważ dzieci i nastolatki rozwijają ograniczone możliwości przewidywania rezultatów swoich działań w odległej przyszłości. A gdy rodzice czują, że sobie nie radzą, że dzieje się coś złego, powinni szukać pomocy fachowców. To żaden wstyd prosić o pomoc, a można uniknąć tragedii. Czasem słyszę, że dzisiejsza młodzież jest miękka i delikatna, że brak jej dzielności przodków. Gdy kiedyś rozmawiałam o tym z córką, zapytała: „Mamo, a czy to nasza wina, że ktoś wymyślił smartfony, internet, społecznościówki, gry? Żyjemy w takim świecie, jaki nam stworzyliście”.

Dorota Łosiewicz



Śmierć ważnego świadka

Greckie władze poinformowały na początku ubiegłego tygodnia, że wdrożyły oficjalne śledztwo w sprawie katastrofy lotniczej w okolicach wyspy Samos. Rozbiła się tam awionetka marki Cessna, którą leciał Haim Geron z żoną. Geron to były wysokiej rangi urzędnik w izraelskim ministerstwie telekomunikacji, a przy okazji ważny świadek oskarżenia w sprawie o korupcję, którą wytoczono byłemu premierowi Beniaminowi Netanjahu (na zdj.). Proces ruszył właśnie po trzymiesięcznej przerwie.

Spośród czterech głównych zarzutów obejmujących przyjmowanie korzyści majątkowych, nadużycie władzy i naruszenie zaufania publicznego najpoważniejsze oskarżenia przeciwko Netanjahu określone są mianem sprawy Bezeq-Walla i dotyczą lat 2014–2017, gdy pełnił on równocześnie funkcję premiera oraz ministra telekomunikacji. W tym czasie, jak dowodzi prokuratura, Netanjahu oraz członkowie jego rodziny i sztabu wyborczego wpływali na treść i czas publikacji artykułów ukazujących się na portalu informacyjnym Walla należącym do Shaula Elovitcha, właściciela firmy telekomunikacyjnej Bezeq. W zamian Elovitch miał uzyskiwać korzystne decyzje związane z jego biznesem telekomunikacyjnym, a agencje rządowe utrudniały życie jego konkurencji.



Izrael

Jak zeznał były redaktor naczelny portalu Ilan Yeshua, współpraca między Elovitchem a Netanjahu zaczęła się po ich prywatnym spotkaniu zorganizowanym w grudniu 2012 r. Niedługo potem Yeshua zaczął otrzymywać od właściciela portalu dokładne instrukcje, co i gdzie publikować na temat Netanjahu oraz jego partii politycznej.

Obrońcy byłego premiera nie kwestionują faktu wpływania na publikacje zamieszczane na portalu Walla, bo te w obliczu przedstawionych dowodów (setki maili, SMS, zeznania świadków) trudno obalić. Twierdzą jednak, że działalność Netanjahu nie wykraczała poza normalne i będące na porządku dziennym w Izraelu relacje świata polityki z mediami. Obrońcy podważają też zarzut, że Netanjahu odwodził się Elovitchowi za przychylną w mediach preferencjami w branży telekomunikacyjnej. Właśnie w tej kwestii zeznania niespodziewanie zmarłego w Grecji Haima Geron mogłyby się okazać bardzo istotne. **///**

Marek Budzisz

Talibowie i studentki

Afgańscy talibowie próbują przekonać świat, że są mniej radykalni od swoich poprzedników, którzy utracili władzę w wyniku interwencji NATO w 2001 r. Właśnie ogłosili, że zachowają prawo kobiet do edukacji, w tym także wyższej.

Podczas rządów talibów w latach 1996–2001 kobiety w ogóle nie mogły się uczyć. Nie miały też prawa uczestniczyć w życiu publicznym. Teraz ma być inaczej. Uniwersytety, podobnie jak studia podyplomowe, pozostaną otwarte dla kobiet, jednak pod kilkoma warunkami. Po pierwsze, nie będzie koedukacyjnych zajęć, po drugie, studentki nie będą mogły brać udziału w wykładach prowadzonych przez mężczyzn, a po trzecie, ich obowiązkowym strojem będą hidżaby.

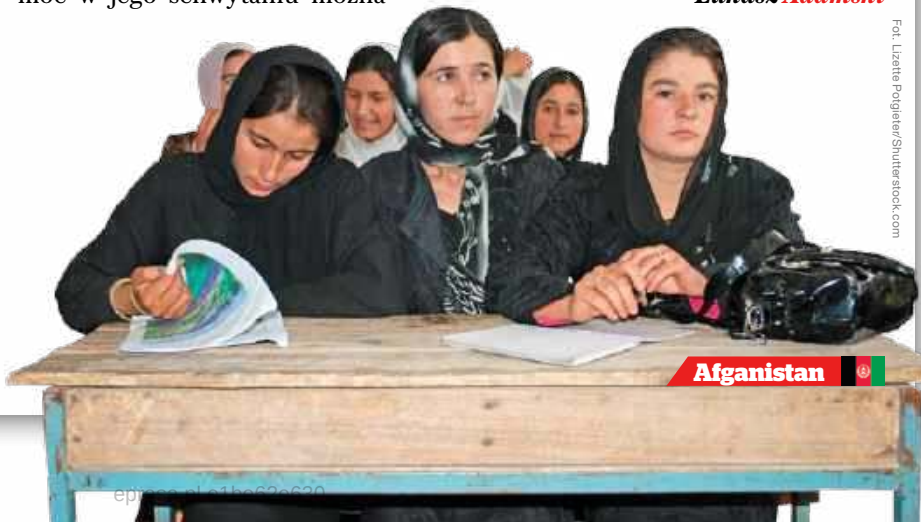
Minister szkolnictwa wyższego talibów Abdul Baqi Haqqani zapewnił, że nie będzie powrotu do polityki sprzed 2001 r. „Będziemy budować na bazie tego, co dziś istnieje” – stwierdził. Jednak niektórzy komentatorzy nie dowie-

rzają tym słowom, zwracając uwagę, że w obecnym rządzie zasiada wielu prominentnych działaczy ruchu talibów sprzed 20 lat, w tym liczni przedstawiciele siatki terrorystycznej Haqqani (to nazwisko często się powtarza), a na czele gabinetu stoi mułła Mohammad Hassan Akhund wpisany na czarną listę ONZ. Wskazuje się też, że minister spraw wewnętrznych Sirajuddin Haqqani jest formalnie poszukiwany przez FBI. Za jego głowę wyznaczono nagrodę w wysokości 10 mln dol. Jego wuj Khalila Haqqaniego, który jest ministrem ds. uchodźców i uchodzi za lidera siatki Haqqanich, również ściga FBI. Za pomoc w jego schwytaniu można

dostać 5 mln dol. Ponadto czterech ministrów rządu talibów było więźniami w Guantanamo. Zwolniono ich w 2014 r. w ramach wymiany za pojmanego przez talibów sierżanta amerykańskiej armii Bowe'a Bergdahla.

Komentatorzy zauważają, że przed przejęciem władzy przez talibów afgańskie uczelnie były pełne studentek. Na uniwersytetach w Heracie i w Kabulu studiowało więcej dziewcząt niż chłopców. Na razie obostrzenia są stosunkowo mało dotkliwe. Jednak zważywszy na skład obecnej ekipy talibów, nie ma żadnej gwarancji, że młode Afganki nie podzielą tragicznego losu swoich matek. **///**

Łukasz Adamski



Afganistan



Policja nienawiści

Hiszpania

Hiszpania znowu w awangardzie postępu. Socjalistyczne władze tego kraju zamierzają powołać wyspecjalizowane komórki śledcze zwalczające „przestępstwa z nienawiści”. Takie zespoły mają powstać przy oddziałach Guardia Civil oraz policji. Ich zadaniem będzie tropienie i wylapywanie osób dopuszczających się przemocy fizycznej lub werbalnej z powodów etnicznych, rasowych oraz światopoglądowych. Śledczy będą współpracować z organizacjami pozarządowymi, które mają im m.in. zgłaszać przypadki takich przestępstw.

Zdaniem władz hiszpańskich liczba przestępstw z nienawiści od 2014 r. wzrasta corocznie średnio o 6 proc. Można się tu doszukać, choć nie powiedziano tego wprost, sugestii, że za wzrostem tego rodzaju przestępstw stoi prawicowa partia Vox, która powstała w grudniu 2013 r. i jej rosnąca popularność stoi dziś kością w gardle rządzącej lewicy. Niewykluczone więc, że „policja nienawiści” może się stać instrumentem rządu w walce z konserwatywną konkurencją.

Zapowiedź powołania nowych struktur policyjnych zbiegła się w czasie z nagłośnionym przez media przypadkiem okaleczenia młodego geja. Dwudziestolatek, który trafił do szpitala z ranami obu pośladków (wycięto na nich nożem sprośne napisy), opowiedział zaniepokojonym lekarzom, że w biały dzień w centrum Madrytu napadła na niego ośmioosobowa grupa zakapturzonych homofobów, która zdjęła mu spodnie i pokaleczyła nożem. Natychmiast rozpoczęto poszukiwania sprawców, a władze – w tym minister spraw wewnętrznych Fernando Grande-Marlaska – wykorzystali incydent do ataku na partię Vox, której zarzucono „przekroczenie granic” i oskarżono o tworzenie sprzyjającej atmosfery do ataków z nienawiści.

Uderzenie w konserwatystów zakończyło się jednak ośmieszeniem lewicy. W trakcie dochodzenia okazało się bowiem, że młody gej poznał za pośrednictwem internetu dwójkę mężczyzn, którzy w trakcie sadomasochistycznej imprezy wycieli na jego pośladkach i za jego zgodą sprośne napisy. Potem zmyślił całą historię o homofobicznym napadzie, aby ukryć przed partnerem swoją niewierność. Za składanie fałszywych zeznań grozi mu teraz nawet rok więzienia.

Po ujawnieniu tych faktów lider partii Vox Santiago Abascal zażądał dymisji ministra spraw wewnętrznych i zarzucił władzom organizowanie nagonki na jego ugrupowanie. Jego zdaniem lewicowy rząd wykorzystuje sprawy kryminalne w walce politycznej przeciwko konserwatywnej konkurencji. Tym razem władze się ośmieszyły, jednak próba kryminalizacji niepoprawnych poglądów pod pozorem mowy nienawiści i zwalczanie ich przy pomocy specjalnych grup policyjnych może budzić poważne zaniepokojenie. Zwłaszcza jeśli taka taktyka będzie się upowszechniać.

Konrad Kołodziejski

China City, Sin City



Niedawno dziennik „Khmer Times” przeprowadził śledztwo dziennikarskie na temat tzw. China City w nadmorskim mieście Sihanoukville w południowej Kambodży. Chodzi o centrum kasynowo-hotelowe, które opustoszało w 2019 r. po tym, jak premier Hun Sen zakazał gier hazardowych. Opuszczony kompleks kilkunastu budynków przejęła grupa chińskich przedsiębiorców, która stworzyła tam zamkniętą enklawę. Zdaniem reporterów śledczych przebywa tam obecnie od 8 do 10 tys. niewolników – ludzi, którzy zostali zwerbowani za pomocą fałszywych ofert pracy i pozbawiani paszportów. Są przetrzymywani siłą i zmuszani do popełniania oszustw internetowych. Uczy się ich, jak tworzyć realistyczne profile społecznościowe, by nakłaniać do inwestowania w fałszywe kryptowaluty (suma największego wyludzenia wyniosła podobno 400 tys. dol.). Za udane transakcje pracownicy dostają nagrody, w tym – jak twierdzą dziennikarze „Khmer Times” – możliwość odbywania stosunków seksualnych z kobietami z Europy Wschodniej, również przetrzymywanymi w niewoli.

Wspomniany proceder jest bezkarny, ponieważ – według gazety – władze Kambodży, które są uzależnione finansowo od Chin, przykrywają oczy na działalność kompleksu w Sihanoukville. Dość powiedzieć, że w ostatnich latach Pekin zainwestował 3,5 mld euro w budowę elektrowni i eksploatację pól naftowych na otwartym morzu oraz przekazał 85 mln euro na modernizację kambodżańskiej armii. Dlatego miejscowe organy ścigania nie podejmują żadnych działań, nawet wtedy gdy otrzymują zgłoszenia o przestępstwach popełnianych na terenie chińskiej enklawy. Wypowiadający się anonimowo dla gazety policjant przyznał, że co najmniej dwa razy w miesiącu w pobliżu kompleksu odnajdywane są ciała martwych osób. Najczęściej uznaje się, że popełnili oni samobójstwo, a jeśli padli ofiarą zabójstwa, to sprawcy mordu pozostają nieznani.

Publikacja „Khmer Times” wywołała w Kambodży medialną burzę. Mówiąc językiem śledczych, sprawa jest rozwijowa.

Grzegorz Górny



I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Dumna Harta



**Jan
Pietrzak**

Harta, niewielka miejscowość, pięknie położona pośród malowniczych wzgórz Podkarpacia, ufundowała sobie, ale i całą Polskę, Łuk Triumfalny Bitwy Warszawskiej. Trzeba mieć HART ducha i silne wsparcie mieszkańców, by ośmielić się oddać hołd bohaterom tamtego zwycięstwa.

Jak wiadomo, w Warszawie jest to niemożliwe, bo obowiązuje tu pedagogika wstydu zarządzana u progu III RP przez michnikowszczyznę. Mamy się wstydzić swojej historii i za nią przeproszać, a w kwestii pomników hołdować upamiętnieniom martyrologicznym. Uwaga: nie mam nic przeciwko nim! Są niezbędne, ale nie mogą być jedyne! Polacy nie tylko ginęli w wojnach i powstaniach, również w nich zwyciężali, czego dobitnym przykładem było międzywojenne dwudziestolecie i jest obecna Rzeczpospolita. Zwycięstwo Solidarności nad sowieckim okupantem jest faktem bezspornym, lecz pomnika mu nie wzniesiono. Stoi w Gdańsku niezwykle ważny pomnik poległych stoczniovców, ale pomnika zwycięskich stoczniovców nie ma nigdzie. A odnieśli oni razem z 10 milionami rodaków wiekopomne zwycięstwo. To

w 1980 r. pod bramą stoczni gdańskiej i portretem św. Jana Pawła II runęło Imperium Zła. Komunizm nie upadł razem z murem berlińskim, jak kłamią Niemcy. Jest odwrotnie – mur berliński runął, bo wygrała polska Solidarność. Dodajmy: umożliwiając przyłączenie NRD do Niemiec.

Z obecnej perspektywy można ironicznie zauważyć, że ostatnio Niemcy zachowują się tak, jakby chcieli również Polskę włączyć pod swoje panowanie, pod przykrywką Unii Europejskiej. Ale na to Harta nie pozwoli. Świadczy o tym podniosła uroczystość odsłonięcia pomnika polskiego heroizmu. W przemówieniach wojewody, wójta Dynowa, reprezentanta legionistów w szarym mundurze i dowódcy WOT brzmiała nieklamana duma z dewizy widocznej na monumencie „Libertas inaestimabilis res est”. Chciałoby się zakończyć relację tradycyjnym zdaniem... a ja tam byłem, miód i wino piłem! Niestety musiałem jechać samochodem do domu i słynny trunek hartański, zwany Hartini, mnie ominął. Ale wszystko jeszcze przed nami...

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Frau Merkel i jej polski dziadek

Zegnamy się z Angelą Merkel. We wdzięcznej pamięci Polaków kanclerz Niemiec po zostanie jako promotorka Donalda Tuska w Unii Europejskiej oraz rurociagu Nord Stream 2, dzięki któremu Rosja może już szantażować nie tylko całą Europę, lecz z osobna Zachód i Wschód.

Wszystkie tego typu internacjonalistyczne „zasługi” pani Merkel na jej rodakach nie zrobiły wrażenia. Choć początkowo szefowej CDU, namaszczonej przez wielkiego (nie tylko posturą, lecz i formatem politycznym) Helmuta Kohla, nie wróżyono długiej kariery. Była enerdownskim naukowcem, chemikiem (urodzona w 1954 r. w Hamburgu, a więc w RFN, a wychowana w NRD, gdzie jej ojciec, pastor, został skierowany do pracy w parafii), o jej opozycyjnym zaangażowaniu przed rokiem 1989 nic nie wiadomo.

Ale w kluczowym momencie została zastępcą rzecznika jedyne go niekomunistycznego rządu Niemiec Wschodnich, co otworzyło jej drogę do polityki po zjednoczeniu państwa. I swoją szansę wykorzystała, udowadniając, że może być kimś znaczącym. Po epoce Kohla można było mówić o epoce Merkel, która potrafiła utrzymać dominującą pozycję Niemiec w Europie. Frau Angela naprawdę ma wielkie zasługi. Dla Niemiec.



**Dominik
Zdort**

W Polsce niektórzy płaczą, że odchodzi, i przekonują, że Merkel była przychylna Polsce, bo jej dziadek był Polakiem. Co do pewnego stopnia jest prawdą. Poznaniaczyn Ludwik Kaźmierczak w czasie I wojny światowej został wcielony do Cesarskiej Armii Niemieckiej, potem w niewoli francuskiej, ostatecznie trafił do Błękitnej Armii Hallera. Brał udział po polskiej stronie w walkach z Ukraińcami i bolszewikami. A jednak po wojnie zamieszkał w Berlinie i został Niemcem. Już w roku 1930 zmienił nazwisko na Kasner, porzucił też katolicyzm.

Biografia z tamtych czasów, jakich wiele. Nie piszę o tym, żeby kogoś potępiać. Mój dziadek Leopold Sass porzucił swoją niemiecką rodzinę i jej wyznanie. Został polskim lodzermenschem, za co zapłacił wysiedleniem z Warthegau w czasie okupacji – do Warszawy. Walczył dla Polski nie tylko we wrześniu 1939 r., ale też w powstaniu warszawskim. Dziś spoczywa na katolickim cmentarzu św. Józefa w Łodzi.

Nie chciałbym, żeby biografią mojego dziadka ktoś używał do wspierania działań Niemców w Polsce. Pewnie polsko-niemiecki dziadek pani Merkel też by nie chciał być odpowiedzialny za niekorzystne dla Polski polityczne akcje swojej wnuczki.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

BRONISŁAW WILDSTEIN

W soczewce pandemii



Z dumiewać może agresja, z jaką negacjoniści pandemii atakują wszelkie wymierzone w nią działania. To już nie indywidualny wybór, odmowa noszenia maski czy szczepienia, ale ataki na organizujące je ośrodki medyczne czy lekarzy. Tzw. obrona wolności prowadzi do łamania cywilizacyjnych norm i kolejnego etapu zdziczenia. Piszę „tzw.”, gdyż tak czuli na punkcie swojej swobody nie przejmują się, że maseczka, którą odrzucają jako znak uległości, chronić ma zdrowie innych, a szczepienie buduje odporność wspólnoty. Oduczo ich, że wolność jest formą kultury.

Namiętność i agresja wyrastają z zawiedzionych oczekiwań. Liberalna demokracja, czyli rządy oświeconych, obiecuje racjonalne uporządkowanie rzeczywistości. To w zamian za to większość ma powierzyć im władzę, a więc zrezygnować z wyższych form wolności: religijnej, duchowej, politycznej i pogрузić się w niekończącym się karnawale uwolnionych pożądań.

Ograniczenie wolności odbywa się pod hasłami jej ekspansji. Uderzenie w tradycyjne instytucje: Kościół, naród czy rodzinę, ma służyć emancypowaniu jednostki z patriarchalnych więzi. Coraz gęstsza sieć coraz bardziej sformalizowanej cenzury ma chronić jej bezpieczeństwo i godność, a eliminacja debaty publicznej i niezależnego myślenia bronić przed nieodpowiedzialnymi populistami. Zaufanie do zakorzenionej w tradycji i naturalnym porządku kultury ma zostać zastąpione wzorowaną na nauce racjonalnością. Zaufanie społeczne można rozmontować stosunkowo łatwo, co jednak jeśli pełna racjonalność okazuje się mitem, tak jak wyobrażenie nauki jako wiedzy pewnej i ostatecznej?

Nauka miała wyeliminować wszelkie zagrożenia, dlaczego więc nie zapobiegła pandemii? – pytają uformowani na dominujących ciągle XIX-wiecznych stereotypach, które nijak się mają do stanu nauki dziś. Gdzieś ktoś podobno fatalnie zareagował na szczepionkę. To niedopuszczalna loteria! – oburzają się, nie zdając sobie sprawy, że stan taki jest nieunikniony, gdyż każda nauka posługuje się prawdopodobieństwem, a medycyna skazana jest na nie w stopniu szczególnym. I taką powinniśmy ją zaakceptować, a nie czynić z niej fetyszu, do którego odwołuje się infantylna mentalność współczesna domagająca się pełnego bezpieczeństwa. Jeśli więc nie zostanie ono zapewnione, a nigdy nie zostanie, walka z pandemią i ona sama uznana zostanie za wielki spisek, któremu nie należy dawać wiary.

Faktem jest, że za kulisami współczesnej medycyny, jak i każdej gałęzi przemysłu, rozgrywa się bezwzględna walka interesów. Mogliśmy ją obserwować przy kampanii wymierzonej w angielską AstręZenecę. Nie znaczy to jednak, że mamy zrezygnować z osiągnięć cywilizacji, która siłą rzeczy podszyta jest ludzkimi przypadłościami.

Niekiedy katastrofa lepiej pozwala zobaczyć zjawiska, do jakich przywykliśmy. Pandemia jest taką katastrofą. Odkrywa, że nasz, jak się nam wydawało, rozumnie uporządkowany świat jest irracjonalną dziedziną przesądu, podzieloną na obszary fetyszu i tabu, a nasze wyobrażenia o rzeczach radykalnie rozmiągają się z tym, czym są one rzeczywiście.

Fetyszem, który czcimy tym bardziej bezwarunkowo, im bardziej zostaje on wydrążony ze znaczenia, jest w naszych czasach wolność. W ustroju zdominowanym przez ten jej typ: „Gdzie się tylko ruszyć, wszędzie pełno wolności [...] Dusza obywateli robi się tak delikatna i wrażliwa, że choćby im ktoś tylko odrobinę przymusu próbował narzucić, gniewają się i nie znoszą [...] ten ustrój jest taki piękny i taki młodzieniaszkowaty, a z tego robi się dyktatura” – jak ironicznie ujmował to w „Państwie” Sokrates.

Nadchodzi zaraza, a obywatele buntują się przeciw restrykcjom, które tak bardzo ograniczają ich wolność, jak maseczki albo zakaz zabawy. Zwykle młodzi, czyli mniej zagrożeni, protestują przeciwko środkom, które chronić mają bardziej zagrożonych. Ich irracjonalny sprzeciw podchwytują polityczne „trutnie”, które usiłują na nim zrobić karierę.

Im bardziej kontrolowana jest przestrzeń publiczna, tym bardziej podkopane jest zaufanie do jej przekazu i łatwiej rozprzestrzeniają się w niej niesprawdzone pogłoski, a liberalni rządcy dusz (i ciał), którzy zrobili wszystko, aby zakwestionować tradycyjne autorytety, dziwią się, że nie są należycie słuchani.

Zagrożenie pandemią potęgowane przez nieodpowiedzialne ekscesy mniejszości, która dziecinnie odmawia jej istnienia, budzi instynkt samozachowawczy. W takich warunkach gotowi jesteśmy na dyktaturę nawet tych, do których żywimy coraz mniej zaufania. To efekt ekscesów „obrońców wolności”. Tak jak pojawienie się ich i rozprzestrzenianie się teorii spiskowej jest nieuniknioną konsekwencją działania emancypacyjnych elit, które uderzają w tradycyjne pewniki i obiecują ład ostatecznej rozumności.



Walizka Agnieszki Kociak

aktorki, modelki, bizneswoman

Moja walizka Good Vibes, kupiona kilka lat temu w Londynie, kiedy nagrywałam tam moją pierwszą reklamę, odzwierciedla mnie i moje różnorodne aktywności zawodowe, dlatego jest uniwersalna. Zawsze mam eleganckie ubrania, bo przeważnie jadę w celach służbowych. Choć na sesjach reklamowych czekają na mnie gotowe kostiumy, to nie zwalnia mnie to z zabierania osobistych stylowych ubrań, ponieważ często będąc na planie filmowym, mam telefon w sprawie innego projektu. Wtedy bez względu na to, gdzie się znajduję, muszę zrobić tzw. self-tape, czyli nagrać autoprezentację, którą wysyłam do agenta, lub przeprowadzić wideokonferencję. Sporą część mojej walizki zajmują oczywiście kosmetyki i akcesoria do pielęgnacji. Ponieważ praca modelki i aktorki absolutnie nie jest obłana lukrem, a ja lubię słodczyce i duże eventy, dlatego działam w branży weselnej i założyłam markę cukierniczą.

KOMBINEZON

Czuję się w nim swobodnie, a z dodatkami szpilek jest bardzo elegancki. Ma stójkę, która zamiast marynarki spełnia funkcję basicu elegancji. Co ciekawe, to projekt rodzimej marki cudmoda.pl.



DRES

Obcisły z dodatkami złota. Z obuwem na wysokim obcasie staje się kompletem casualowym, a z adidasami – sportowym.



SZPILKI

W kratkę imitującą kratkę Burberry. Pasują zarówno do ubrań beżowych, jak i czarnych, białych oraz czerwonych. Czyli do większości rzeczy, które zabieram.





LEKTURA

W podróży zawsze mam przy sobie jakąś książkę.

KOSMETYKI ALBA

Poznałam je w zeszłym roku, będąc w hotelach Puro. Są rewelacyjne – polecam.

MAŁA CZARNA

Każda kobieta wozi małą czarną – woźę i ja!)



TOREBKA FABIOLA

Polska marka. Czarne pasują do wszystkiego, więc zamiast zabierać 10 kolorowych torebek, biorę jedną.



PIŻAMKA

Bielizna, a więc i piżama, to jest coś, co jest najbliższe mojemu ciała. Zwracam uwagę na to, żeby była piękna i najlepszej jakości. Nieważne, że nikt tego nie widzi. Ważne, że ja czuję się luksusowo.



BRONZER

Tubka złota od FakeBake, która ozlaca zdrową opalenizną moje ciało. Za oknem może być szarówka, a ja jestem opalona.



HIGIENA JAMY USTNEJ

Zawsze zabieram Mini Travel Pack firmy Gum w małej kosmetyczce.

Ten minizestaw szczoteczki, pasty i nitki do zębów wszędzie się zmieści.



SUPLEMENTY

To małe opakowanie żelowych misiów marki Hair Care Panda zawiera maksymalną ilość kolagenu, niacynę, biotynę, selen, cynk, czyli niezbędny suplement diety.



DLA SKÓRY

Kosmetyki pielęgnacyjne Alkemie do twarzy to

jest must-have każdej kobiety, ponieważ w kilku krokach możemy zadbać o skórę twarzy, szyi i dekoltu.



SPORTOWY KOSTIUM

Zawsze zabieram z sobą. Jeżeli nie ma siłowni w hotelu, mogę poćwiczyć jogę w pokoju lub iść pobiegać.



KURTKA

Firmy KoKo Brand.

Kocham dżins od zawsze na zawsze. Katana jeansowa towarzyszy mi od szóstego roku życia. Oczywiście nie ta!)



SZCZOTECZKA

Ekologiczna bambusowa szczoteczka myEcoBrush. Można zamówić z logo firmy, np. „Man Made the Cake”, i wręczać w prezencie.



Wysłuchał i zapisał **Michał Korsun**

OGNIEM NA WPROST

Chocim łączy

Również 400 lat temu pod Chocimem walczyły regularne siły Rzeczypospolitej, dowodzone przez hetmana wielkiego litewskiego Jana Karola Chodkiewicza, a mniej więcej połowę stanowiły wojska kozackie, które przybyły do obozu wojsk Rzeczypospolitej na czele z Piotrem Konaszewiczem-Sahajdaczynem. Naprzeciw stała armia turecka pod wodzą sułtana Osmana II. Zamknięte w warownym obozie siły polsko-litewsko-kozackie broniły się dzielnie przez ponad miesiąc, odpierając zmasowane ataki sił imperium osmańskiego. Oblężenie zakończyło się taktycznym zwycięstwem armii Rzeczypospolitej ukończonym podpisaniem traktatu pokojowego. Walki trwały między 2 września a 9 października 1621 r. Z tej okazji w Kijowie pod pomnikiem Konaszewicza-Sahajdaczynego przemarszerowali pieszo i konno członkowie grup rekonstrukcyjnych w strojach historycznych oraz artyści. „Bardzo trudno znaleźć jedną datę (rocznicę), bo same walki w Chocimiu trwały ponad miesiąc. Przyjeliśmy więc, że zrobimy to we wrześniu, co odpowiada mniej więcej początkowi chocimskiej bitwy” – wskazał Robert Czyżewski, szef Instytutu Polskiego w Kijowie, który wspiera ukraińskie organizacje pozarządowe przy organizacji wydarzenia i również wziął udział w przemarszu, ubrany w szlachecki kostium użyczony przez polskich rekonstruktorów. „Polacy i Ukraińcy wspólnie wspominają dokonanie i Kozaków, i wojska Rzeczypospolitej pod dowództwem Chodkiewicza, które odparły nawałę turecką na Europę” – powiedział dziennikarzom Oleksa Rudenko, rekonstruktor kozacki. Polski rekonstruktor Tomasz Szajewski z Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie, członek zarządu Pierwszego Polskiego Stowarzyszenia Turniejowego Liga Baronów: „Specjalnie

tu przyjechałem i jako (przedstawiciel) muzeum, i stowarzyszenia; muzeum użyczyło rzędy końskie dla husarii, a stowarzyszenie – stroje”. Osobiście bardzo się cieszę, że podejmowane są historyczne inicjatywy, które Polaków i Ukraińców łączy, a nie dzieli. A ta notatka i to wydarzenie niech będą skromną kontynuacją wybitnego epickiego dzieła poematu „Wojna chocimska” (1621) napisanego przez mojego przodka Wacława Potockiego, którego syn Jerzy, husarz, zmarł z ran odniesionych w kampanii zwanieckiej 1684 r.

Tymczasem na pograniczu polsko-białorusko-rosyjskim trwają manewry Zapad 2021. Choć bierze w nich udział, jak podają kremlowskie media, aż 200 tys. wojskowych, to według analityków wygląda to raczej na sukces bardziej propagandowy niż stwarzający realne zagrożenie militarne. Jednym z takich spektakularnych elementów ćwiczeń był zmasowany desant śmigłowcowy przeprowadzony na poligonie Mulino w rejonie Niżnego Nowogrodu. Głównym jego celem było zatrzymanie natarcia i rozmieszczenia sił potencjalnego nieprzyjaciela w obszarze lądowania, poprzez błyskawiczne rozlokowanie w nim własnych sił. Akcję przeprowadzili żołnierze 31 Samodzielnej Gwardyjskiej Brygady Desantowo-Szturmowej z Uljanowska. Na uwagę zasługuje wręcz imponująca skala ćwiczeń, w których udział wzięło aż 46 różnego rodzaju wojskowych helikopterów. Organizatorzy zamieścili w sieci wiele efektownych zdjęć pokazujących skalę przedsięwzięcia. Zapewne nasi kawalerzyści powietrzni zazdrościli Ruskim rozmachu. Ale tak naprawdę, zdaniem



części analityków, na cały ten desant wystarczyłoby na początek 30 naszych gromów i piorunów (mamy ich, przenośnych zestawów rakietowych, ok. 2 tys. sztuk), bo śmigłowce to dla nich świetny cel.

Parlament Europejski przyjął rezolucję w sprawie „praw osób LGBT”. Jest w niej m.in. zrównanie „małżeństw homoseksualnych” z małżeństwami normalnymi i tylko czekać, kiedy PE wyda kolejną – zezwalającą na adopcję dzieci przez tętczowe pary. Natomiast Benedykt XVI w artykule, który znajduje się w tomie „La Vera Europa Identità e Missione” (Prawdziwa Europa, tożsamość i misja), stanowczo przeciwstawia się idei „małżeństwa homoseksualnego”. „Koncepcja »małżeństwa homoseksualnego« stoi w sprzeczności ze wszystkimi następującymi po sobie kulturami ludzkości, a zatem oznacza rewolucję kulturową, która przeciwstawia się całej tradycji ludzkości, aż po dzień dzisiejszy” – stwierdza papież senior. Książka zawiera wstęp papieża Franciszka. Jak oceniają eksperci, tekst Benedykta XVI jest obecnie jego „najnowszym, żarliwym apelem do Europy, aby na nowo odkryła i potwierdziła swój prawdziwy rodowód i tożsamość, które uczyniły ją wielką i stanowią wzorzec piękna i humanizmu” – czytamy na portalu ekai.pl. No to mamy zdanie dwóch papieży, reprezentujących dwa tysiąclecia działalności Kościoła kontra żenujący bełkot europarlamentarzystów pokroju umysłowego Sylwii Spurek. Zobaczymy, kto wygra.

Andrzej Rafał Potocki

WF, czyli ważna lekcja

Badania dotyczące otyłości wskazują, że przyrost masy ciała dzieci w Polsce jest najszybszy w Europie. Nadmiar kilogramów to w wielu przypadkach bezpośredni efekt lockdownu wymuszonego przez pandemię, ale także braku nawyku dbania o kondycję fizyczną wyrobionego w domu i w szkole.

Według naukowców to przede wszystkim rodzice powinni dawać dzieciom przykład, aktywnie spędzając wolny czas, a promowanie i kształtowanie postaw prozdrowotnych w placówkach oświatowych powinno się rozpocząć już od wieku przedszkolnego i młodszego wieku szkolnego, kiedy dzieci najbardziej chłoną wiedzę i mają naturalną potrzebę ruchu. W tak młodym wieku rozwija się bowiem osobowość dziecka, kształtują wzory zachowań i nawyków ruchowych. Do aktywności rodzinnej nie trzeba wcale specjalnej infrastruktury ani wymyślnego sprzętu. Wystarczy, by rodzice zadbał o regularne wspólne spacer, przejażdżki rowerowe czy też najprostsze zabawy z piłką na świeżym powietrzu. Rolą nauczyciela WF jest zaś nie tylko rozwijanie predyspozycji ruchowych, lecz przede wszystkim uświadomienie uczniom, jak istotne jest dbanie o zdrowie i ciało przez całe życie, głównie poprzez podejmowanie regularnej aktywności fizycznej.

Hipokrates, nazywany ojcem medycyny europejskiej, twierdził, że aby być zdrowym, należy przestrzegać trzech zasad: umiaru, harmonii i zdrowego stylu życia. Styl życia oparty na aktywności fizycznej praktykowanej regularnie od najmłodszych lat, odpowiedniej liczbie godzin snu, regularnym odżywianiu się spowalnia proces starzenia i może wydłużyć życie. Osoby uprawiające sport cechuje także większa pewność siebie i radość życia.

Według najnowszych publikacji prasowych coraz mniej dzieci bierze udział w zajęciach wychowania fizycznego. Na wielu portalach można znaleźć szczegółowe poradniki pisania zwolnień z WF, które umożliwiają uczniom nieuczestniczenie w zajęciach bez konsekwencji w postaci minusów lub złej oceny. Niejednemu z nas, rodziców, zdarzyło się ulec i zwolnić dziecko z lekcji wychowania fizycznego z błahego powodu. Zdarzają się sytuacje, w których nadmierna aktywność fizyczna nie jest wskazana, ale okoliczności, w których powinna być ona bezwzględnie wykluczona, z pewnością należą do rzadkości. Dziecko może być całkowicie zwolnione z lekcji wychowania fizycznego albo jedynie z wykonywania określonych ćwiczeń. W ostatnim przypadku może więc i powinno uczestniczyć w lekcji, ale trenując indywidualnie dobrane ćwiczenia. W okresie dojrzewania – zwłaszcza u dziewczynek – barierą ograniczającą chęć aktywności na WF bywa zmieniająca się figura, obniżona samoocena, obawa przed byciem ocenianym przez rówieśników i nauczyciela. Wyjściem naprzeciw temu problemowi jest bardziej zindywidualizowane ocenianie aktywności i postępów w rozwoju fizycznym, a nie zdolności motorycznych, które nie każdemu z nas zostały dane w takim samym stopniu.



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Według wytycznych z początku bieżącego roku szkolnego, w trosce o zdrowie uczniów i zapobieganie rozprzestrzenianiu się koronawirusa, WF powinien się odbywać na świeżym powietrzu. Z wielu stron popłynęły krytyczne komentarze zwracające uwagę na to, że w szkole dzieci i tak przebywają razem w klasach i mogą się wzajemnie zarażać. Po wielu miesiącach spędzonych przed ekranem komputera zalecenie, by młodzi ludzie przebywali więcej w otwartej przestrzeni, a najlepiej na łonie przyrody (np. jeżeli szkoła sąsiaduje z lasem lub terenami zielonymi), powinno tylko cieszyć i pobudzać kreatywność autorów scenariuszy lekcji. W ramach promowania aktywności fizycznej i sportu w rozpoczętym roku szkolnym działa rządowy program Szkolny Klub Sportowy, na którego realizację przeznaczono 45 mln zł. W obecnej edycji może uczestniczyć ponad 200 tys. dzieci, korzystając z dodatkowych dwóch godzin zajęć sportowych w tygodniu, w formie dostosowanej do aktualnej sytuacji epidemicznej. Program jest promowany przez sportowych mistrzów, którzy w krótkich nagraniach zachęcają do podejmowania aktywności i prezentują różne dyscypliny sportu.

Pani

JOANNIE KOPCIŃSKIEJ

*Posłance do Parlamentu Europejskiego IX kadencji
Rzecznikowi Prasowemu Rządu w latach 2017-2019*

składam wyrazy głębokiego współczucia

z powodu śmierci

Matki

Mateusz Morawiecki
Prezes Rady Ministrów

Sędziowie, oczyśćcie się sami



**Samuel
Pereira**

Ustrój Rzeczypospolitej Polskiej opiera się na podziale i równowadze władzy ustawodawczej, władzy wykonawczej i władzy sądowniczej. Ten kluczowy zapis polskiej konstytucji chyba najlepiej pokazuje, jak bardzo obecna pozycja sędziów jest daleka od ideału. Władzę ustawodawczą i wykonawczą można wymienić w wyborach, a praktycznie, np. w wyniku jakiejś ujawnionej afery, do wymiany dochodzi od razu (dymisja), ale już w przypadku sędziów odpowiedzialność praktycznie nie istnieje, a bezkarność przedstawiana jest jako cnota. Sprawy, w których sędzia nawet się nie kryje ze swoimi poglądami politycznymi na sali sądowej i z tym, że jest stroną w sprawie – to dzisiaj rzeczywistość, na którą nie ma za bardzo lekarstwa. Czy słychać było jakieś szczególne oburzenie, gdy sędziowie brali udział w wiecach politycznych albo gdy Waldemar Żurek na spotkaniu z sympatykami opozycji instruował ich, co zrobić, żeby uniknąć konsekwencji za złamanie przepisów o stanie wyjątkowym? Gdy jeden z sędziów ogłosił, że zabicie istoty ludzkiej to prawo człowieka, dlatego protestująca przeciwko wyrokowi TK ws. aborcji eugenicznej mogła obrażać i poniżać inaczej myślących, jedyną reakcją był zachwyt TVN.

Z kolei inni sędziowie – gdy mają odwagę postawić się przepełnionym frazesami o „wolnych sądach” politykom – są publicznie szykanowani. Stało się tak np. w czasie kampa-

nii wyborczej w 2018 r., gdy Grzegorz Schetyna, niezadowolony z decyzji dwóch sędziów, którzy odrzucili pozew wyborczy PO, ogłosił, że „zapisze ich nazwiska i zapamięta”, ale dzieje się to również regularnie na mównicy sejmowej, gdzie posłowie opozycji obrażają sędziów mianowanych przez prezydenta Andrzeja Dudę.

Niestety w sytuacjach, gdy sędziowie wchodzi w rolę polityków opozycji albo gdy politycy opozycji grożą palcem sędziom, brakuje silnego głosu potępienia z wewnątrz samego środowiska. Na początku transformacji prof. Adam Strzembosz obiecał, że „sędziowie oczyszczą się sami”. Tak się nie stało, a ofiarą sytuacji, w której się znaleźliśmy, są sędziowie uczciwi, którzy wykonują sumiennie swój ciężki zawód. Ich głos jest jednak mało słyszalny, przez co ich koledzy po fachu mogą w nieskrępowany sposób dalej niszczyć autorytet sędziowski. Czy to wina prezydenckich wet? Czy może to rozwiązać kolejna reforma? Obawiam się, że nie. Ostatnia kadencja pokazała, że z poziomu politycznego jest bardzo trudno zmienić ten stan rzeczy, dlatego pojawia się pytanie: czy jedynej możliwości naprawy sytuacji i wizerunku sędziów nie należy szukać w samym środowisku sędziowskim? Niech po prostu sędziowie naprawdę „oczyszczą się sami”.

Alicja po drugiej stronie ekranu

**Z Alicją Ostolską, aktorką „M jak miłość”,
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna**

Urodziłaś się rok po emisji serialu, który od dwóch dekad jest telewizyjną instytucją. Jak się w nim czujesz?

Alicja Ostolska: Teraz już świetnie, ale pamiętam pierwszy dzień na planie dwa lata temu. To był szok, bo wcześniej występowałam w teatrze i w reklamach. Nie byłam nigdy w tak wielkiej produkcji, tym bardziej w „M jak miłość”. Gra tu mnóstwo wspaniałych aktorów. Mam okazję z nimi pracować. To wielka szansa, która – mam nadzieję – będzie trwać i pozwoli mi się rozwijać.

Czy bohaterka przypomina trochę ciebie?

Ala Wrońska jest moją rówieśniczką. Ma 20 lat i na co dzień pracuje jako kelnerka w serialowym bistro Kingi (Katarzyna Cichopek). Równocześnie studiuje, chociaż w scenariuszu nie ma informacji co konkretnie. Ja jestem studentką filologii angielskiej, ale staram się dostać do Akademii Teatralnej. Chciałabym, żeby w stu procentach minął

koronawirus, a z nim etapy online, które nie pozwalają egzaminowanym pokazać pełni swoich możliwości.

Z którymi aktorami grałaś dotychczas, a z którymi chciałabyś zagrać?

Spotkałam się na planie niemal z całą obsadą. Bardzo miło wspominam sceny z Barbarą Wypych, Jakubem Kucnerem i Arkiem Smoleńskim. To był wątek z Grabiny. Potem moja serialowa bohaterka przeprowadziła się do Warszawy i zaczęłam grać m.in. z braćmi Mroczkami – Rafałem i Marcinem, Katarzyną Cichopek czy Anną Muchą. Każde aktorskie spotkanie na planie „M jak miłość” to dla mnie ważne i cenne doświadczenie.



Fot. TVP/ Marta Goskiewicz



136 mld
tyle euro miałyby kosztować transformacja polskiej energetyki, gdyby wykonać ekologiczny program UE Fit for 55.

72
o tyle procent wzrosła płaca minimalna, odkąd PiS przejęło władzę.

12
tylu polskich europosłów (z PO i Lewicy) poparło rezolucję UE forsującą legalizację małżeństw homoseksualnych.

Nie trwonić, nie marnować darów ziemi, ale oszczędzać, bo pamiętajmy – jesteśmy Narodem ciągle jeszcze na dorobku.

– Prymas Stefan Wyszyński, beatyfikowany 12 września 2021 r.

Temu, kto tego nie rozumie, zadam dwa pytania: czy słuszne jest zabijanie życia ludzkiego, by rozwiązać problem? Bo z naukowego punktu widzenia to jest życie ludzkie.

Czy słuszne jest wynajmowanie płatnego zabójcy, by rozwiązać problem? – Papież Franciszek o aborcji

Choć Unia nie jest być może doskonała, jest za to przepięknie wyjątkowa i wyjątkowo piękna.

– Przewodnicząca KE Ursula von der Leyen w orędziu o Unii Europejskiej

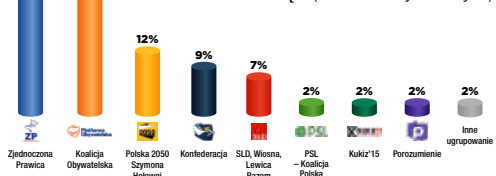


Zebrał Jakub Maciejewski



pracownia
Social Changes
dla **wPolityce.pl**

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/ oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

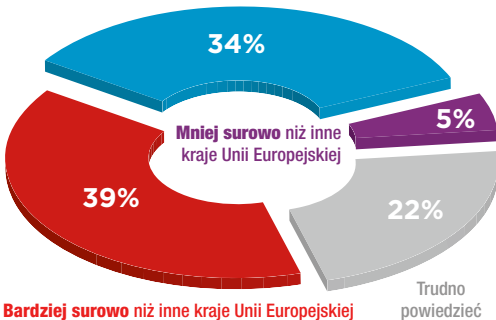


Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/ oddałby Pan głos, gdyby przewodniczącym PO był Rafał Trzaskowski? (bez niezdecydowanych)



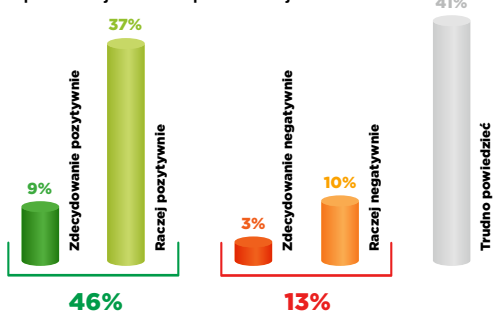
W jaki sposób według Pani/Pana traktują Polskę instytucje Unii Europejskiej – np. Komisja Europejska, TSUE itp.?

Tak samo jak inne kraje Unii Europejskiej



Bardziej surowo niż inne kraje Unii Europejskiej

Jak ocenia Pani/Pan Paulo Sousa w roli trenera reprezentacji Polski w piłce nożnej?



46%

13%

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1063.

Zakres czasowy badania 10-13 września 2021 r.

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL.: (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWINSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSEITTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGÓRZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, Cezary KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.

PREZES: ROMUALD ORZEŁ

UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCOKOWSKA,
MARIOLA.BARCOKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOŁIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTODYDZIAŁ: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSŁĘKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZECZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK,
JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH
RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA,
PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI,
WIKTOR ŚWIELIK, BRONISŁAW WILDESTEIN, PIOTR ZAREMBA,
DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JEZYK OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZECZ WYDAWCĄ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: GRAND WARSZAWSKI / SHUTTERSTOCK, ANDRZEJ WIKTOR (3),
ANDRZEJ IWANCIUK / REPORTER / EASTNEWS, SHUTTERSTOCK (5)

Powiem wam, jak możemy wygrać tę wojnę o suwerenność i praworządność

Dziś otwarcie się przyznaje, że budowane są Stany Zjednoczone Europy, a przywództwo sprawuje kilka najsilniejszych państw. Reszta ma słuchać i się podporządkować. Grupa wielkich, trzymająca władzę, sprawuje ją za pomocą zhierarchizowanej, upolitycznionej Komisji. I ona, i inne instytucje unijne zostały zawłaszczone, wprowadzone przez europejskie mocarstwa

*Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z **Jackiem Saryusz-Wolskim**,
doktorem ekonomii, posłem do Parlamentu Europejskiego, jednym z głównych negocjatorów
przystąpienia Polski do Unii Europejskiej*

Kiedy to się wykołysło? Kiedy projekt europejski wypadł z torów i stał się tak opresyjny wobec państw narodowych?

Jacek Saryusz-Wolski: Był to długi proces. Na początku sympomy wypadania z torów były bardzo dyskretne. Pierwszym było przejście od Wspólnoty do Unii w traktacie z Maastricht, co zapowiadało, jakie ambicje temu przyświecają. Drugim

zakrętem była Nicea, kiedy równowaga polityczna i instytucjonalna między państwami członkowskimi została zaburzona na korzyść największych, przez odejście od nicejskiego systemu głosowania. Trzecim była zmiana natury Komisji Europejskiej za Jeana-Claude'a Junckera, który już na wstępie ogłosił, iż jego Komisja Europejska będzie polityczna.

Jakie to niosło konsekwencje?

To oznaczało, że Komisja nie będzie już strażnikiem traktatów, nie będzie neutralnym arbitrem, nie będzie zachowywała równego dystansu wobec wszystkich krajów, lecz będzie forsowała polityczne pomysły tych, którzy mają w Komisji większość i władzę. Za tym poszła zmiana strukturalna, nietraktatowa, podział na zwykłych komisarzy i superkomisarzy, oraz



wzmocnienie pozycji przewodniczącego Komisji. To już nie jest kolegium komisarzy, które znaleźliśmy z czasów Jacques'a Delorsa i wcześniejszych. Dziś większość komisarzy jest faktycznie wykluczona z realnego udziału w kluczowym procesie decyzyjnym.

Czwartym zakretem w ewolucji ustroju UE był brexit.

Kto zdecydował, że to poszło w tę stronę? Biurokracja unijna urwała się nadzorowi i popchnęła to w tym kierunku?

Nie podzielam tezy dominującej w komentarzach, że jacyś tajemniczy biurokraci, urzędnicy brukselscy zrobili to wszystko sami z siebie. Oczywiście struktury biurokratyczne prowadzą własną grę i mają własne interesy i dynamikę. Ale komisarze UE to są politycy delegowani przez stolicę państw członkowskich i uprawiają twardą, brutalną politykę. Utkwiło mi w pamięci wydarzenie zupełnie niezauważane, a które uważam za przeło-

mowe. Byłem świadkiem tego, gdy na otwarciu roku akademickiego w Kolegium Europejskim w Brugii kanclerz Angela Merkel powiedziała, iż Unia Europejska powinna działać według „union method” – metody unijnej, a nie „community method” – metody wspólnotowej. Zgromadzonych profesorów, europeistów, to zbulwersowało. Wiedzieli, że to oznacza rewolucję, odrzucenie całego dotychczasowego modelu działania i doświadczenia wspólnot europejskich na rzecz czegoś, co potem okazało się dyktandem grupy wielkich państw.

I tak się stało?

Tak. W efekcie wytworzył się i pogłębia z każdym rokiem system rządów w Unii Europejskiej, który kiedyś w epoce Nicei nazywałem koncertem mocarstw, a obecnie określam jako oligarchiczną centralizację. To przejmowanie władzy nad resztą przez kilka państw i kilka wybranych nurtów politycznych. Kosztem uszczuplenia

lub wręcz likwidacji realnie działającej wspólnoty suwerennych państw i mechanizmów demokracji.

Ciekawe, że stare propagandowe hasło, iż małeńka Łotwa znaczy we wspólnocie tyle samo, co wielkie i potężne Niemcy, już się nawet nie pojawia.

I dobrze, bo byłoby to obrazą rozumu w kontraście z codziennym doświadczeniem wszystkich biorących w tym udział. Przed odejściem od systemu nicejskiego taka była przynajmniej teoria – że wszystkie państwa i ich obywatele mają taki sam wpływ na bieg wspólnych spraw. Dziś otwarcie się przyznaje, że budowane są Stany Zjednoczone Europy, a przywództwo sprawuje kilka najsilniejszych krajów. Reszta ma słuchać i się podporządkować. Grupa wielkich, trzymająca władzę, sprawuje ją za pomocą zhierarchizowanej, upolitycznionej Komisji. I ona, i inne instytucje unijne zostały zawłaszczane, uprowadzone przez mocarstwa europejskie.



To fundamentalna zmiana, która wykołała ten projekt. Unia, o której myśleliśmy, do której wstępowaliśmy, już nie istnieje. Dlatego gdy mówimy o wszechwładnych brukselskich urzędnikach, powielamy stereotyp – to są politycy i to jest polityka. A gdy myślimy „Bruksela”, musimy pamiętać, że dziś to znaczy często „Berlin”.

Analiza, którą pan przedstawia, prowadzi do wniosku, że stoimy przed jedną z najważniejszych narodowych i państwowych decyzji od roku 1990. Co robić? Jak dalej w tym funkcjonować?

Trzeba odwojować Unię Europejską, odzyskać ją taką, jaką powinna być, wrócić do korzeni i ojców założycieli, jak Schuman i De Gasperi. Nie ma kraju bardziej niż Polska obiektywnie zainteresowanego, by prawdziwa Unia, rozumiana jako pokojowa wspólnota, trwała. Gdyby jej nie było, to my, ze względu na nasze miejsce na mapie i naszą historię, byśmy ją wymyślili. Takie idee pojawiały się w Polsce już dawno, choćby w pracach Pawła Włodkowica, polskiego księdza, prawnika, filozofa i rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego

w XV w., i wielu innych. Pierwowzorem takiej wspólnoty była unia lubelska, o czym mówił nasz Ojciec Święty. Dziś integracja europejska, która wyrosła z chrześcijańskich korzeni i motywacji i która była wielkim darem dla naszego kontynentu, jest niszczona przez Niemcy, na spółkę z Francją i akolitami typu Holandia, Belgia.

Sami nie wyjdziemy? Straszą pol-exitem.

To propagandowe hasło niemające nic wspólnego z rzeczywistością. Pierwszy rzucił je Lech Wałęsa, domagając się, by nas Bruksela z Unii wyrzuciła. Potem Grzegorz Schetyna proponował organizację referendum w sprawie dalszej obecności Polski w UE, czyli właśnie pol-exit. Rząd Prawa i Sprawiedliwości wręcz się od tego odżegnuje. To wyłącznie gra opozycji, bzdura obliczona na to, że a nuż da się to ludziom wmówić. Polska będzie, gdyby Unia miała implodować, ostatnim państwem, które w niej zgasi światło. Przed nami inne zadanie: odratowanie, odzyskanie uprowadzonej Europy, jak w micie greckim, Europy jako wspólnoty, i odzyskanie

zawłaszczonych instytucji. Tym razem porwanej przez byka teutońsko-liberalno-lewicowego. Znowu musimy, jak kiedyś pod Wiedniem, ratować Europę, tym razem przed nią samą.

Od czego należy zacząć?

Od diagnozy. Brytyjczycy wyszli z UE, oczywiście m.in. także ze względu na ustrojowe uzurpacje Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. W końcu opinia publiczna w tamtej debacie koncentrowała się na kwestiach migracyjnych, one także były dla Londynu ważne, podobnie niemożność zablokowania wyboru Junkera na przewodniczącego Komisji, ale w gruncie rzeczy przeważały kształt i ewolucja ustroju UE. Brytyjczycy czuli się wypychani, kiedy inni – naginając traktaty – przejmowali coraz więcej władzy. Stała się w efekcie rzecz zła, brexit, który dramatycznie osłabił Unię, zmienił w niej układ sił, naruszył równowagę polityczną i instytucjonalną, a nam, Polsce, bardzo zaszkodził.

Wielu komentatorów spodziewało się po brexicie jakiejś refleksji w unijnym establishmencie. Pan

przestrzegal, że będzie odwrotnie – dorzucą więcej tego samego. I miał pan rację.

Hulaj dusza, piekła nie ma – taki wniosek wyciągnęli z brexitu.

Czy te niejasne i nieprzejrzyste traktaty, które dziś są używane do bezprawnego zagarniania władzy, nie zostały celowo w ten sposób napisane? Żeby w mętnej wodzie ryby łowić.

Tak. Traktaty były pisane przez ludzi, którzy celowo wprowadzali tam niedookreśloną i wieloznaczną szarą strefę, umożliwiającą rozmaite manipulacje i naciągnięcia. I to zjawisko narastało, aż doszliśmy do momentu, w którym traktaty są w biały dzień deptane.

Dlaczego nie napiszą nowych traktatów, skoro gorset starych tak ich ogranicza?

Bo wiedzą, że one by nie przeszły, że nie byłoby zgody obywateli ani państw członkowskich. Postanowili więc je obejść poprzez stworzenie praktyki pozatraktatowej. A taką praktykę najlepiej tworzy się przez precedens, przykładowo zginiatając opór jednego z państw. Wybrali nas.

Inne państwa jednak milczą, nie protestują jak Polska. Dlaczego?

Bo to stara zasada gry w Unii – schować się za plecami tego, który albo zaczął walczyć o swe egzystencjalne interesy, albo nie ma wyjścia i musi się bronić. Zwracam jednak uwagę, że nie udało się w Radzie Europejskiej zgromadzić nawet potrzebnych 22 głosów za postawieniem Polski w stan oskarżenia w związku z artykułem 7 traktatu. Popiera to grupa państw, ale coraz więcej rozumie, iż to poligon, że za chwilę taki los może spotkać także ich. Widzą, że nie chodzi o żadną praworządność w Polsce, ale jej przykładowe zgrillowanie, by potem móc stosować mobbing i zginiatać opór także innych niepokornych. Często zaczęło się pojawiać w tym dyskursie określenie „siła”, zapowiedzi jej użycia. Pamiętam wystąpienie Martina Schulza, szefa Parlamentu Europejskiego, który mówił o zasto-

sowaniu wobec nas „macht”, mocy, co wypowiedziane przez Niemca w polskich uszach zabrzmiało dość złowrogo. Potem wiceszefowa PE Katarina Barley, też Niemka, mówiła, iż trzeba nas „zagłodzić”, a inni z kolei grożą, iż rzucą nas na kolana. Przemoc prawna, instytucjonalna, polityczna i finansowa staje się oficjalnie uznanym i praktykowanym sposobem działania w Unii. Głosi ona penalizację i realizuje narzucanie woli silniejszych słabszym. Od wspólnoty pokoju i współpracy do Unii skłóconej i karzącej, taką drogą poszła dzisiejsza UE.

Dziś integracja europejska, która wyrosła z chrześcijańskich korzeni i motywacji i która była wielkim darem dla naszego kontynentu, jest niszczona przez Niemcy, na spółkę z Francją i akolitami typu Holandia, Belgia

Zatrzymajmy się jeszcze nad ważnym pytaniem: dlaczego to Polska jest na pierwszej linii ostrzału?

Wybrano nas świadomie, na zimno. Chcą tę przemoc przećwiczyć na naszym przykładzie. Po pierwsze, pasujemy znakomicie jako znaczący kraj rządzony przez nie lubiany rząd konserwatywny. Po drugie, Polska realizuje plan emancypacji, nie akceptując roli półkolonii, pokazując ambicje i zaskakującą skuteczność w wielu obszarach. Nie tak miało być, przyjęto nas w przekonaniu, że zawsze będziemy tuskoidalnie ulegli. Po trzecie wreszcie, zawadzamy Niemcom w ich konszachtach z Rosją.

A po czwarte, bo upieramy się, zgodnie z prawdą historyczną, że byliśmy ofiarami niemieckiego i sowieckiego barbarzyństwa, odrzucamy ofero-

waną uprzejmie pozycję w szeregu rzekomych sprawców?

Dokładnie. Dyfamacja Polski, niszczenie jej dobrego imienia ma cele polityczne. W razie czego łatwiej byłoby odmówić pomocy w godzinie próby, odmówić reparacji czy choćby karać finansowo, jak chcą teraz.

Mówi pan z jednej strony, że ostatni zgasimy światło. Z drugiej rysuje obraz narastającej, bezprawnej presji, mającej na celu zmuszenie nas, byśmy skokowo zredukowali naszą państwowość do statusu autonomii, jakiegoś euroregionu. Jakie mamy możliwości politycznego ruchu? Może warto poczekać na lepsze wiatry, grać na zwłokę?

Tej drogi Polska próbowała w ostatnim czasie. Pokazaliśmy maksimum dobrej woli i jeszcze więcej, w tym na lipcowym i grudniowym szczycie w sprawie budżetu, w bardzo trudnych dla nas kwestiach klimatycznych, w sprawie reformy sądownictwa, którą tłumaczyliśmy, choć nie musieliśmy, bo nie należy do kompetencji UE, i do której mamy pełne prawo. Niestety, już widać, że dobra wola spotyka się ze złą wolą, ustępstwa przynoszą kolejną eskalację żądań i coraz większą butę naszych przeciwników.

Wyczuwają słabość?

Brak twardego oporu traktują jako zachętę do eskalacji. Ostatnio w jednym z europejskich portali przeczytałem opinię Benjamina Foxa, który wprost stwierdza: ustąpili w sprawie Izby Dyscyplinarnej? Świetnie, znacząca presja działa, żądamy więcej. Będą szli tak daleko, aż nie napotkają oporu. Jutro zażądają likwidacji Krajowej Rady Sądownictwa, pojutrze Trybunału Konstytucyjnego. Tą drogą dojdziemy na skraj przepaści.

Drugie rozwiązanie?

Stawić opór. Tym bardziej że zaczynają się organizować inne linie i grupy oporu. Michel Barnier, kandydat na prezydenta Francji, były minister spraw zagranicznych, dwukrotny komisarz, do niedawna osoba z jądra decyzyjnego w Brukseli, negocjator brexitu, mówi

wprost, że należy stworzyć tarczę konstytucyjną, która będzie chroniła Francję przed wyrokami TSUE. Bruksela zbladła, dla niej to horror.

Zacytujmy Barniera: „Francja powinna odzyskać suwerenność prawną przed TSUE”.

I nie tylko Francja. Taką tarczę konstytucyjną buduje dzisiaj polski TK, dlatego jest tak bardzo atakowany. Taki sens ma kluczowe orzeczenie z 14 lipca: Unia nie może działać „ultra vires” – wykraczać poza swoje kompetencje, a jeśli tak działa, to jest to bezprawne i nie ma mocy wiążącej. TSUE musi też działać w ramach zasady subsydiarności i proporcjonalności. Sam w moim parlamentarnym raporcie na Konferencję o Przyszłości Europy proponuję rozwiązania, które mają postawić temu tamę. Chodzi o tzw. czerwoną kartkę, czyli zasadę, że jeżeli większość parlamentów narodowych się sprzeciwi, to należy odstąpić od proponowanej unijnej legislacji. Proponuję również stworzenie swego rodzaju izby kontrolnej i odwoławczej wobec werdyktów TSUE, bo dzisiaj takowej brak. To zresztą unikatowe odejście od podstawowych zasad prawnych naszej cywilizacji. Nawet w czasie inkwizycji wprowadzono drugą instancję. Proponuję zatem, żeby powołać Izbę Subsidiarności w ramach TSUE, złożoną z prezesów narodowych Trybunałów Konstytucyjnych. Zatem ta centralistyczna i pozatraktatowa rozszerzająca kompetencje ewolucja ustroju UE jest coraz szerzej kontestowana, padają konstruktywne propozycje zmian.

Próba budowy tej tarczy styka się z brutalną kontrakcją, na przykład przez promowanie w stacji TVN haniebnego określenia „Trybunał Przylębskiej”, a to przecież Trybunał Konstytucyjny Rzeczypospolitej Polskiej.

Wystarczyłoby zacytować werdykty Trybunału z czasów prezesury Marka Safjana z 2005 r. czy Andrzeja Rzeplińskiego z 2011 r., co zresztą często robię. Tam są identyczne stwier-

dzenia i fakt, że motywowani politycznie byli prezesi dzisiaj się od tych stwierdzeń odcinają, nic nie zmienia. Już dziewięć sądów konstytucyjnych krajów członkowskich orzekło, że ich konstytucje są ponad prawem Unii Europejskiej, o czym zresztą mówi art. 4 traktatu. Druga strona to wie, ale liczy na bałwochwalczą proeuropejskość, ignorancję i kompleksy po naszej stronie, że można nam wcisnąć jako prawo europejskie coś, co wcale nim nie jest.

Nie ma kraju bardziej niż Polska obiektywnie zainteresowanego, by prawdziwa Unia, rozumiana jako pokojowa wspólnota, trwała. Gdyby jej nie było, to my, ze względu na nasze miejsce na mapie i naszą historię, byśmy ją wymyślili

Trybunał Konstytucyjny, tarcza jaką tworzy, może być skutecznym narzędziem w tej walce? Jak to może zadziałać?

Bardzo skutecznym, przesądzącym. Wystarczy, by nasz Trybunał Konstytucyjny uchylił bezprawne decyzje TSUE, orzekł, że nie mają one źródła w traktatach, a zatem są pozbawione mocy prawnej. To jest jasne, skuteczne i prawnie nie do podważenia. Mamy cały arsenał narzędzi prawnych, które możemy skutecznie i lege artis zastosować. Tego właśnie się boją, stąd szantaże i pogróżki.

A co, jeśli Komisja Europejska w odwecie wstrzyma pieniądze? Zablokuje Krajowy Plan Odbudowy?

Nie mogą tego zrobić. Mogą KPO opóźniać, ale nie mogą go zablokować. Mówimy o grantach w postaci rap-

tem 23 mld euro, które notabene też będziemy spłacać via nasza składka. W relacji do finansów naszego państwa to niedużo i naprawdę Polski Ład na tym nie wisi. Sam premier Mateusz Morawiecki mówił, że byłby w stanie pieniądze, które mamy dostać w ramach KPO, łatwo pożyczyć samemu na lepszych nawet warunkach. O co więc chodzi? Co to za straszak? Oni też to wiedzą. I wie o tym także Donald Tusk, który nagłe ogłosił, że te pieniądze będzie nam zatłwiał, choć to przecież on jest współarchitektem sankcji finansowych wobec Polski. Powiedzieć panom, jak to według mnie wyglądało?

Oczywiście.

Sądzę, że zadzwonili do niego i ostrzegli: „Donald, pozwlekamy jeszcze trochę, ale te pieniądze będziemy musieli i tak wypłacić, więc lepiej wcześniej zmień front”. I on to zrobił. Walka o pieniądze z KPO to jedna sprawa, druga to atak na tle rzekomo zagrożonej praworządności – słynne rozporządzenie Komisji Europejskiej, zaskarżone przez nas do TSUE. Tam się dzieją niepokojące rzeczy, bo Rada Unii zażądała od TSUE wykreślenia dużej części naszego wniosku do TSUE, opartego na opublikowanej przeze mnie 26 listopada 2020 r. utajnionej analizie Służb Prawnych samej Rady, mówiącej, iż warunkowanie wypłat tzw. praworządnością jest sprzeczne z traktatem i bezprawne. Argumentują, że to jest dokument tajny i dlatego nie może być dowodem w sprawie. Jak widać, oni doskonale wiedzą, że stąpają po cienkim lodzie. Ale próbują nas szantażować i straszyć.

Jeżeli byśmy zdecydowali się na twardą walkę, jakie mamy szanse w pana opinii?

Jak wynika z powyższego, to my mamy rację i sprawa jest do wygrania. Słabość jest w nas samych, w naszych głowach, w postzaborowym, postpeerelowskim syndromie uległości. Przede wszystkim musimy sobie uświadomić, że zostaliśmy wyzwani do tej walki, do obrony Europy, i nie mamy innego wyboru, jak ją przyjąć. Tak jak musiał to zrobić Jagiello, przyjmując w 1410 r. dwa miecze,

Jan III Sobieski w 1683 r., Józef Piłsudski w roku 1920 i Solidarność w roku 1980. Musimy powiedzieć „nie”. Taki jest polski los. Każde pokolenie ma swoje Westerplatte i nie może się uchylać.

Mówi pan: „Polsko, walcz!”?

Mówię: „Nie lękajcie się”, mówię: „Unia to my”. I mówię: „Odwagi Polsko – racja jest po Twojej stronie”.

Byłoby nam łatwiej, gdyby totalna opozycja nie grała wspólnie z Brukselą i Berlinem?

Zdecydowanie. To kolejny powód, dla którego wybrano nas jako pierwszy cel do zgniecenia. Nie potrzeba agentury, nie potrzeba przekupywać – sami podają, co trzeba, na tacy.

Jaka w tym rola osobista Tuska?

Przeogromna. Wyciągnąłem kiedyś na światło dzienne scenę, która teraz często pojawia się w telewizji. Sesja plenarna Parlamentu Europejskiego w Strasburgu, Tusk stwierdza z mównicy, że wniosek Komisji i procedura wobec Polski, która może skończyć się sankcjami, są optymalne i je popiera. Juncker patrzy na niego z niedowierzaniem i pogardą, wszystkie twarze pełne zdziwienia, zażenowania. Widać, że myślał: „Kim trzeba być, żeby własnemu krajowi wbijać sztylet w plecy? By tak jawnie zdradzać ojczyznę?”.

Calej tej nagonki na Polskę by nie było, gdyby nie targowicka strategia totalnej opozycji, polegająca na uruchomieniu z jednej strony ulicy, z drugiej zagranicy. Bez tego by się nie poważono tak bezprawnie, tak kłamliwie zaatakować Polski.

W tle jest wielka tajemnica: zależność Tuska od Merkel.

Tusk był proszony, by wprowadził do porządku obrad Rady Europejskiej Nord Stream 2. Nie zrobił tego. I tak zwykle bywało: albo wykonywał, albo uprzedzał życzenia niemieckie, jak w kwestii migracji. Kiedy o tym myślę, przypomina mi się scena z „Potopu”, gdy Zagłoba i zgromadzeni dowiadują się o zdradzie Janusza Radziwiłła.

Chodzi o ten fragment, gdy Zagłoba woła: „Pytajcie się go, jakie korupcje wziął od Szweda? Ile mu wyliczono? Co mu jeszcze obiecano? Mości panowie, oto Judasz Iskariota! Bodajś konał w rozpacz! bodaj ród twój wygasł! bodaj diabeł duszę z ciebie wywłókł... zdrójco! zdrójco! po trzykroć zdrójco!”

Tak. Tu dotykamy bardzo wrażliwych kwestii, ale powiem panom, że kiedy widzę elementarny brak lojalności dużej części polityków opozycyjnych

Przemoc prawna, instytucjonalna, polityczna i finansowa staje się oficjalnie uznawanym i praktykowanym sposobem działania w Unii. Od wspólnoty pokoju i współpracy do Unii skłóconej i karzącej, taką drogą poszła dzisiejsza UE

wobec państwa polskiego, to jestem przerażony. Wierzę, że wszystko to Polacy kiedyś dostrzegą i ocenią.

Podsumowując i w pewien sposób wracając do początku naszej rozmowy: co powinniśmy, jako państwo, naród, robić dalej? Jak się zachować w obliczu wyzwania, przed jakim stanęliśmy, konieczności obrony suwerenności przed tak bezprawnym atakiem?

Musimy podjąć walkę. Nie możemy się cofać, bo nie mamy już gdzie. Za nami naprawdę jest ściana, a okazywana przez nas dotychczas dobra wola tylko rozzuchwiała ludzi złej woli. Na naszą korzyść działa kilka czynników: nasi krytycy są zajęci – Niemcy wyborami, we Francji też wokół tego zaczyna się koncentrować uwaga opinii publicznej, Biden okazał się słabym prezydentem, ma wiele kłopotów. To dobry czas na

zdecydowane przecięcie kilku spraw, na twarde odrzucenie bezprawnych presji i nacisków. Trzeba nazywać rzeczy po imieniu. Czy będziemy nadal udawali, że TVN albo „Gazeta Wyborcza” to są media? Przecież to są podmioty walki politycznej, narażające interesy państwa na szwank, chociażby w sprawie granicy z Białorusią, i jako takie winny być adekwatnie traktowane.

Kluczowe jest chyba pytanie, jak na to zareaguje polska opinia publiczna? Czy wystarczająco wielu Polaków nie ma już religijnego, nabożnego podejścia do Unii Europejskiej, czy potrafimy myśleć kategoriami obrony naszego interesu także w relacjach z Brukselą?

Nie ma innej drogi jak sprawdzenie tego bojem. Jedno jest pewne: jeżeli nie podejmiemy walki, powinniśmy się udać na najbliższy polityczny cmentarz, bo i tak nic nie będziemy mogli już więcej zrobić. Każą nam redukować państwo polskie do bezwolnego wykonawcy zewnętrznych i bezprawnych żądań. Po drodze zaś zmienia nam rząd na akceptujący to wszystko, bo przecież cicha wojna informacyjna, jaką toczą z nami niemieckie media, te w Berlinie i te w Warszawie, jest przygotowaniem operacji niedemokratycznej, sterowanej z zewnątrz zmiany władzy. To są rzeczy w kategoriach zdrady stanu.

Łączy pan powrót Tuska z tymi planami zmiany ustroju Unii i zmiany rządu w Warszawie?

To oczywiste. To miało być zgrane. Na razie nie wyszło, bo powrót Tuska okazał się, jak na razie, kompletną klapą, a on sam wydmuszką.

Wniosek z pana słów jest jeden: czeka nas przesilenie?

Tak. Chcąc nie chcąc, jesteśmy na tej drodze i uważam, że trzeba temu przesileniu pomóc. Powiedzieć: „Non possumus”. Powiedzieć, że ataki na Polskę są bezprawne, nie uznajemy bezprawnych decyzji ani działań. I tym samym przerwać ten proces.



„Białe miasteczko” nieopodal kancelarii premiera. Sztuczny kościotrup ma obrazować stan polskiej ochrony zdrowia

Lekarski lot na Marsa

Zwykły obywatel nie powinien żywić żadnych złudzeń. Od tego, że lekarze dostaliby nawet wielkie pieniądze, system służby zdrowia się wcale nie poprawi

Od soboty 11 września premier ma pod swoją kancelarią w Alejach Ujazdowskich namiotowe obozowisko protestacyjne, tym razem rozbite przez młodych lekarzy. Akcja nawiązuje oczywiście do sławnego „białego miasteczka”, które w 2007 r. założyły w tym samym miejscu zbuntowane pielęgniarki, na złość ówczesnemu szefowi rządu Jarosławowi Kaczyńskiemu. Tamto „miasteczko” stało się miejscem peregrynacji opozycyjnych polityków i cele-



JAN ROKITA

brytek, choćby Jolanty Kwaśniewskiej czy Krystyny Jandy, i stało się czymś na kształt nieźle pomyślanego, nowoczesnego happeningu politycznego. Od tamtego czasu PiS ma zrozumiwały uraz do tego rodzaju „miasteczek” instalowanych przez służbę zdrowia, bo jak pokazywały badania socjologiczne, ówczesna popularna i popierana społecznie akcja, trwająca cały miesiąc, i to krótko przed wyborami, przyczyniła się naonczas do utraty władzy przez prawicę.

Fot. Andrzej Wiktor

KOMENDANT „MIASTECZKA”

Obecne obozowisko jest dużo skromniejsze i (przynajmniej na razie) nie ma tamtego protestacyjnego rozmachu ani rezonansu. Być może dlatego, że jego organizatorami nie są aktywistki środowiska pielęgniarzek, mające talent nie tylko do prowadzenia „akcji bezpośrednich”, ale i do ujmującego zyskiwania ludowej sympatii. Liderem obecnej akcji jest nieznaną dotąd szerzej młody lekarz ze Śląska Wojciech Szaraniec, który dopiero co został wybrany na szefa tzw. Porozumienia Rezydentów, stworzonego przy Ogólnopolskim Związku Zawodowym Lekarzy. Szaraniec sam się przedstawia jako ten, który w planowanie protestacyjnego obozowiska pod urzędem premiera „włożył dużo serca”. Zapewne więc już jego wybór na szefa Porozumienia Rezydentów był częścią przygotowań do tej akcji. To ma znaczenie, bo jeśli komendant „miasteczka” związał z tym przedsięwzięciem swój plan publicznej kariery, to zapewne nie będzie skłonny do zbyt prędkiego pójścia na kompromis. Oskarżenia o „kłamstwo i manipulację”, jakie w mediach Szaraniec (chyba jednak bez podstaw faktycznych) kieruje pod adresem ministra zdrowia Niedzielskiego, potwierdzałyby taką właśnie diagnozę.

Szaraniec odmawia negocjacji z Niedzielskim, a jego ludzie mówią, iż minister „pluje im w twarz”. Dwukrotnie zbytkotowali zaproszenie ze strony Niedzielskiego, który chciał rozmawiać na temat jedyne istotnego postulatu protestujących, czyli podwyżek zarobków. Faktem jest, że o ile Niedzielski jest chyba sprawnym menedżerem skomplikowanego systemu publicznej służby zdrowia, zwłaszcza w czasie nadal ciągnącej się zarazy, to raczej słabo nadaje się, czy to na polityka, który musi umieć wczuć się w emocje zwykłych ludzi (albo przynajmniej udawać, że to umie), czy to na negocjatora w konfliktach.

Przed zaproszeniem Szarańca i jego ekipy na negocjacje najpierw publicznie obwieścił, że ich żądania to nic innego, jak „odpalenie rakiety i lot na Marsa”; ci więc się obrazili, że „poważnych ludzi” (jak Szaraniec sam o sobie mówił w radiu) minister „wysłał w kosmos”. Niedzielski jest typowym przykładem technokraty, który zawędrował do polityki ze wszystkim tego dobrymi i złymi konsekwencjami. Przypomina nieco z dawnych lat Balcerowicza, który miał ten talent, że potrafił obrazić rozmówców, nim jeszcze z nimi zaczął rozmowę.

POSTULATY

Kłopot w tym, że jeśli spojrzeć na rzecz tylko od strony meritum, to Niedzielski ma oczywiście rację, mówiąc o odpaleniu rakiety na Marsa. Osiem postulatów, które 10 września, w przeddzień rozpoczęcia protestu, przedstawiono w Ministerstwie Zdrowia, robi właśnie takie wrażenie. Jak zwykle w takich razach postulaty obudowane są prospołeczną i prozdrowotną retoryką, ale chodzi w nich w istocie o dwie rzeczy: o podwyżki zarobków oraz o uwolnienie albo co najmniej ograniczenie odpowiedzialności lekarzy za błędy w sztuce lekarskiej. Czyli o najbardziej egoistyczne grupowe interesy korporacji medycznej, co nie jest, broń Boże, zarzutem, bo to rzecz normalna przy strajkach i protestach, ale zwyczajnym stwierdzeniem faktu.

Jednak prawdziwy lot na Marsa zaczyna się dopiero przy kwotach, o których mowa w postulatach. Tak więc minimalna (sic!) płaca brutto lekarza stażysty ma wynosić półtorej średniej płacy (8862 zł), lekarza bez specjalizacji dwie średnie (11 550 zł), w trakcie specjalizowania się 2,2 średniej (12 705 zł), a specjaliści trzy średnie (17 325 zł). Jeśli do tego dodać żądanie zwiększenia o 1/3 wycen procedur medycznych, to jak ocenia resort zdrowia protestujący chcą dostać dodatkowe... 100 mld zł rocznie (a cały budżet służby zdrowia to 120 mld). Nie dziwota, że Niedzielski ma przed oczami rakietę odpaloną na Marsa, choć niekoniecznie musiał od razu to publicznie obwieścić.

Co więcej, zachowanie Szarańca wskazuje na to, iż jest on świadom swego odlotu w kosmos. W jednym z wywiadów radiowych oburza się na Niedzielskiego, iż ten „kłamie i manipuluje”, gdy mówi o żądaniu 18 tys. zł minimalnej pensji dla specjalisty, gdyż protestujący domagają się tylko „trzech–czterech tysięcy”. To oczywiście świadoma gra na niewiedzę opinii publicznej, gdyż w postulatach lekarzy jest owszem mowa o kwotach tego rzędu, ale nie w odniesieniu do lekarzy, lecz innych pracowników służby zdrowia (zwłaszcza tzw. pracowników niemedyceńskich). To jasne, że Szaraniec boi się publicznie potwierdzić tego, czego zażądał na papierze, w obawie, że ludziom zarabiającym po trzy–cztery tysiące mogłoby się to wydać nazbyt egoistyczną przesadą.

Tak więc toczy się na razie dość zabawna gra w ciuciubabkę, bo publicznie protestujący martwią się, wraz ze zwykłymi

REKLAMA

KONFERENCJA

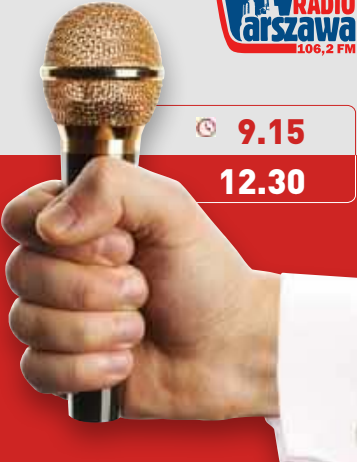
Zapisy na www.radiowarszawa.com.pl
01.10.2021 | Mazowiecki Teatr Muzyczny | ul. Jagiellońska 26

Jak przeciwdziałać fałszowaniu historii Polski?

Jan Józef Kasprzyk
Prof. Czesław Kłak
Eryk Mistewicz
Piotr Dmitrowicz
Prof. Tadeusz Wolsza

Wolność słowa

Prof. Monika Przybysz
Prof. Zbigniew Krysiak
Łukasz Bernaciński
Wojciech Biedroń
Dr Piotr Kościński



9.15
12.30

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

Współfinansowano ze środków Funduszu Sprawiedliwości, którego dysponentem jest Minister Sprawiedliwości www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

ludźmi, z powodu koszmarnych w istocie kolejek do specjalistów, ale negocjacje z Niedzielskim zrywają nie z powodu owych kolejek, ale „kosmicznych” żądań podwyżek. Taka gra też pokazuje, iż ekipa Szarańca nastawiona jest chyba na dłuższe trwanie obozowiska, tak by stopniowo zyskiwało ono sławę i rozgłos, nie zaś na jakiś prędko kompromis.

STRATEGIA NEGOCJACJI

Szaraniec chce negocjować tylko osobiście z Morawieckim, ale (przynajmniej do chwili, kiedy to piszę) premier go ignoruje, uważając najwyraźniej, że Niedzielski jest użyteczny jako „zderzak”. Z perspektywy rządowej taktyki takie postępowanie można uznać za rozsądne. Szaraniec chce mieć naprzeciw siebie premiera jako partnera, i to przed kamerami telewizyjnymi, po to żeby go zmusić do tłumaczenia się i przepraszania za to, że nie ma pieniędzy na ratowanie zdrowia Polaków, ma za to np. na ogromne podwyżki dla posłów. Cyborg Niedzielski jest niewrażliwy na takie argumenty i wysyła po prostu Szarańca w kosmos, nie zważając na efekty dla swej politycznej popularności. Morawiecki nie może sobie pozwolić na takie zachowanie. Gdy w grę wchodzi zdrowie, lekarze, pielęgniarki, cała służba zdrowia, musi być miły, ustępliwy i zatroskany, bo inaczej działałby przeciw fundamentalnym interesom politycznym własnego obozu. Sprytnemu Szarańcowi o to właśnie chodzi, bo to dawałoby mu nad Morawieckim przewagę negocjacyjną.

Nieoficjalnie ludzie z otoczenia premiera sygnalizują więc, że udział szefa rządu w negocjacjach byłby możliwy dopiero wtedy, gdyby lekarze najpierw spuścili wyrażnie z tonu. Premier może być kimś, kto doprowadzi do zakończenia protestu i porozumienia, ale nie może być bezsilnym świadkiem zerwania rozmów przez Szarańca, po to by potem tygodniami być atakowanym przez opozycję za to, iż jest winien śmierci pacjentów w szpitalach.

POLITYCZNA KWADRATURA KOŁA

Ta cała rozgrywka o wielkie pieniądze (ze strony protestujących) i o politykę (ze strony rządu) to jedna strona problemu. Drugą, oczywiście stokrotnie ważniejszą, choć traktowaną przez obie strony propagandowo, jest jawnie niewydolny system służby zdrowia. Dla każdej władzy w Polsce, ale dla rządu PiS w szczególności, system ów to polityczna kwadratura koła. Rzecz bowiem w tym, że cała publiczna służba zdrowia jest bezpłatna (tzn. teoretycznie opłacana z przymusowej składki, będącej w istocie formą podatku). A to w czasach, w jakich żyjemy, gdy zdrowie, zwłaszcza w trakcie zarazy, stało się najważniejszym dobrem publicznym, oznacza nieograniczony wzrost popytu na usługi medyczne. Jednocześnie

nie zaś Polska jest krajem o niemal najniższej liczbie lekarzy i pielęgniarek w Unii (liczonej per capita), koszty nowoczesnych procedur leczniczych i nowych lekarstw rosną zaś астрономicznie, zwłaszcza na skutek presji wyzbytych skrupułów koncernów farmaceutycznych.

Te dwa sprzeczne trendy tworzą nieuchronny, nieustający i pogłębiający się stan kryzysu. Co więcej, sytuację komplikuje ideologiczne traktowanie przez PiS kwestii opieki zdrowotnej. Od wielu lat przecież jest to jedno z najważniejszych oręczy, jakie PiS wycelowuje w swoich przeciwników, zarzucając im rynkowe traktowanie zdrowia ludzi, plany prywatyzacji szpitali oraz intencję budowania opieki zdrowotnej tylko dla bogatych. Sam Kaczyński wielokrotnie opowiadał się za powrotem do modelu opieki zdrowotnej obowiązującego w czasach komunizmu, czyli bezpośredniego „ręcznego” finansowania przychodni i szpitali z budżetu resortu zdrowia. PiS nie wprowadziło w czyn tego zamiaru chyba tylko dlatego, że przestraszyło się realnej wizji bankructwa całego systemu w ciągu jednego

dnia. Ale i tak na każdym kroku zwalcza nawet drobne elementy gry rynkowej w służbie zdrowia, np. likwidując w 2019 r. prywatne pogotowie ratunkowe. Tylko w regionie łódzkim tamta decyzja zaowocowała wyeliminowaniem 34 zespołów ratowniczych.

Dlaczego to doktrynalne podejście wiąże ręce władzy, także w obliczu obecnych protestów lekarzy? Bo z ideologicznych powodów nie może ona zrobić niczego, co by choć trochę ograniczało beznadziejnie rosnący popyt na usługi medyczne. Nie jest w stanie zaproponować współpłaty pacjenta (choćby w symbolicznym wymiarze), a ostat-

nio (w ramach reform Niedzielskiego) zrezygnowała nawet z tzw. limitów świadczeń, które sztucznie i arbitralnie, ale jednak ograniczały rozdymane coraz bardziej koszty. Nie jest też w stanie skokowo zwiększyć liczby lekarzy i pielęgniarek, co byłoby jedynym alternatywnym sposobem zmniejszenia kolejek, bez ograniczania dostępu do specjalistów.

Jak zatem rząd PiS może „naprawiać” służbę zdrowia? W jeden i tylko jeden sposób: dosypując doń coraz więcej pieniędzy. Tak zresztą się dzieje od 2015 r. I z tego właśnie powodu Morawiecki naraża się teraz biznesowi, podnosząc dlań radykalnie składkę zdrowotną. Te wszystkie wylewające się skargi na rzekome „oszczędzanie” przez rząd na zdrowiu są wzięte z jakiejś alternatywnej, nierealnej rzeczywistości. PiS skazane jest na brnięcie w coraz to większe rozdymanie wydatków na służbę zdrowia. Tyle tylko, że o tym wie także doskonale Szaraniec, który właśnie tu widzi okazję wyszantażowania od władzy kolejnych wielkich pieniędzy dla lekarzy. Zwykły obywatel nie powinien jednak żywić żadnych złudzeń. Od tego, że lekarze dostaliby nawet wielkie pieniądze, system się wcale nie poprawi. Obie strony sporu dobrze o tym wiedzą, choć żadna z nich nie pozwoli sobie na to, aby publicznie się do tego przyznać. 

Jak ocenia resort zdrowia, protestujący chcą dostać dodatkowe... 100 mld zł rocznie (a cały budżet służby zdrowia to 120 mld). Nie dziwota, że Niedzielski ma przed oczami rakietę odpaloną na Marsa

TOTALIZATOR SPORTOWY

NAJWIĘKSZY MECENAS SPORTU I KULTURY



65 LAT
TOTALIZATORA
SPORTOWEGO

#WielkieChwile

Przemięło z Gowinem

Wszystko wskazuje na to, że polityczna kariera Gowina dobiegła końca, podobnie jak wcześniej Krzaklewskiego, Dorna czy Marcinkiewicza



STANISŁAW JANECKI

Dla obozu PiS stałem się osobą trędowną” – wyznał Jarosław Gowin „Gazecie Wyborczej” (27 sierpnia br.). I już sam wybór tego medium jako konfesjonału jest bardzo znaczący. Problemem byłego wicepremiera nie jest jednak wcale Prawo i Sprawiedliwość, tylko opozycja. Choć pochlebia sobie, że jeśli „odbierze im nawet 2–3 proc.,” to utrata władzy przez PiS będzie praktycznie przesądzona. Przesądzony jest raczej los ugrupowania Gowina. Weszło ono bowiem w fazę toksyczną, czyli partii działającej na szkodę każdego, kto chciałby z nim współpracować. Od kilku miesięcy obniżali notowania Zjednoczonej Prawicy, a wzrosły one niemal natychmiast po rozstaniu. Gdy tylko pojawiły się spekulacje, że Gowin wejdzie do Koalicji Polskiej i zacznie ściśle współpracować z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem w ramach systematycznie poszerzanej opcji chadeckiej, notowania PSL poszły w dół. Nic dziwnego, że politycy PSL zaczęli się od planów współpracy z Gowinem odcinać. Prewencyjnie to samo robił Szymon Hołownia, żeby toksyczność nie dopadła także jego Polski 2050. A Donald Tusk oświadczył najważniejszym osobom w Platformie Obywatelskiej, że z Gowinem „nigdy”. Publicznie mówił tylko o swoich złych doświadczeniach we współpracy z nim i że z tego powodu to etap zamknięty.

Im intensywniej Gowin roztacza wizję tworzenia bloku konserwatywnego, także razem z opozycyjnymi obecnie ugrupowaniami, tym bardziej jest uznawany za partnera niepożądanego. „Nawet 2–3 proc.” poparcia dla Porozumienia wydaje się obecnie niemożliwe do zdobycia. A wszystko, co Gowin osiągnął w polityce jako samodzielny podmiot, w tym obsadę wielu kluczowych stanowisk i posiadanie realnej władzy przede wszystkim w gospodarce, było związane ze Zjednoczoną Prawicą. Tylko tam jego małe ugrupowanie zostało lewarowane ponad własne zasoby i wpływy. Żadna inna siła polityczna już takiego dobrodziejstwa Gowinowi nie wyświadczy. Przede wszystkim z powodu tego, jak współpracę z partnerami zakończył. I z powodu tego, co mówi po odejściu z rządu.



PIERWSZY OBROŃCA DEMOKRACJI

Były wicepremier, minister nauki, a potem rozwoju uważa się za pierwszego i chyba ostatniego obrońcę demokracji, praworządności, konstytucji, zasad i wolnego rynku w Zjednoczonej Prawicy. I jako taki mógł zwlekać z radykalnymi decyzjami, ale zawsze był na nie gotowy. Gdy „lawinowo zaczęła narastać pogarda dla reguł demokracji, przykładem »wybory kopertowe« lub »lex TVN«». I jeszcze niepoahamowana skłonność do rozdawnictwa, bo czym innym jest precyzyjna polityka społeczna, a czym innym kupowanie elektoratu”, ideowy polityk nie miał wyjścia. Porozumienie musiało powiedzieć „non possumus” przy „»wyborach kopertowych«, wiece do budżetu unijnego, podatku medialnym, przy »lex TVN« oraz drastycznej podwyżce podatków dla klasy średniej”. A kiedy „po porażce prezydenta Trumpa” Jarosław Kaczyński „obrał świadomy kurs na izolację Polski”, Gowin „musiał

się sprzeciwić, a konsekwencją było wyrzucenie z rządu”.

W tym obrazie wicepremier w rządach Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego stał się jedynym bezpiecznikiem działania dla dobra Polski. Niestety „z czasem dochodziły do głosu marzenia Jarosława Kaczyńskiego, by przeprowadzić populistyczną rewolucję. W pierwszej kadencji udawało się to utrzymać w ryzach – głównie dzięki współpracy prezydenta Dudy, premiera Morawieckiego i mojej. Ale po kolejnych wyborach tamy pękły”. Jeśli udział całego społeczeństwa w korzystaniu z efektów rozwoju i wzrostu jest „populistyczną rewolucją”, choć były wicepremier jednak dostrzegł, że „program 500+ przywrócił setkom tysięcy rodzin poczucie godności”, to komu ostatecznie ma służyć rządzenie?

BŁĘDY I WYPACZENIA

Jarosław Gowin wiedział, „że będzie to trudna koalicja, ale liczył, że bilans okaże się dla Polski korzystny”. Gdy

zaczęło się okazywać coś odwrotnego, odszedł i znowu jest gotów do przeprowadzenia sanacji. Odbudowywał Polskę po rządach PO, gdzie był m.in. ministrem sprawiedliwości. A gdy sanacja mu się nie udała – przede wszystkim w sądownictwie, za które odpowiadał – odszedł z rządu i z Platformy. I znowu jest gotów do naprawiania państwa po rządach Zjednoczonej Prawicy, w których uczestniczył: „Po utracie władzy przez PiS trzeba to [sądownictwo] będzie naprawić. Jednak z zastrzeżeniem, że nie chodzi o powrót do starych kolein. Na czym konkretnie mają te zmiany polegać, trzeba przedyskutować w szerokim dialogu ze środowiskami prawniczymi”. Tak jak przedyskutował ze środowiskami akademickimi zmiany w nauce i szkolnictwie wyższym: „Moja reforma systemu szkolnictwa wyższego i nauki poprzedzona była bezprecedensowo szerokimi po 1989 r. konsultacjami społecznymi”. Ale ta część środowiska akademickiego, która nie jest jego establishmentem, uważa reformę

REKLAMA

SALTUS
UBEZPIECZENIA

ANTY-COVIDOWA TARCZA UBEZPIECZENIOWA

Chroni na wypadek: utraty życia, utraty pracy, problemów ze zdrowiem

- ▶ **Ubezpieczenie Optimum Max:** pomaga bliskim w sytuacji zgonu z powodu COVID
- ▶ **Ubezpieczenia Twoja Promesa, Twoja Linia, Twój Duet i Twój Bonus:** ułatwiają bliskim spłatę zadłużenia z pożyczki w chwili śmierci Pożyczkobiorcy
- ▶ **Ubezpieczenie Twoja Posada:** umożliwia spłatę pożyczki kiedy Pożyczkobiorca straci pracę
- ▶ **Ubezpieczenia Na Zdrowie i Kuracja:** łatwiejszy i szybszy dostęp do lekarzy i badań

OFERTA DOSTĘPNA W PLACÓWKACH SPÓŁDZIELCZYCH KAS

www.saltus.pl



Na szczęście są ubezpieczenia

eprasa.pl e1be62e630

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym

za skrojoną wyłącznie pod tych najbardziej wpływowych i okopanych na swoich funkcjach, zatem skutki „szerokiego dialogu” wydają się bardzo ograniczone, a sanacja nauki i szkolnictwa wyższego raczej pogłębieniem choroby niż jej wyleczeniem. Mimo to Gowin nie traci poczucia racji, a nawet rozszerza je na wszystkie inne dziedziny rządzenia.

W 2015 r. Gowin wierzył, „że PiS przemyślał doświadczenia lat 2005–2007. Na to wskazywał wspólny program, który wypracowaliśmy w 2015 r. Taką nadzieję dawało też to, że Kaczyński sięgał po takich ludzi jak Mateusz Morawiecki w roli głównego mózgu ekonomicznego”. Przecież „program Zjednoczonej Prawicy z 2015 r. był programem zachodnioeuropejskiej chadecji”. A Gowin jego strażnikiem i żyrantem. Potem przyszły błędy i wypaczenia, więc „na różnych polach trzeba będzie sprzątać”. Gdy chodzi o ustawę o Sądzie Najwyższym i ustawę o Krajowej Radzie Sądownictwa, Gowin sprzątał w trakcie ich przyjmowania: „W porozumieniu z prezydentem przygotowaliśmy wtedy poprawki, które naprawiały tę ustawę, zanim została uchwalona. [...] Ale podczas pamiętnego posiedzenia komisji sprawiedliwości doszło do takiego zamieszania, że przegłosowano nie te poprawki, co trzeba”. Wtedy Gowin skontaktował się z prezydentem, a ten „zapowiedział weto”. I „wiedząc, że weto będzie, nie mając już możliwości kontaktu z moimi posłami, zdecydowałem się zagłosować za tą ustawą. Miałem pewność, że ona nie wejdzie w życie”. Szczególnie interesujący jest „brak możliwości kontaktu z posłami” w lipcu 2017 r., czyli w erze niemal nieograniczonych możliwości smartfonów oraz internetu.

NAJBARDZIEJ NIECHCIANY KOALICJANT

Jarosław Gowin czuł się w Zjednoczonej Prawicy niekomfortowo, ale przeważało „wysokie tempo wzrostu gospodarczego, bardziej zrównoważony rozwój regionalny czy pomoc dla uboższych warstw społecznych. Miliony ludzi po raz pierwszy zaczęły mieć

poczucie, że państwo się o nich realnie troszczy”. Ale w drugiej kadencji rządów jego „non possumus” musiało się objawić, szczególnie w związku z Polskim Ładem. Ten program rozwojowy, jak 15 września br. ujawnił w „Rzeczpospolitej”, sprawi, że podatkowo „stracą wszyscy”. W dodatku po wejściu w życie rozwiązań Polskiego Ładu, pod którego przyjęciem Gowin się podpisał, „coraz mniej będzie się opłacało pracować, coraz bardziej się będzie opłacało żyć

Gowin stał się obecnie najbardziej niepożądanym koalicjantem w Polsce, w dodatku niemającym praktycznie żadnych szans w kolejnych wyborach na przekroczenie progu

z zasiłków”. Ostatecznie nie mógł tolerować „uderzenia w polską klasę średnią”. Powiedział „dość” w „akcie obywatelskiego sprzeciwu na psucie demokracji”. Ale „zapłacił i płaci za to wysoką cenę, podobnie jak wszyscy ci, którzy pozostali mu wierni”. Gdy ważyła się sprawa terminu wyborów prezydenckich, padały propozycje, by „objął funkcję marszałka Sejmu”, ale „nie był tym zainteresowany”.

Gowin, owszem, płaci cenę, ale raczej za nielojalność i bycie uciążliwą opozycją w ramach koalicji. Tego nikt nie toleruje, o czym świadczy choćby wyrzucenie PSL z koalicji z SLD w 2003 r. I PSL, i Porozumienie były takim politycznym partnerem, który gra rolę świętoszka, jednocześnie w pełni korzystając z przywilejów wynikających ze sprawowania władzy. A ich politycy uwielbiali opowiadać o męczeństwie, jakie znoszą dla dobra Polski. Gowin płaci też cenę za przekształcenie Porozumienia w partię będącą przemądrzałym recenzentem, który wbrew hucznym zapowiedziom ma bardzo mgliste albo

całkiem nierealne własne propozycje, jak obecnie w sprawie podwyżek dla ochrony zdrowia oraz całej budżetówki. Zamiast im dorzucić, „PiS wolało forsować programy socjalne”. Tak jakby bieda, szczególnie dotycząca dzieci, nie była skandalem koniecznym do rozwiązania w pierwszej kolejności.

Porozumienie Jarosława Gowina długo korzystało z wizerunku „lepszego” prawicy, czyli bardziej wolnorynkowej i wolnościowej, choć nie bardzo im się udawało trwale utrzymać przy sobie wyborców. Nie udało się nawet utrzymać jedności w partii, w efekcie Gowin dysponuje obecnie zaledwie sześcioma mandatami. To nie świadczy także o kwalifikacjach przywódczych samego lidera. W efekcie Gowin i Porozumienie stali się jeszcze bardziej nieznośni niż Jarosław Kalinowski i PSL w 2003 r. w rządzie Leszka Millera. Przyszłe losy Gowina zapowiadał już jego słaby wynik w wyborach w 2019 r. w Krakowie – dostał 15 802 głosy, czyli prawie o 30 tys. mniej niż cztery lata wcześniej. To krakowscy wyborcy najwcześniej mieli dość „swego” reprezentanta – jako polityka natrętnie moralizatorskiego i mało skutecznego. Będąc w Zjednoczonej Prawicy, Gowin nie potrafił opanować swego egoizmu, choć na krótko go poskromił, gdy zrezygnował z funkcji wicepremiera i ministra rozwoju. Po wyborach w 2019 r. egoizm i narcyzm Gowina, nazywany troską o państwo, stał się równie natrętny jak ten Hołowni po wyborach prezydenckich w 2020 r. Gowin jest obecnie niechciany w Koalicji Polskiej jako niebezpieczny partner, odbierający głosy. I jest niechciany przez Tuska, któremu sprawiał problemy w drugim rządzie, dlatego chętnie się go pozbył. Gowin stał się obecnie najbardziej niepożądanym koalicjantem w Polsce, w dodatku niemającym praktycznie żadnych szans w kolejnych wyborach na przekroczenie progu. Stał się takim już jesienią 2020 r., a obecnie jego sytuacja jest jeszcze gorsza. Wszystko wskazuje na to, że jego polityczna kariera dobiegła końca, podobnie jak wcześniej Ludwika Dorna, Kazimierza Marcinkiewicza czy Mariana Krzaklewskiego.



Koła gospodyń ruszyły po dotacje

Po raz czwarty koła gospodyń wiejskich mogą się ubiegać w Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa o dofinansowanie na swoją działalność. Tegoroczna pula środków jest większa niż w minionym roku i wynosi 70 mln zł, wzrosły bowiem stawki pomocy dla kół

By się ubiegać o wsparcie w ARiMR, koło musi być wpisane do Krajowego Rejestru Kół Gospodyń Wiejskich. Wysokość pomocy, którą może otrzymać KGW, uzależniona jest od liczby jego członków i obecnie wynosi:

- 5 tys. zł (do 30 osób);
- 6 tys. zł (od 31 do 75 osób);
- 7 tys. zł (ponad 75 osób).

Wnioski o przyznanie pomocy należy składać we właściwym ze względu na siedzibę koła biurze powiatowym ARiMR. Ich nabór będzie trwał do 30 września 2021 r. bądź do wyczerpania 70-milionowej puli środków przeznaczonej w tym roku na realizację programu. Warto się więc spieszyć ze złożeniem formularza.

Dofinansowanie można przeznaczyć m.in. na prowadzenie w środowiskach wiejskich działalności społeczno-wychowawczej i oświatowo-kulturalnej, działalności na rzecz poprawy warunków życia i pracy kobiet na wsi; upowszechnianie dobrych metod prowadzenia gospodarstw domowych; rozwijanie kultury ludowej, w tym w szczególności kultury lokalnej i regionalnej.

Przyznane pieniądze trzeba wykorzystać do 31 grudnia 2021 r., a ich rozliczenie musi nastąpić do 31 stycznia 2022 r. po złożeniu do ARiMR sprawozdania.

O dotację z tegorocznej puli środków wystąpiło już m.in. Koło Gospodyń Wiejskich z Dobczyna z województwa mazowieckiego. – Złożyłyśmy wniosek już w drugim dniu naboru – śmieje się Ewa Chacińska, przewodnicząca dziesięcioosobowego koła. Powstało ono w 2014 r., ale, jak mówi pani Ewa, wiatr w żagle jego działalności przyniosła ustawa z 2018 r. o KGW, która dała kołom możliwość uzyskania osobowości prawnej, prowadzenia działalności

zarobkowej, a także pozwoliła się ubiegać o państwowe dotacje, m.in. w ARiMR.

– Za pierwsze pieniądze otrzymane z Agencji kupiliśmy obrusy i stroje inspirowane folklorem, abyśmy były rozpoznawalne podczas lokalnych wydarzeń. Kolejne złotówki wydałyśmy na zakup zastawy stołowej dla 60 osób, by wyeliminować wszechobecne podczas gminnych festynów i uroczystości plastikowe naczynia. Staramy się być eko, a także promować zachowania proekologiczne. Teraz, gdy dostaniemy dofinansowanie, mamy w planach powiększyć zastawę, by wystarczyła dla 80 osób. Z tych naczyń może korzystać cała nasza społeczność lokalna, nie zachowujemy ich tylko dla siebie. Zorganizujemy również festyn solecki, podczas którego odbędzie się kurs pierwszej pomocy medycznej. Ta wiedza może się okazać niezwykle przydatna także podczas organizowanych przez nas wycieczek – opowiada Ewa Chacińska.

Ale nie tylko pieniędzmi KGW Dobczyna żyje. Przedsiębiorcze panie są inicjatorkami pierwszego kongresu kół gospodyń wiejskich z powiatu Wołomin. – Spotykamy się 30 września, by się poznać, wymienić doświadczeniami, podzielić się informacjami, m.in. jak się ubiegać o dotacje, jak je rozliczać. Nie zabraknie również kulinarnych prezentacji. Chcemy bowiem z pomocą naszych seniorek odkrywać i zachować w pamięci tradycyjne potrawy kuchni wołomińskiej – mówi pani Ewa.

Od 2018 r., kiedy to ruszył program wsparcia finansowego z budżetu państwa dla KGW, do końca 2020 r. Agencja wypłaciła im prawie 79 mln zł. Te pieniądze sprawiły, że koła gospodyń wiejskich przeżywają dziś renesans swojej działalności. Z roku na rok rośnie ich liczba. W 2020 r. z dotacji skorzystało blisko 9,4 tys. kół, rok wcześniej było ich o ponad tysiąc mniej.



Agencja Restrukturyzacji
i Modernizacji Rolnictwa

Humanistyczna ofensywa Czarnka

Przemysław Czarnek działa na lewicę jak płachta na byka. Przeciwnicy zarzucają mu w medialnej histerii, że wprowadza do polskich szkół i uczelni „katotaliban” i „średniowiecze”. Fakty przemawiają jednak za koniecznością zmian w szkolnictwie, a kierunek ministra Czarnka jest szansą dla polskiej humanistyki



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

Do tej pory o wielu bolączkach edukacji mówiło się powszechnie, ale brakowało determinacji do naprawy tego stanu rzeczy. Każdy uczeń i rodzic wie, że w szkole kilkakrotnie przerabiano historię starożytnych piramid, a rzadko kiedy zdążyło się dotrzeć do najnowszych wydarzeń historii Polski. Każdy nauczyciel – także akademicki – narzeka na papierologię i ilość pracy, jaką musi przeznaczyć na wypełnianie nikomu niepotrzebnych dokumentów, na spadający poziom nauczania, a wiele treści z podręczników to swobodna interpretacja, autorów, a nie rzeczowa wiedza.

Powołane przez ministra edukacji i nauki grono ekspertów przygląda się tym patologiom i wypracowuje projekt ustawy, która ma poprawić Gowinowską reformę i stworzyć nową podstawę programową. Późną jesienią lub w pierwszych tygodniach 2022 r. rozwiązania ustawowe mają być gotowe i przegłosowane przez Sejm.

Zapowiedź Jarosława Kaczyńskiego o podzieleniu przedmiotu historia na historię Polski i historię powszechną nadal jest w gronie doradców ministra omawiana. W grę wchodzi kilka wariantów, ale na tę chwilę największym uznaniem

cieszy się przededefiniowanie założeń lekcji z wiedzy o społeczeństwie.

– Przy niezwykle pomyślnych warunkach uczniowie dochodzili jedynie do 1989 r., a potem pojawiała się bliżej nieznaną „współczesność” – opowiada jeden z ekspertów ministerstwa, wykładowca akademicki. – A przecież dla młodych Leszek Balcerowicz i jego reformy lat 90. to już jest historia – komentuje profesor.

Współpracownicy Czarnka mają świadomość, że establishment III RP zawyje z wściekłości, mimo tego przygotowują zmiany programowe. – Unia Europejska jest naszym osiągnięciem, ale nie powinna być opisywana w cukierkowej wersji, bez refleksji o kosztach integracji – tłumaczy ekspert.

Podstawa
progra-

mowa nie jest tożsama z pisaniem podręczników. Autorzy i wydawcy książek dostają pewne wytyczne, muszą zawrzeć konkretne fakty, ale wiele szczegółów pozostaje w ich gestii. Muszą np. wspomnieć o opozycji antykomunistycznej,

ale o Antonim Macierewiczu mogą jedynie wzmiankować, gdy o Adamie Michniku napiszą jako o czołowej postaci polskiego sprzeciwu wobec PRL – to od nauczycieli będzie zależał wybór wydawnictwa, które poleca swoim podopiecznym.

Pewne rzeczy trzeba wyraźnie zmienić, bo swoboda autorów podręczników nie może oddawać ich poglądów politycznych. Prof. Mirosław Szumiło, recenzent podręczników,



wskazuje na nieadekwatne określenia czy polityczne sugestie występujące w wielu szkolnych książkach. – Mało kto chce napisać, że Lech Wałęsa był tajnym współpracownikiem SB, za to zdarzają się stwierdzenia, że Rosja wpłynęła na wybory w USA i doprowadziła do Białego Domu Donalda Trumpa – komentuje historyk i podkreśla, że to pierwsze jest przecież udowodnione, a to drugie jest jedynie spekulacją jednej strony politycznej. Szumiło jest wieloletnim pracownikiem Instytutu Pamięci Narodowej, znawcą historii PRL. Dla niego jest oczywiste, że Polska „ludowa” powinna być pisana właśnie w cudzysłowie, a nie tak jak w peerelowskich pismach: Polska Ludowa. Bolszewicy w Rosji założyli Związek Sowiecki, a określenie „Radziecki” wprowadzili do języka polskiego, by wystrzec się słowa „sowiecki”, które antykomunistyczni Polacy kojarzyli negatywnie. W tej terminologii trzeba zrobić porządek, bo kiedy używamy różnych nazw i pojęć na to samo zjawisko, to dyskusja staje się coraz trudniejsza.

Wyklinał przez lewicę wątki związane z Janem Pawłem II czy Żołnierzami Wyklętymi nie będą żadną szkolną rewolucją. Skandalem było to, że młodzi Polacy podczas edukacji nie poznawali dzieł Polaka, który został głową Kościoła katolickiego i przyczynił się do rozpadu bloku komunistycznego. Przeciwnicy Czarnka nie chcą czytać o żołnierzach powojennego podziemia niepodległościowego, ale w mainstreamie wiedza na ten temat bliższa jest artykułom Mariana Turskiego z „Polityki” lat 60., gdy ten polski bunt był postrzegany jako nedorzeczna wojna bratobójcza. Zbyt dużo dokonano odkryć na temat powojennej historii, by jej nie aktualizować.

Równie nedorzeczne są zastrzeżenia wobec pisarki Zofii Kossak, której przypisuje się antysemityzm. Pamiętamy, że to ona, a nie Irena Sendlerowa, założyła Żegotę – konspiracyjną organizację ratującą Żydów, w której Sendlerowa była aktywną i zaangażowaną, ale jednak podopieczną podlegającą pisarce. Potępienie pisarstwa Zofii Kossak jest wręcz żalodne – jej trylogia „Krzyżowcy” jest nie tylko opartą na źródłach historycznych powieścią o średniowiecznych krucjatach, lecz była swojego czasu bestsel-

lerem nawet w Stanach Zjednoczonych, gdzie sprzedano jej setki tysięcy egzemplarzy. Czy ma być tak, że Amerykanie lepiej znają polską pisarkę niż my sami?

Zmiany nie ominą także szkolnictwa wyższego – Jarosław Gowin dał rektorom uniwersyteckim ogromną władzę i zmniejszył różnice między stopniami naukowymi tak, że w ostatnich latach spadła lista nominacji profesorskich – doktorzy habilitowani nie mają potrzeby starać się o dalszy awans. Uniwersytety zachowają swoją autonomię, ale będzie ona rozłożona także pomiędzy rady wydziału i rady uczelni. System władzy ma być mieszany, a nie tak centralistyczny, rektorski jak teraz.

Ma nastąpić także demonopolizacja przyznawania tytułów naukowych. Obecnie funkcjonuje Rada Doskonałości Naukowej, w której nie ma dwuinstancyjności. Każdą dyscyplinę reprezentuje trzech członków rady, którzy sami wyznaczają 15 kandydatów na recenzentów, a potem losują pięciu z nich, jakby ich wpływu na procedurę było mało, stają się referentami sprawy. Słowem: Gowin stworzył organ, którego członkowie mogą w sposób niemalże nieograniczony zatrzymać czyjąś karierę naukową – i te narzędzia pozostają w gestii zaledwie trzech ludzi (z danej dziedziny naukowej). Ekspersi ministra chcą tutaj przywrócić pełną dwuinstancyjność, żeby garstka profesorów-znajomych nie monopolizowała przyznawania profesur.

Sprzątanie po Gowinie ma jednak szerszy wymiar, bo jego reforma uderzyła w polską humanistykę. Bardziej opłacało się pisać o gender do zagranicznego pisemka, niż prowadzić poważne badania historyczne na temat Polski – teraz polskie pisma będą lepiej punktowane. Kolejnym wrzodem polskiego szkolnictwa jest tzw. ewaluacja, czyli nieustające pomiary dorobku naukowego, efektywności i poziomu nauki. To sprawa niezwykle delikatna, bo trudno jest mierzyć efektywność humanistyki, a biurokratyzacja tej ewaluacji nie oddaje prawdziwych osiągnięć naukowców. Prof. Włodzimierz Bernacki, pełnomocnik rządu ds. monitorowania wdrażania reformy szkolnictwa wyższego i nauki, wskazuje grzechy obecnej ewaluacji: – Teraz nie ocenia się dorobku naukowego w obrębie po-

szczególnych wydziałów, ale dla całego uniwersytetu – tłumaczy wiceminister. Czyli gdy na jednej uczelni mamy wybitną pracę historyków i językoznawców, ale gorszy okres mają biologowie i geografowie, to ocena – liczona dla całego uniwersytetu – wypada średnio. Profesor podkreśla, że wyniki ewaluacji są kluczowe – od nich zależy, czy uczelnia będzie miała uprawnienia do prowadzenia szkół doktorskich, jakie będzie miała dotacje, jakie kierunki może otworzyć.

Odpolitycznienie uczelni może się okazać przełomowe dla polskich elit profesorskich. Ministerstwo opracowało Pakiet Wolności Akademickiej, dzięki czemu nauczyciele szkół wyższych nie będą mogli być pociągnięci do odpowiedzialności za swoje wyznanie czy światopogląd. Nawet jeśli władze uczelni, pod wpływem nacisków lub medialnej hysterii, wdrożą postępowanie wyjaśniające, to wykładowca nie będzie mógł być zawieszony, dopóki sprawa nie zostanie wyjaśniona.

Następnym krokiem do odideologizowania uniwersytetów będzie uporządkowanie kwestii „pełnomocników” uniwersyteckich. W ostatnich latach namnożyło się stanowisk zajmujących się „równością”, „plciowością” i roztrząsaniem, jakimi zaimkami trzeba się zwracać do studentów. Teraz w planach jest zarezerwowanie stanowiska „rzecznika” tylko do spraw dyscyplinarnych. Rektor będzie mógł sobie powoływać ludzi do pilnowania zaimek 55 płci genderowych, ale nie będą oni mieli takiego autorytetu jak obecnie specjalnie do tego wyznaczone osoby.

Lista zmian opracowywanych w Ministerstwie Edukacji i Nauki jest długa, wciąż jest uzupełniana i doprecyzowywana. Grono doradców i ekspertów pochodzi z różnych uczelni i od lat dyskutuje nad kondycją polskich uniwersytetów i szkół. Planowana reforma będzie wpuszczeniem świeżego powietrza do skrzepowanej poprawnością polityczną humanistyki, stworzy też dodatkowe programy ministerialne, a procedury awansu będą mniej zależne od kaprysów wąskiego grona. Dobrze by było, by w dyskusji nad tymi zmianami opozycja sięgała po poważniejsze argumenty niż wyzwicka i przekręca słowa samego ministra.



Kogo uwiera Glik?

Anglicy przyjechali na mecz do Warszawy z góry uprzedzeni do gospodarzy. Ich drużyna, która przed każdym meczem klęka na jedno kolano, aby oddać w ten sposób cześć ofiarom brytyjskiego kolonializmu, chce najwyraźniej uchodzić za bardzo postępową. Z kolei Polacy – jak wiadomo – za apostołów postępu nigdy nie uchodzili i miejmy nadzieję, że tak już pozostanie



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Kamila Glika kibicom piłki nożnej przedstawiać nie trzeba. Od wielu lat podpora obrony polskiej reprezentacji, piłkarz z dużym temperamentem, który – gdy trzeba uchronić drużynę przed utratą bramki – nie unika na boisku ostrych starć ani akcji. O ile Robert Lewandowski jest

perfekcyjnym snajperem, o tyle Glik jest kimś w rodzaju ulana, który przypuszcza swoje szarże, gdy wszyscy inni zawiodą i przeciwnik już podchodzi do bramki. Taka rola wymaga oczywiście dużego wyczucia, ale w ferworze meczu dochodzi niekiedy do mocnych spięć lub fauli.

Z taką sytuacją mieliśmy do czynienia podczas niedawnego meczu eliminacji mistrzostw świata z Anglią, gdy Polacy zatrzymali zwycięski pochód Albionu i w doliczonym czasie gry wyrównali na 1:1. Anglicy najwyraźniej nie mogli się pogodzić z tym wynikiem, więc zaczęli szukać dziury w całym. Tą dziurą miał się okazać Glik, który rzekomo wykonywał rasistowskie gesty wobec ciemnoskórego piłkarza Anglii Kyle'a Walkera.

Medialna burza wywołana przez Anglików ujawniła wielkie spektrum zupełnie niesportowych emocji i uprze-

dzeń będących odbiciem dzisiejszej zideologizowanej rzeczywistości. A Kamil Glik został przez chwilę – zapewne wbrew swoim intencjom – przeniesiony z boiska na zupełnie inne pole walki. Jedni, którzy kochają jego ułańską zadziorność, twardo stanęli w jego obronie, a inni ostro go zaatakowali, widząc w nim rzekomego rasistę i symbol niepoprawnego macyzmu. W ten sposób ocena Glika zdecydowanie wykroczyła poza kwestie sportowe i stała się problemem określonego światopoglądu oraz stosunku do zmian cywilizacyjnych.

GEST, KTÓREGO NIE BYŁO

Wszystko zaczęło się w chwili, gdy podczas jednej z akcji Glik złapał Walkera za brodę. Zachowanie niezbyt sportowe, ale takie rzeczy zdarzały się i zdarzają się na boisku notorycznie. Gdy potem Polak wyciągnął do niego dłoń, ciemnoskóry zawodnik nie przyjął przeprosin i doszło do utarczki. Glik wykonał wówczas pod adresem Walkera gest otwarcia i zamknięcia dłoni, który oznacza „przestań się awanturować”, ale przewrażliwieni Anglicy natychmiast zinterpretowali to jako „naśladowanie małpy”, a więc gest rasistowski.

Ta reakcja angielskich zawodników skądinąd dużo nam mówi o nich samych. Może ona bowiem oznaczać, że rasistowskie gesty i zachowania musiały być w środowiskach, w których się wychowali, bardzo popularne, skoro teraz – w przeciwieństwie do Polaków – wszystko im się z nimi kojarzy. Szczególnie nadgorliwy okazał się tu angielski obrońca Harry Maguire, który wprawdzie stał daleko i niewiele widział, ale natychmiast stanął w obronie Walkera, popychając Glika i oskarżając go o rasizm. Przepychanki, które niemal zakończyły się bójką, przerwał sędzia, pokazując Glikowi i Maguire'owi żółte kartki.

Być może wszystko mogłoby się na tym zakończyć, zwłaszcza że Anglicy, strzelając Polsce bramkę, wyszli w końcu na prowadzenie, jednak w ostatnich minutach meczu – w doliczonym przez sędziego czasie – Polacy wyrównali i Anglicy wrócili do szatni

z remisem. Frustracja z powodu wyniku meczu przerodziła się wkrótce w oskarżenia Polaków o rasizm. Sprawa rzekomych gestów Glika została skierowana do FIFA, a angielskie media podkreśliły złe emocje.

Wkrótce po meczu żona Kamila Glika zaczęła otrzymywać pogrozki, w których piłkarzowi życzone śmierci. „J...ana świnię, mam nadzieję, że twojemu chłopakowi stanie się coś złego. Z przyjemnością popatrzę, jak wasza rodzina umiera” – napisał do Marty Glik niejaki Lewis Porter. Z kolei inny hejter podpisujący się jako Brodey Rodgers dodał: „Mam nadzieję, że nie otworzy

Sportowcy tacy jak Glik – w odróżnieniu od ideologicznych fanatyków – nie dzielą zawodników na czarnych ani białych, lecz najwyżej na mydlków i twardzieli. Taka postawa jest jednak niepoprawna

się wam spadochron. Obyście cierpieli”. Takich wiadomości było znacznie więcej. Wprawdzie w nowoczesnej i postępowej Anglii tego rodzaju hejt nie jest podobno niczym szczególnym, niemniej jednak w polskiej „zacofanej” kulturze wyrażanie śmiercią jest ciągle uważane za przekroczenie dozwolonych granic.

W obronie Glika twardo stanęli polscy kibice, którzy doskonale wiedzieli, że zarzuty o rasizm są naciągane. Oponowali również komentatorzy sportowi, działacze i byli piłkarze, wskazując, że oskarżenia Angliców wynikają z ich frustracji spowodowanej wynikiem meczu. „Bezpodstawne i szkalujące dobre imię reprezentantów Polski oskarżenia o rasizm są szokujące i godzą w dobry wizerunek polskiego futbolu” – napisał w swoim oświadczeniu wiceprzewodniczący UEFA Zbigniew Bo-

niek. „Emocjonujący mecz, nawet nie zakończony korzystnym rezultatem dla jednej z ekip, nie powinien mieć takiego epilogu, w którym zarzuca się nieprawdziwe i skandaliczne zachowania przedstawicielom reprezentacji Polski” – stwierdził były prezes PZPN. W podobnym tonie wypowiedział się również obecny szef PZPN Cezary Kulesza, zapewniając, że związek stoi murem za Kamilem Glikiem. „Kamil wielokrotnie udowydniał swoją klasę zarówno na boisku, jak i poza nim. Jest wzorem do naśladowania, jeśli chodzi o charakter i wolę walki” – napisał zaraz po wysunięciu zarzutów przez Angliców, a kilka dni później zasugerował, że Kyle'a Walkera szafującego bezpodstawnie zarzutami rasizmu należałoby w odpowiedzi oskarżyć o naruszenie dobrego imienia Glika.

Sam Glik w ogóle nie wypowiedział się na ten temat. Po prostu lekceważąco machnął ręką na Angliców, rzucając krótko, że całą sytuację na boisku zarejestrowały kamery, więc on nie ma się czym przejmować. Histeryzowanie zdecydowanie nie jest w jego stylu.

POSTĘPOWA DRUŻYNA

Jednak nie tylko wynik meczu wywołał wściekłość Angliców. Prawda jest bowiem taka, że goście przyjechali do Warszawy z góry uprzedzeni do gospodarzy. Angielska drużyna, która przed każdym meczem klęka na jedno kolano, aby oddać w ten sposób cześć ofiarom brytyjskiego kolonializmu, a jej kapitan włożył podczas ostatnich mistrzostw Europy tęczaową opaskę, chce najwyraźniej uchodzić za bardzo postępową. Z kolei Polacy – jak wiadomo – za apostołów postępu nigdy nie uchodzili i miejmy nadzieję, że tak już pozostanie.

Gdy więc rozpoczynał się mecz i Anglicy padli na jedno kolano (skądinąd ich czarnoskórzy zawodnicy z niewiadomych powodów też muszą „przepraszać” za kolonialne grzechy swoich przodków) polskie trybuny, które najpierw brawami przyjęły hymn Anglii, wygwizdały ten groteskowy rytuał, co – rzecz jasna – podgrzało atmosferę. Jeśliby oceniać

bowiem stosunek Anglików do Polaków tylko na podstawie relacji z meczu zamieszczonej na stronach internetowych lewicowego dziennika „The Guardian”, to trzeba by chyba stwierdzić, że jesteśmy w ich oczach spadkobiercami Hitlera i ucieleśnieniem najgorszych cech ludzkich. „Operator kamery w dalszym ciągu kieruje obiektyw na dzieci wśród [polskich] kibiców. Nie wiem, czy celowo wyszukują najbardziej aryjsko wyglądających młodych, czy wszystkie dzieci w Warszawie okazują się blondynami” – można było przeczytać w sprawozdaniu opublikowanym na stronie postępowego i żarliwie walczącego z dyskryminacją brytyjskiego dziennika. Zabrakło jedynie aluzji do nazwiska Glika, które w oryginalnej, niemieckiej wersji pisze się Glück, ale chyba tylko dlatego, że po pewnym czasie ktoś bardziej przytomny usunął głupawe wyrzucenia nadmiernie „zaangażowanego” sprawozdawcy. Nie sądzę jednak, że uprzedzony kretyń, którego redakcja „The Guardian” nieopatrznie posadziła przy klawiaturze, był wyjątkowym zjawiskiem na tle brytyjskiego społeczeństwa. Anglicy, podobnie jak większość zachodnich społeczeństw, są przecież nieustannie karmieni fałszywymi stereotypami o Polakach przedstawianych jako antysemita, faszysta, a w najlepszym razie nierozgarnięte chamy. W przypadku Anglików swoje robi tu jeszcze ich historyczna niechęć do katolików.

Oczywiście protekcyjny, arogancki stosunek do Polaków – czy generalnie do wschodnich Europejczyków – niewiele różni się od tego, jaki prezentowano do niedawna na Zachodzie wobec czarnoskórych. Tyle że dziś jest to politycznie niepoprawne, więc złe emocje znajdują swoje ujście już tylko w naszej części świata. Przy tej okazji, piętnując rasizm i faszyzm, rzekomo rozpowszechnione w Polsce i wschodniej Europie, zachodnie społeczeństwa odcinają się od swojej niechlubnej kolonialnej, rasistowskiej przeszłości i przedstawiają się swoim dawnym ofiarom jako ich najwięksi obrońcy.

My z kolei jesteśmy łatwym celem. Atakowanie nas niczym nie grozi,

zwłaszcza że zawsze znajdują się tacy, którzy pod wpływem nawet najmniejszego pomruku niezadowolenia płynącego z Zachodu natychmiast staną na baczność i uderzą się w pierś.

CZARNE PROROCTWA STUHRA

Posłanka Lewicy Anna Maria Żukowska jest zwykle bardzo wyrywna na Twitterze. Jednak szybkie, nieprzemyślane wpisy zazwyczaj nie przynoszą intelektualnej chwały, czego dowodem jest jej komentarz zamieszczony po meczu z Anglią, gdy napisała, że Polacy – podobnie jak Anglicy – mają za sobą

Piętnując rasizm i faszyzm, rzekomo rozpowszechnione w Polsce i wschodniej Europie, zachodnie społeczeństwa odcinają się od swojej niechlubnej kolonialnej, rasistowskiej przeszłości i przedstawiają się swoim dawnym ofiarom jako ich najwięksi obrońcy

niechlubną przeszłość kolonialną, bo „przez wieki kolonizowaliśmy dzisiaj: Litwę, Białoruś, Ukrainę, Słowację”. Nie ma tu sensu pastwić się nad posłanką, która najwyraźniej uważa, że Jagiello był kimś na kształt afrykańskiego czarownika skolonizowanego przez Polaków, a potem brutalnie ochrzczonego i siłą umieszczonego na tronie w Krakowie. Chodzi raczej o to, że z punktu widzenia środowisk, które ona reprezentuje, Polska powinna ciągle wykazywać, że jej przeszłość jest bardziej podła od przeszłości innych państw europejskich, co – jak można rozumieć – poprawi humory zachodnim Europejczykom i sprawi, że nas trochę polubią i zaakceptują.

Na podobnym poziomie wypowiedział się Maciej Stuhr, który z meczu zapamiętał tylko to, że Polacy wygwizdali klęczących Anglików. I bardzo mu z tego powodu było wstyd, bo przecież co sobie Anglicy o nas teraz pomyślą. Nasz dystans wobec przepraszania Afrykanów za kolonialne grzechy skłonił zdruzgotanego aktora do ogólniejszej konkluzji, że „po prostu tacy jesteśmy i tego chcemy. Nie szczepimy się, nienawidzimy czarnych, Żydów i pedałów, nie chcemy pomagać innym, gardzimy nauką, sztuką, prawem. Mamy w dupie trójkątny podział władzy i wolne media. Po prostu nic, ale to nic nas to nie obchodzi”. Swoją pomocową refleksję Stuhr zakończył słowami: „Myślę, że wyjdziemy z UE. To nie jest dla nas miejsce”.

W zdecydowanie mniej apokaliptycznych barwach niż Stuhr widzi przyszłość Polski większość kibiców. Dla nich mecz z Anglią był po prostu kolejnym spotkaniem w ramach eliminacji mistrzostw świata. Ale liberalna lewica nie lubi kibiców – zwykle zresztą z wzajemnością. Kibol to dla lewicy archetyp agresywnego samca, nieokrzesanego, wulgarnego mizogina. A przy tym popadającego podczas meczów w prymitywne, nacjonalistyczne uniesienia. Gdyby lewica mogła, to zapewne doprowadziłaby do likwidacji rywalizacji na poziomie narodowym. Oczywiście po to, aby zapobiec erupcji faszyzmu.

Na razie jednak postępowcy próbują zmienić sport od środka, nadając zawodom tęczowe barwy i umieszczając wśród zawodników osoby transpłciowe.

Na tym tle sportowcy tacy jak Kamil Glik są przedstawicielami starej, dobrej szkoły. Honorowi, zadziorni, czasem nieokrzesani, ale za to pełni temperamentu i z charakterem. Tacy, którzy – w odróżnieniu od ideologicznych fanatyków – nie dzielą zawodników na czarnych ani białych, lecz co najwyżej na mydlków i twardzieli. Dziś się okazuje, że taka postawa jest niepoprawna. Jeżeli jednak wszyscy ulegną ogarniającemu nas postępowemu szaleństwu, to sport, jaki znamy, przestanie istnieć.

**KUPUJĄC PRODUKT Z TYM OZNACZENIEM
MASZ PEWNOŚĆ, ŻE JEST TO CERTYFIKOWANY I W PEŁNI
KONTROLOWANY PRODUKT EKOLOGICZNY**



#KUPUŚWIADOMIE

#SolidarnizRolnikami



MINISTERSTWO
ROLNICTWA
I ROZWOJU WSI



Krajowy Ośrodek
Wsparcia Rolnictwa

Trudna sztuka

W Polsce osobie publicznej dość trudno się skompromitować. Wyborcy i fani są w stanie wiele wybaczyć. Wiele, ale czy wszystko?



DOROTA ŁOSIEWICZ

PRZYPADEK BEATY K.

Opinię publiczną zelektryzowała niedawno wiadomość, że znana i lubiana piosenkarka Beata Kozidrak prowadziła samochód pod wpływem alkoholu. Według policji miała około dwóch promili alkoholu w wydychanym powietrzu. Piosenkarka usłyszała zarzuty prowadzenia w stanie nietrzeźwości i przyznała się do winy. Odmówiła jednak składania zeznań. Za alkoholowy rajd grozi jej do dwóch lat pozbawienia wolności. Czy to jednak zakończy jej karierę muzyczną? Wątpliwe.

– Beata Kozidrak przyjęła najlepszą z możliwych strategii. Przyznała się,

przeprosiła, nie tłumaczyła, że wlewała płyn do spryskiwaczy czy jadła jabłka, a były takie tłumaczenia w świecie polityki – komentuje sprawę Hubert Biskupski, wicenaczelnik dziennika „Super Express”. – Dlatego myślę, że dość szybko wróci do życia scenicznego. Na szczęście nie doszło do tragedii, nikt nie zginął, a w mediach społecznościowych pełno wpisów ludzi od prawa do lewa, którzy usprawiedliwiają, proszą, by nie hejtować piosenkarki, bo przecież przeprosiła, nie ma powodu, by się nad nią pastwić – dodaje Biskupski.

I WIELU INNYCH „POD WPŁYWEM”

To nie pierwszy taki przypadek wśród znanych i lubianych. Nie pomagają kampanie społeczne ani surowe kary. W ostatnich latach wielu celebrytów siadło za kierownicę, będąc w stanie upojenia alkoholowego. Na przykład w 2014 r. Joanna Liszowska doprowadziła do kolizji

trzech samochodów. U aktorki stwierdzono wówczas 1,2 promila alkoholu we krwi. Liszowska otrzymała mandat w wysokości 400 zł oraz 6 pkt karnych. Została też skazana na karę pięciu miesięcy prac społecznych i dwuletni zakaz prowadzenia pojazdów. Katarzyna Figura dwa razy wpadła na prowadzeniu „pod wpływem”. Po raz pierwszy w 2008 r. w Polsce, gdy jechała na próbę do teatru (wykryto u niej wtedy 0,22 promila) i w 2012 r. w USA. Aktorkę zatrzymano w mieście Canandaigua w stanie Nowy Jork, kiedy wioząc jedną z córek, prowadziła samochód na podwójnym gazie. Figura straciła wtedy prawo jazdy. W 2009 r. Tomasz Stockinger prowadził auto pod wpływem alkoholu i spowodował wypadek na trasie. Alkomat wykazał wówczas 2,3 promila. Aktor publicznie przeprosił za swój błąd, a po trzech latach ponownie podszedł do egzaminu na prawo jazdy. Sprawa tym bardziej obciążała wizerunek aktora, że przed wpadką był twarzą kampanii promującej bezpieczną jazdę. Daniel



kompromitacji

Olbrychski został zatrzymany przez policję pod Warszawą, mając 0,9 promila alkoholu we krwi. „Rzeczywiście, potwierdzam to, co się zdarzyło, można się tylko uderzyć w pierś. Nie wolno po zakrapianej kolacji wsiadać za kółko kolejnego dnia po południu” – tłumaczyła męża Krystyna Demska-Olbrychska. Aktor stanął przed sądem. Wyrok zapadł w 2015 r.: 10 tys. zł grzywny i trzyletni zakaz prowadzenia pojazdów. Dla odmiany Renata Dancewicz straciła prawo jazdy na 6 miesięcy. Podczas rutynowej kontroli drogówki okazało się, że alkomat wskazał 0,4 promila.

– Celebryci przyjmują z reguły dobrą strategię. Okazują skrupę, przepraszają i przyznają się do winy. Czasami pojawia się próba umniejszenia winy, minimalizowania strat, ale to jest gorsza ścieżka – mówi Grzegorz Jankowski, były redaktor naczelny „Faktu”. – Nie ma chyba takiej kompromitacji, po której nie dałoby się podnieść. I nie wiem, czy to dobrze, czy źle, ale tak jest. To trochę wynika z tego, jakim jesteśmy społeczeństwem. Reprezentantów w Sejmie mamy takich, jacy sami jesteśmy. Podobnie jest z elitami i gwiazdami. Są takie, jakie sobie

wypracowaliśmy. Wszelkie gafy, wpadki i kompromitacje wybaczymy dlatego, bo wiemy, że nam też może się coś takiego przydarzyć. W Polsce każdego dnia setki osób wsiadają za kierownicę po alkoholu. To się zdarza w każdej grupie społecznej i zawodowej, tak samo dotyczy robotników, inżynierów, lekarzy. Dotyczy też gwiazd. Jest coś w rodzaju społecznego przyzwolenia na tego rodzaju zachowanie – komentuje Jankowski.

UPADEK PRZEKUĆ W SUKCES

13 lat temu aktor Borys Szyc stracił prawo jazdy na dwa lata za prowadzenie pojazdu „na gazie”. 11 lat temu modelka Ilona Felicjańska spowodowała wypadek, mając w wydychanym powietrzu 2,3 promila alkoholu. Oboje jednak przekuli te historie w swój sukces. Felicjańska przyznała się do uzależnienia. Dekadę później świadomie wspiera osoby uzależnione i planuje założenie własnego ośrodka terapeutycznego. Dobrym przykładem świeci także Borys Szyc.

– Borys Szyc od kilku lat przepięknie trzeźwieje. Solidnie pracuje i, co nie jest bardzo częste, postanowił powie-

dzieć o problemie i swojej drodze wyjścia z niego. Przyznał się, że był na dnie i traktował swoje życie dosyć swobodnie. Jego praca to coś, przed czym chylę czoło – mówił mi kiedyś w wywiadzie dla „Sieci” dziennikarz Rafał Porzeziński, twórca cyklu „Ocaleni” w TVP1. – Osoby, które były na tyle odważne, by zedrzeć z siebie maskę twardzieli i dzielić się owocem swojej pracy, wymagają elementarnego szacunku – tłumaczył dziennikarz.

– Kilka lat temu łatwiej byłoby wskazać osoby, które musiały odejść z życia publicznego po kompromitacji – mówi Hubert Biskupski, wicenaczelny „SE”. – Doszliśmy do takiego etapu, że właściwie nie ma niczego, co mogłoby polityka czy celebrytę skompromitować na tak długo, by taką osobę z życia publicznego wyeliminować. Po pierwsze, ludzka pamięć jest ułomna, a jeśli polityk jest dość zdeterminowany, to może odczekać jedną lub dwie kadencje i bez kłopotu powrócić, a dla elektoratu i towarzyszy partyjnych przeszłość nie ma wielkiego znaczenia. Podobnie jest w przypadku celebrytów. Coraz trudniej wskazać taką osobę, która swoim postępowaniem całkiem wykluczyłaby się z życia publicznego.

Dziś można powiedzieć i zrobić niemal wszystko – dodaje Biskupski.

ZAWÓD: BYŁY DZIENNIKARZ

Bywają jednak tacy, którzy są o krok wyeliminowania się na dobre z życia publicznego. „Nieźle” idzie Kamilowi Durczokowi, niegdyś znanemu i szanowanemu dziennikarzowi. „Nazywam się Kamil Durczok. Jestem alkoholikiem. Aktualnie niepijącym. Rozumiem, co przeżywa teraz Beata Kozidrak. Zanim jakiś narodowy kaznodzieja zechce stwierdzić, że oto pijak broni pijaka albo gwiazda gwiazdę, powiem jasno: nie da się usprawiedliwiać tego, co zrobiliśmy. Głupota, zagrożenie? Chwila zapomnienia? (...) To, co zrobiliśmy, to rzecz straszna. Każdy z Was mógł być naszą ofiarą” – napisał Durczok, który stanął w obronie Kozidrak w tekście dostępnym przez aplikację Durczokracja. „Piszę, bo choć nie da się usprawiedliwić i wytłumaczyć tego, co zrobiliśmy, ponosimy niezaskuszone, dodatkowe kary. (...) Beata Kozidrak dostarczała nam wielu wzruszeń i emocji. Ja próbowałem dostarczać informacji, by ludzie lepiej rozumieli świat. Nie ma powodu, byśmy przepłacali za nasze błędy” – tłumaczy były dziennikarz, a na koniec dodaje w swoim stylu: „W d*pie mam opinię kilku milionów baranów, z którymi, oprócz dowodu osobistego z nadrukiem PL, nic mnie nie łączy” – deklaruje Durczok.

Były szef „Faktów” TVN w lipcu 2019 r. spowodował wypadek samochodowy. Okazało się, że w wydychanym powietrzu miał aż 2,6 promila alkoholu. Prowadzony przez niego pojazd wypadł z pasu ruchu i staranował barierki. Ale dziennikarz ma na swoim koncie znacznie dłuższą listę „wybryków” dyskwalifikujących go z życia publicznego. Kolejne to podejrzenia o oszustwo i podrobienie weksla. Sprawa wyszła na jaw po tym, jak była żona gwiazdy zaprzeczyła, że złożyła swój podpis na wekslu. Oświadczyła, że podpis został podrobiony, a jej nie było przy sporządzeniu dokumentu. Jeszcze wcześniej media ujawniły „ciemne strony” Durczoka, donosząc o zaległych opłatach za czynsz za

apartament na stołecznym Mokotowie, znalezionych tam środkach odurzających, mobbingu oraz domniemanym molestowaniu seksualnym „w jednej z dużych stacji telewizyjnych”. 13 lutego 2015 r. powołano w TVN komisję badającą zarzuty dotyczące mobbingu i molestowania, mającą na celu zbadać sprawę. Pełna treść raportu wyciekła jesienią 2015 r. Pracownicy przyznali, że Durczok dopuścił się wobec dwóch podlegających mu kobiet czynów noszących znamiona molestowania, a wobec czterech innych osób – mobbingu.

– Przygody Kamila Durczoka definitywnie wyeliminowały go z dziennikarstwa. Choć on próbuje wrócić, to już chyba nie jest możliwe. Ale w jego przypadku nie chodziło tylko o alkohol,

Nie ma chyba takiej kompromitacji, po której nie dałoby się podnieść. I nie wiem, czy to dobrze, czy źle, ale tak jest. To trochę wynika z tego, jakim jesteśmy społeczeństwem – mówi Grzegorz Jankowski, były naczelny „Faktu”

lecz o poważne zarzuty natury prawnej. Za dużo się nazbierało. Ale nie wiem, czy gdyby się bardzo uparł, to nie udałoby mu się wrócić – komentuje publicysta Wiktor Świetlik.

Dziś Durczok najaktywniejszy jest w mediach społecznościowych, gdzie śledzi go wierne grono niezrażonych fanów. Być może pasuje im ryszotkowa stylistyka wypowiedzi.

Nieźbyt dobrze ma się inny dziennikarz, Piotr Najsztub. W październiku 2017 r., jadąc chevroletem bez aktualnych badań technicznych i ubezpieczenia, potracił na pasach 77-letnią kobietę. Jakby tego było mało, okazało się, że dziennikarz nie miał prawa kie-

rować jakimkolwiek pojazdem, bo dziewięć lat wcześniej stracił prawo jazdy za przekroczenie limitu punktów karnych. Najsztub stanął przed sądem i usłyszał zarzut nieumyślnego spowodowania wypadku drogowego, w którym osoba trzecia odniosła obrażenia. Proces trwał kilka miesięcy, a Najsztub został uznany za winnego zarzucanego mu czynu i skazany na grzywnę oraz wypłacenie poszkodowanej rekompensaty i pokrycie kosztów procesu. Ten wyrok Zbigniew Ziobro nazwał „zbyt pobłażliwym”. „Polacy oczekują, że prawo będzie równe dla wszystkich, bez względu na to, czy sprawca to osoba znana, czy nie. Wpływowy dziennikarz, który zresztą lubi moralizować, nie jest świętą krową” – grzmiał minister sprawiedliwości.

Jednak Sąd Rejonowy w Piaseczynie ponownie przeprowadził cały proces i uniewinnił dziennikarza. Prokuratura apelowała, ale warszawski Sąd Okręgowy podtrzymał tę decyzję w mocy. „Jechałem około 20 km/h, padał deszcz, pasy były niedoświetlone, nie miałem szans zahamować. Czuję teraz spokój. Sąd uznał, że zachowałem szczególną ostrożność, w związku z czym mnie uniewinniono” – tłumaczył później dziennikarz w „Dzień dobry TVN”.

To nie były jedyne problemy z prawem dziennikarza, który przez lata miał w tzw. środowisku opinię niezatapialnego. Czy wciąż tak się o nim mówi? Skazany na grzywnę Najsztub stracił pracę w jednym z portali internetowych,

a kilka miesięcy temu portale plotkarskie pisały o nim: „Piotr Najsztub na finansowym dnie. Tak źle w życiu dziennikarza jeszcze nie było!”. Wszystko z powodu związanych m.in. z lockdownem problemów finansowych restauracji, którą dziennikarz prowadzi wspólnie z partnerką.

POLITYCZNY KONIEC?

W Polsce niełatwo wypaść także z życia politycznego. Okazuje się, że można zostać wybranym na senatora, a nawet przewodniczącym senackiej komisji, mając na koncie prokuratorskie zarzuty. Stanisław Gawłowski został przewod-

niczającym nadzwyczajnej komisji do spraw klimatu, mimo że ciąży na nim aż siedem zarzutów, w tym cztery korupcyjne. Według śledczych miał przyjąć ponad 700 tys. zł łapówek. Za jego kandydaturą głosowali senatorowie Koalicji Obywatelskiej. „To kpina z obywateli” – komentowali politycy PiS po szokującej decyzji senatorów opozycji.

– Dlaczego tak się dzieje? Jeśli chodzi o politykę, to mamy tu dużą polaryzację, a co za tym idzie, jeśli ktoś związany z jedną stroną dyskursu publicznego się skompromitował, a druga strona to wykorzystuje, to ta osoba błyskawicznie jest pokazywana jako ofiara politycznego ataku, nagonki. Nawet przestępstwa z Kodeksu rodzinnego nie wykluczały takich osobników z życia publicznego, takie osoby i tak lądowały na listach wyborczych lub dostawały intratne posady – komentuje Hubert Biskupski. Zgadza się z nim Wiktor Świątek. – Jeśli chodzi o politykę, to bardzo trudno się skompromitować, ponieważ brakuje uniwersalnych norm. Zawsze to, co robią ci drudzy, jest straszne i niemoralne, a to, co robią nasi, jest OK. Z jednej strony wracają ludzie bardzo obciążeni, a z drugiej rozdmuchuje się nieistniejące afery, byle komuś dokopać – dodaje Świątek.

Wszyscy mamy w pamięci obronę przez politycznych kompanów Sławomira Nowaka. Podejrzanego o korupcję politykowi w lipcu w Prokuraturze Okręgowej w Warszawie przedstawiono uzupełniony zarzut. Obejmuje on przyjęcie dodatkowych korzyści majątkowych w kwocie 315 tys. euro w zamian za wspieranie konkretnej spółki w postępowaniach o udzielenie i wykonanie zamówień publicznych dotyczących budowy i remontu dróg na Ukrainie. Broniono także senatora Józefa Pinióra skazanego prawomocnie za korupcję. Z powodu lewych faktur i długu alimentacyjnego musiał za to zniknąć z pierwszego szeregu „walki o demokrację” lider KOD Mateusz Kijowski. Inni „obrońcy demokracji”, którzy świetnie sobie radzili w systemie, który z demokracją nie miał nic wspólnego, mają się jak pączki w masle na brukselskich etatach.

BANDA CYNIKÓW

– Kluczowe jest to, czy ktoś ma na tyle silną psychę i tupet, by pchać się do życia publicznego pomimo skandali – mówi Wiktor Świątek. – Przykładem wyjątkowego tupetu są historie postkomunistów. Mam na myśli Dariusza Rosatiego, Włodzimierza Cimoszewicza czy Leszka Millera. W sensie historycznym to byli wysoko postawieni działacze partii komunistycznej. Wydaje się, że oni przynajmniej w jednym obszarze powinni siedzieć cicho, czyli porównywania swoich przeciwników politycznych do komunistów. Nic bardziej mylnego. A gdy czyta się wpisy w mediach społecznościowych, np. Dariusza Rosatiego, to można mieć

Kluczowe jest to, czy ktoś ma na tyle silną psychę i tupet, by pchać się do życia publicznego pomimo skandali. Przykładem wyjątkowego tupetu są historie postkomunistów – komentuje publicysta Wiktor Świątek

wrażenie, że to wręcz były opozycjonista. Szczytem bezczelności jest to, co mówi o aferze FOZZ. Przecież ten polityk był w radzie nadzorczej Funduszu, to go bardzo obciąża. Tymczasem w twitterowej wymianie zdań z Zuzanną Falzmann, czyli córką inspektora, który wykrył aferę, zachowywał się, jakby to on sam tę aferę ujawnił. Rosati świetnie ma się w polityce, w biznesie. Zresztą jak cała jego rodzina. Wystarczy duża doza cynizmu, bezczelności i twardości. Nie masz skrupułów, to przetrwasz. To lekcja z historii Rosatiego – opisuje rzeczywistość Świątek.

Długo o wykluczenie z życia publicznego „walczył” były premier Kazimierz Marcinkiewicz, który na własne życzenie na całe lata stał się bohaterem pierwszych stron tabloidów. Śledzili-

śmy historię miłosnych uniesień byłego ZCHN-owca, który wcześniej porzucił żonę i czwórkę dzieci, a następnie historię końca „wielkiej miłości”, która przeszła w prawdziwą wojnę.

– Kazimierzowi Marcinkiewiczowi nie zaszkodził skandal obyczajowy, był rozważany jako kandydat do europarlamentu. Jego kariera przygasła dopiero, gdy się okazało, że nie płaci alimentów. Mimo to w biznesie wciąż robi karierę, odnosi sukcesy, czyli odnalazł się na innym polu – zauważa Grzegorz Jankowski.

– Marcinkiewicz bardzo długo funkcjonował, mimo kolejnych życiowych perypetii, w życiu publicznym, i to na pełnych prawach. Niewykluczone, że gdy sprawa z jego drugą byłą żoną się zakończy, to dawny polityk wróci do komentowania, a może nawet do polityki. Mieliliśmy takie wańki-wstańki. Weźmy choćby Bogdana Pęka, który został uwieczniony na zdjęciach, gdy leży „zmęczony” na korytarzu i co? I nic. Dalej funkcjonuje w polityce. Lata 90. obfitowały w skandale i powodowały szybsze i trwalsze wykluczenie polityków – wspomina Hubert Biskupski.

Z komentowania życia politycznego nie wykluczyła Aleksandra Kwaśniewskiego ani „choroba filipińska”, ani „kontuzja goleni prawej”, a Lecha Wałęsę nie zdołał strącić z piedestału (przynajmniej w oczach części opinii publicznej) fakt, że był agentem SB o numerze ewidencyjnym 12535, zarejestrowanym 29 grudnia 1970 r. jako tajny współpracownik „Bolek”.

Ze sceny politycznej (czy na dobre?) zniknął za to Ryszard Petru, który zajął się biznesem i stworzył własny think thank. – Ryszarda Petru nie wyeliminowała obyczajówka. Jego wyeliminował specyficzny sposób opisywania rzeczywistości i to, że uchodząc za eksperta od wszystkiego, na niczym się nie znał. Stał się człowiekiem memem polskiej polityki – śmieje się Świątek.

Choć w polskich warunkach naprawdę trudno „stracić twarz”, to jednak niektórym się udaje. Trzeba jednak na to pracować całymi latami. Polacy mają krótką pamięć i szybko wybaczą. W końcu nikt nie jest doskonały. 

W ciągu niespełna dwóch lat i po nagraniu dwóch albumów ten utalentowany młody człowiek stał się jednym z najpopularniejszych raperów w historii tego gatunku w Polsce. Potwierdzeniem jest m.in. to, że niedawno został on pierwszym polskim artystą z ponad 2 mln słuchaczy w serwisie streamingowym Spotify.

Oczywiście dopiero się okaże, jak wiele z jego muzyki rzeczywiście pozostawi ślady w polskiej kulturze. Natomiast już teraz możemy powiedzieć, że w kreacji jego kariery, oprócz talentu, ważną rolę odegrała rodzina. To, że raper jest synem Marcina Matczaka, prawnika, który w ostatnich latach stał się publiczną twarzą krytyków reformy sądownictwa PiS, od początku było podkreślane w mediach. Od początku, tzn. odkąd piosenka „Patointeligencja” (w której Mata rapuje o narkotykach i seksie wśród uczniów elitarnego liceum im. Stefana Batorego w Warszawie, którego sam był uczniem) stała się w grudniu 2019 r. wirtualnym hitem.

Choć w podobnych sytuacjach znani rodzice zwykle trzymają się z daleka od swoich dzieci znajdujących się na początku kariery, w przypadku prawnika Matczaka i jego syna tak nie jest. Marcin Matczak nie tylko wspiera syna, ale także bardzo aktywnie angażuje się w budowanie jego wizerunku. Niedawno się dowiedzieliśmy, że Mata konsultuje z ojcem treść swoich tekstów. Zwłaszcza gdy atakuje w nich osoby publiczne, choćby prezesa TVP Jacka Kurskiego czy sędziego Trybunału Konstytucyjnego Krystynę Pawłowicz. Prawnik sprawdza, czy jego syn nie rapuje czegoś, za co mógłby zostać pozwany.

KSIAŻKA OJCA

Matczak senior zrobił ostatnio kolejny krok we wspieraniu sukcesu syna. „Jak wychować rapera” to tytuł jego książki opublikowanej w wydawnictwie Znak.

Jak napisał we wstępie, chciał wyjaśnić czytelnikom, jak edukować obywatela, który będzie reagował na negatywne zjawiska wokół niego. „Główną tezą tej książki jest twierdzenie, że wychowujemy nasze dzieci głównie do posłuszeństwa, a zapominamy

w mediach głównego nurtu. Oprócz tego, że wywiady z Matczakiem pełne są ogólników i frazesów o wychowaniu dzieci, rodzicielstwie, demokracji, swobodach obywatelskich i podobnych „wielkich tematach”, ujawniają też pewną kontradycję jego poglądów i działań.

W wielkim wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” Marcin Matczak opowiadał o zagrożeniach polaryzacji społeczeństwa. „Napisałem tę książkę w dużej mierze po to, aby dać odpór narracji nastawionej na wyłączanie i odróżnianie. Jesteśmy my, dobrzy, mający rację, i oni, źli, w błędzie, będący dla nas zagrożeniem. To nie sprzyja spójności tkanki społecznej”, mówi prawnik w rozmowie.

Jednocześnie ten sam Matczak, który rzekomo walczy przeciwko polaryzacji, nie ma problemu z promowaniem swojej książki na Campusie Polska Przyszłości, czyli na wydarzeniu polityczno-ideologicznym, które od pierwszej do ostatniej minuty było naznaczone ostrą polaryzacją i wzywało do prześladowań tych, którzy myślą inaczej.

Ta rozbieżność między deklarowanymi ideałami a konkretną działalnością, czyli prościej mówiąc, hipokryzja, jest niestety częsta w naracji prawnika Matczaka.

Profesor deklaruje naukową bezstronność, ale cały czas zachowuje się jak działacz polityczny. Określa się jako praktykujący katolik, pełen otwartości, ale jednocześnie potępia wiarę innych ludzi („Przemysław Czarnek nie ma pojęcia, na czym polega chrześcijaństwo”). Twierdzi, że jego syn nie pretenduje do bycia głosem pokolenia, ale i on, i Mata mocno korzystają ze wsparcia lewicowo-liberalnych mediów, które w ten właśnie sposób prezentują młodego rapera – jako głos miejskiej młodzieży przeciwny „dobrej zmianie”.

W końcu Matczak senior napisał książkę o tym, jak „wychować rapera”, w której intymna relacja między ojcem a synem staje się rodzajem społecznego eksperymentu.

Jak wychować buntownika bez powodu

Michał „Mata” Matczak to fenomen medialno-muzyczny. I nie ma co do tego wątpliwości. Najciekawsze jest jednak to, jaką rolę w jego karierze odgrywa ojciec, znany prawnik, ostry krytyk reformy sądownictwa prowadzonej przez PiS



GORAN ANDRIJANIĆ

wychowywać je do buntu. Tymczasem porządny człowiek, a co za tym idzie – dobry obywatel, musi wykształcić w sobie zdolność do rebelii, jeśli okoliczności tego wymagają”.

Od kilku tygodni Matczak promuje swoją książkę dużymi rozmowami



Fot. Twitter

Ale chyba największa sprzeczność w wystąpieniach Matczaka związana jest z „filozofią buntu” i jego społecznymi konsekwencjami. Wyraźnie widać, że on i jego syn należą do establishmentu III RP, który przyjął ich bez zastrzeżeń i udziela im wsparcia we wszystkim, co robią.

JAKI BUNT

Przeciw komu zatem buntują się ci członkowie elity społecznej? Jaki jest bunt Maty, który w książce opisuje jego ojciec?

– Nie znam go osobiście, ale wydaje się pogodnym dzieciakiem z bogatego domu – opowiada o Macie ks. Jakub Bartczak, były raper, który po nawróceniu został księdzem. – Więc po co i w imię czego miałby się buntować? Dodatkowo sprawia wrażenie, że ma z rodzicami dobry kontakt. Bardzo fajnie rapuje, ale w jego tekstach nie ma żadnej rewolucji czy buntu. Tematy podejmowane w kawalkach też są dosyć typowe dla raperów jego pokolenia – zauważa Bartczak.

Młody ksiądz, który porzucił karierę muzyczną na rzecz Kościoła, skomentował także tytuł książki Matczaka o „wychowaniu rapera”. – Wydaje mi się, że raper wychowany to nie raper. Raper w rozumieniu klasycznego hip-hopu to raczej porażka wychowawcza, ponieważ rapu można się było nauczyć na podwórku od kolegów. W rozumieniu

rapu nowoczesnego, sądząc po wielkości tekstów nastawionych typowo hedonistycznie, to chyba jeszcze większa porażka.

Matczak senior buntowi swojego syna stara się nadać niemal metafizyczny ton. Jest jednak jasne, że ten rzekomy bunt ma bardzo wyraźne konotacje polityczne i wiadomo, do kogo jest skierowany.

Czy przypadkiem prawnik pochwalił się w przedmowie do książki, że odmówił przybycia do Pałacu Prezydenckiego, aby odebrać od Andrzeja Dudy dokument o nominacji profesorskiej. W samej książce, jak cytuje „Gazeta Wyborcza”, profesor obiecał, że będzie „je... zło”. Czyli nie będzie „je... PiS”, ale będzie „je... zło”. Bo to powinno brzmieć jakoś „szlachetniej”?

POLITYCZNY PRZESYT

Czy ten polityczny wymiar muzyki Maty na dłuższą metę zaszkodzi jego karierze?

Kamil Kwiatek, dziennikarz portalu wPolityce.pl i znawca polskiego hip-hopu, uważa, że Mata „ma ogromny talent”. – Z pewnością wniósł sporo świeżości do polskiego rapu. Wzbudza ciekawość nie tylko wśród swoich rówieśników, ale i u sporo starszych słuchaczy.

Pytamy Kwiatka, czy Macie może zaszkodzić rola „głosu pokolenia”? – To nie pierwszy raz, gdy jakiegoś rapera próbuje się przedstawiać jako głos po-

kolenia. Niedawno próbowano to zrobić z Taco Hemingwayem. Kiedyś za głos pokolenia uważano zespół Paktofonika. Wydaje mi się jednak, że osoby, które mają być odbiorcami takich procesów, są na to odporne. Gdy wspomniany Taco Hemingway nagrał kawalek „Polskie tango” tuż przed wyborami prezydenckimi, wiele osób myślało, że opozycja ma wygraną w garści, że młodzi muszą pójść za tym głosem. Tak się jednak nie stało.

– Wśród słuchaczy – przekonuje Kwiatek – jest też pewne przesylenie polityką. Słuchacze polskiego rapu są bardzo świadomi. Gdy raperzy coraz częściej w swoich tekstach sięgają po polityczne wątki, przeważnie utożsamiając się z lewicowo-liberalną częścią sceny politycznej, często są krytykowani przez swoich fanów. Przykładem jest poznański raper, legenda polskiej sceny hip-hopowej Donguralesko, który w swojej twórczości coraz częściej i mocniej porusza wątki polityczne i często musi się mierzyć ze strony swoich fanów z ostrą krytyką.

Jednak Kwiatek mówi, że jest też część publiczności, która chce słuchać w tekstach ataków na konserwatywny rząd. Dlatego niektórzy raperzy im to dają.

Ks. Jakub Bartczak ostrzega przed tym komercyjnym aspektem rapu. – Współczesny rap jest czymś zupełnie innym niż dawna kultura hip-hopu. Raperzy, wydaje mi się, dawno temu wykluczyli się ze społeczności hip-hopu jako jednego z elementów subkultury. Raper dziś to już bardziej wokalista, i to w stylistyce popowej. Liczą się wyświetlenia, melodia, lajki, zdjęcia teledyski, wygląd rapera itd. Dawne zasady i wiedza hip-hopu to również zamierzchnia przeszłość dla większości młodych raperów.

Sposób, w jaki establishment III RP prezentuje Matę i jego muzykę, wskazuje na absurdy dzisiejszych lewicowo-liberalnych elit. To ten rodzaj absurdu, który symbolizuje amerykańska polityk Alexandria Ocasio-Cortez, gdy przychodzi na modową imprezę w Nowym Jorku, za którą trzeba zapłacić 35 tys. dol., w sukni z napisem „Opodatkować bogatych”.

To, czy Mata pozostanie w otoczeniu „buntu bez powodu”, czy jednak pójdzie dalej – zależy tylko od niego.

Dobrze sformatowani

Odbiorcy TVN24 wcale nie marzą o wolnych mediach. Nie domagają się obiektywizmu dziennikarzy. Chcą politycznej krwi pisowców lejącej się z ekranu całą dobę



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Wystarczyła jedna zwykła rozmowa Katarzyny Kolendy-Zaleskiej z Radosławem Sikorskim, abyśmy zobaczyli, że uzależnieni od tej stacji żądają tylko jednego – okładania partii rządzącej w każdej sytuacji i nie zgadzają się choćby na słowo krytyki pod adresem opozycji.

Choć gwiazda TVN24 na początku usilnie powtarzała, jak to PiS chce rzekomo wyprowadzić Polskę z Unii Europejskiej, to w świadomości widzów pozostało to, co działo się w dalszej części. Czyli pytania o beczynność opozycji i brak pomysłu na skuteczne odwrócenie korzystnych dla rządu sondaży, a także przypomnienie skandalicznych słów Sławomira Nitrasa (zapowiadającego represje wobec katolików) oraz Tomasza Grodzkiego (dywagującego o sensowności likwidacji szpitali), jakie padły na olsztyńskiej imprezie Rafała Trzaskowskiego.

Wielu obserwatorów wrzuciło do jednego worka ten wywiad, a także roz-

mowę Konrada Piaseckiego z posłanką PO Izabelą Leszczyną (obiektywnie neutralną, jeśli chodzi o polityczne zaangażowanie) oraz Moniki Olejnik o beatyfikacji kardynała Wyszyńskiego (wyjątkowo nie tak zjadliwą wobec Kościoła jak zwykle).

GROŹBY OD WIDZÓW

Na całą trójkę (a zwłaszcza na Kolendę-Zaleską) natychmiast spadła lawina oburzenia. Jedni podważali jej warsztat zawodowy: „Pani Kolenda kwintesencja amatorszczyzny! Dramat!”, „Dawno nie słyszałam tak idiotycznych pytań jak te, które zadawała dziś Kolenda Sikorskiemu. Serio nikogo bardziej kompetentnego w TVN24?”. Ktoś sugerował, by Kolenda zajęła się przedstawianiem prognozy pogody, kolejny „by jej nie zatrudnił nawet w gazetce osiedlowej”.

Inni poważnie się przejęli, że TVN może zmienić kurs: „Jak nie Olejnikowa, to Kolenda. Na zmianę przywołają, jak nie Sikorskiemu, to Trzaskowskiemu. Dwie hołowniane syreny prowadzące TVN na skały”; „Uważam, że Kolenda, Piasecki oraz Olejnik szkoda TVN24. Discovery, czas na zmiany”; „Kolenda-Zaleska, Olejnik i Piasecki są nie do obrony, pora, by szefostwo TVN to zrozumiało, czas na młodych dziennikarzy nieskażonych symetryzmem”. Pytano, „dlaczego niektórzy dziennikarze sabotują własną stację”.

Wielu wyrażało żal, że stawiali w obronie stacji z Wiertniczej: „Tak się zastanawiam, czy pani Kolenda-Zaleska i pan Piasecki to nie jest pisowska 5. kolumna w TVN24. Jeszcze kilka takich wywiadów w ich stylu i stacja straci tych, którzy zawsze stawiali w jej obronie. Mnie na przykład”; „To brak szacunku do rozmówcy i przytakiwanie ewidentnym kłamstwom. Nie poprę więcej TVN. Przykro mi”.

Były też wprost wezwania, by dziennikarze gorliwie wspierali Tuska i jego partię: „[...] z dziennikarzami typu Piasecki, Kolenda-Zaleska itp. najlepszy nawet lider i jego znakomity program nic nie zmienia”; „Kolenda, podobnie jak Olejnik, wbijają w rozmówców szpile, by podnieść temperaturę rozmowy! Niby to leży w obowiązku dziennikarza, tym niemniej nie sprzyja to wizerunkowi opozycji! Wobec bezpardonowej propagandy lejącej się z TVP widzowie spodziewają się więcej sympatii dla PO!”.

Milczenia nie zachował sam Sikorski. Napisał: „Może trzeba było wytknąć Katarzynie Kolendzie-Zaleskiej, że są słabi, skoro *** nie daje im koncesji. Taka była mniej więcej linia jej argumentacji. Przypominam, że przepowiadałem, że jeszcze w drodze do pośredniaka nasi dzielni żurnaliści będą pomstować nie na zamordystów, lecz na opozycję”.

Ten festiwal pogardy odsłonił coś, o czym wszyscy w zasadzie już wie-

dzieli, lecz na potęgę temu zaprzeczali: TVN ma być zjadliwie antypisowski w każdym calu, w każdej minucie emisji. Standardy dziennikarskie mają tam nie obowiązywać.

Zobaczyliśmy nie tylko, jakiej stacji chcą jej widzowie – bo taka ich „wyhodowała”, taką pokochali, bez takiej nie potrafią żyć – lecz szerzej: o jakim rynku mediów marzą. Ich zdaniem nie może być żadnego miejsca w „dużych” mediach, które byłoby przychylne albo przynajmniej neutralne wobec partii rządzącej. To przecież ci sami ludzie – w wyniku szczucia polityków PO – domagają się likwidacji TVP Info. Dziennikarzy telewizji publicznej najchętniej widzieliby za kratami albo w najlepszym razie na bezrobociu.

Czy to lata oglądania „całej prawdy całą dobę” doprowadziły do tego, że kieruje nimi głównie abominacja?

BEZCZELNOŚĆ I PREMEDITACJA

Na wszystko, co ją dzisiaj spotyka, Katarzyna Kolenda-Zaleska przez lata ciężko sobie zapracowała. Jej odbiorcy po prostu nie znają jej innej. W atakowaniu PiS i Jarosława Kaczyńskiego jest wyjątkowo konsekwentna, robi to zarówno w telewizji, jak i na gościnnych łamach „Gazety Wyborczej”. Widzowie i czytelnicy wiedzą, że gdy trzeba uderzyć, dziennikarka nie zawaha się użyć wszelkich narzędzi, z bezwstydną konfabulacją włącznie. I w ogóle im to nie przeszkadza, a nawet wręcz przeciwnie.

Pół roku po katastrofie smoleńskiej Kolenda-Zaleska relacjonowała w „Faktach” TVN wydarzenia na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. Justyna Pochanke zapowiedziała materiał o przyniesionych przed Pałac Prezydencki „kwiatkach, zniczach, krzyżach, ale przede wszystkim pełnych agresji słowach”. Słyszymy m.in. wypowiedź Jarosława Kaczyńskiego: „Chcemy być wolnymi Polakami i chcemy, by ten kraj był nasz, był rzeczywiście nasz. By nikt nam nie narzucał obyczajów”. Kolenda-Zaleska dodaje, że prezes PiS miał powiedzieć

także: „I nadejdą jeszcze czasy, gdy prawdziwi Polacy dojdą do władzy”.

To nieprawda, takie słowa nie padły, ale relacja wystarcza, by rozpętać prawdziwą burzę. Rusza machina dezinformacji, każdy zapraszany do TVN24 komentator musi się odnieść do słów o „prawdziwych Polakach”. Julia Pitera, Małgorzata Szmajdzińska, Stefan Chwin, prof. Marcin Król i inni komentują zmyślony cytat. Na Kaczyńskiego sypią się gromy, są pełne egzaltacji wywody o odradzającym się faszyzmie, marszu z pochodniami oraz segregacji na naszych i obcych.

Inni poważnie się przejęli, że TVN może zmienić kurs: „Jak nie Olejnikowa, to Kolenda. Na zmianę przywołają, jak nie Sikorskiemu, to Trzaskowskiemu. Dwie hołowniane syreny prowadzące TVN na skały”

SYTUACJA ZACZYNA SIĘ WYMYKAĆ

Kolenda-Zaleska lubi kategoryczne stwierdzenia i podkreślanie atmosfery, powołuje się na swoje źródła, dokłada własną analizę i taką mieszanką raczy czytelników oraz widzów. Wieczór, 16 grudnia 2016 r., początek okupacji mównicy sejmowej przez posłów opozycji. Przed budynkiem zbierają się ludzie, powiewają flagi KOD, rewolucyjna atmosfera gęstnieje z minuty na minutę. „Nic w najbliższym czasie się nie zmieni. Bo jak się dowiedziałam, PiS postanowił przetrzymać posłów opozycji do skutku, a nawet do rana. [...] Być może posłów opozycji czeka tutaj długa noc” – to relacja dziennikarki w „Faktach” o godz. 19.

Co widać w mediach społecznościowych, dziennikarze sami siebie nakręcają. Tomasz Lis fantazjuje coś o gazie łzawiącym, ktoś to podchwytuje i po-

daje dalej. Późnym wieczorem Kolenda-Zaleska nadaje w TVN24 o posłach na sali plenarnej: „Rozeszła się pogłoska, że z trybuny sejmowej będą usuwani siłowo. [...] To Jarosław Kaczyński dzisiaj trzyma w garści rozwiązanie tej sytuacji, to do niego należy załagodzenie tych nastrojów. Bo naprawdę sytuacja zaczyna wymykać się spod kontroli i jest szalenie groźna. Jeśli posłów zacznie się tu wyprowadzać siłowo, to naprawdę ludzie, którzy stoją na zewnątrz, chyba tego nie wytrzymają, więc myślę, że Jarosław Kaczyński bierze na siebie ogromną odpowiedzialność za to, co dzisiaj w nocy może się w Polsce wydarzyć”. Dodajmy: nikt nikogo nie „wyprowadzał siłowo” ani nie miał takich zamiarów.

Za ten sposób relacjonowania wydarzeń z grudnia 2016 r. Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji nałożyła na spółkę TVN SA blisko 1,5 mln zł kary.

12 września 2019 r. Katarzyna Kolenda-Zaleska opowiada widzom wieczornych „Faktów” o przerwaniu posiedzenia Sejmu. Większość parlamentarna przegłosowała, że zostanie ono wznowione dopiero po wyborach. Wicemarszałek Ryszard Terlecki tłumaczył, że to przez krótką kampanię i że posłowie chcą jechać do swoich okręgów wyborczych. Ówczesny szef PO Grzegorz Schetyna stwierdził w materiale „Faktów”, że „nie ma pojęcia”, o co chodzi partii rządzącej, ale „na pewno to coś złego”. On nie wiedział, ona wiedziała. I powiedziała: „Nigdy żaden Sejm i żadna władza nie zostawiały sobie furtki na to, co po wyborach. Bo jeśli wynik wyborów będzie dla władzy niekorzystny, to władza będzie mogła zrobić wszystko z polską demokracją”. Znow zapowiedź jakiejś katastrofy.

To tylko kilka przykładów dotyczących tylko jednego pracownika. A przecież gwiazdy TVN mają w swoim arsenale jeszcze wiele różnorodnych narzędzi, które pomagają „wychowywać” zwolenników i pielęgnować w nich miłość do jednej partii i odrzę do drugiej. Tu nie chodzi o żadną wolność mediów. TVN jest twardym graczem na scenie politycznej. A „afera” z wywiadem Kolendy z Sikorskim tylko ten fakt uwypukliła.

Program, jakiego jeszcze nie było



21 września na antenie TVP1 zadebiutuje nowe pasmo dokumentalne „Pełny obraz”. To odważna decyzja władz telewizji publicznej, bo dotychczas dokumenty w godzinach najwyższej oglądalności pojawiały się rzadko. O tym, czego mogą się spodziewać widzowie, jaka będzie formuła programu, z pomysłodawcą i producentem nowego cyklu **Mariuszem Pilisem**, wielokrotnie nagradzanym reżyserem i scenarzystą, rozmawia Piotr Filipczyk

Pasmo dokumentalne zyskało nowe prestiżowe miejsce w ramówce TVP i będzie można oglądać je co tydzień. Może pan uchylić nam rąbka tajemnicy, czego możemy się spodziewać?

Mariusz Pilis: Pierwszy odcinek naszego cyklu będziemy mogli obejrzeć 21 września o godz. 21.00, czyli w prime time. Założenie jest takie, że nasze dokumenty będą się pojawiały co wtorek. Te filmy będą miały charakter tzw. current affairs, czyli będą doty-

czyły spraw bieżących, oczywiście nie w charakterze newsowym, ale tego, co jest społecznie dyskutowane, o czym Polacy chcą rozmawiać. Chcemy dotykać problemów społecznych, ale także polityki gospodarczej – koncentrujemy się na „polskich sprawach” i będziemy to robili cyklicznie.

Mamy programy reporterskie, ale zaproponowana forma filmów dokumentalnych to na polskim rynku medialnym nowość.

MARIUSZ PILIS

reżyser, dokumentalista, producent, realizujący od 30 lat filmy dla takich kanałów, jak TVP1, TVP2, TVN, BBC1, BBC4, Channel4, TV2 (Danmark), VPRO – (Netherlands), ARTE, Films Transit (Canada), TV Bulgaria, October Films (UK), Phanta Vision, Amago (Netherlands). Twórca i pierwszy dyrektor TVP Info, dyrektor Telewizyjnej Agencji Informacyjnej, obecnie prezes zarządu spółki Mewa Film sp. z o.o.

W pierwszym odcinku nowego programu TVP 1 widzowie zobaczą film dokumentalny o głośnej inwestycji na Mierzei Wiślanej



Tak. A przecież to jest taki format, który praktycznie ma każda szanująca się telewizja publiczna w Europie. W TVP takiego formatu dotychczas nigdy nie było. Postanowiliśmy podjąć wyzwanie, mając świadomość, że równolegle kształtuje się wyjątkowy, dedykowany do tego zadania zespół ludzi. Podjąłem się stworzenia zespołu, który będzie w stanie w formie filmów dokumentalnych w pasjonujący sposób opowiadać o historiach, które nas dotyczą i o których chcemy wiedzieć i o nich dyskutować. BBC ma swoją „Panoramę”, podobne formaty mają Holendrzy, Duńczycy, Niemcy czy Kanadyjczycy, Amerykanie. To są z reguły 50-, 45-, czasami 30-minutowe cyklicznie produkowane filmy dokumentalne. Nam najbardziej do gustu przypadła koncepcja zaproponowana przez Brytyjczyków, czyli właśnie „Panoramę”. To program, który od ponad 50 lat jest emitowany przez BBC. W taki prestiż chcemy celować,

choć jesteśmy dopiero na początku drogi.

Jak wyglądają polskie początki?

W tej chwili mamy umowę z Telewizją Polską na stworzenie 12 45-minutowych filmów. Te umowy podpisaliśmy

Zależy mi na tym, żeby nasze dokumenty były omawiane, cytowane, żeby na ich temat dyskutowano, jednym słowem – żeby zmuszały do myślenia, powodowały pozytywny ferment

z końcem zeszłego roku i od początku 2021 r. już je realizujemy i dokumentujemy. Tematykę oczywiście omówiliśmy z redakcją publicystyki i dokumentu TVP. Tych 12 tematów już jest prawie zrealizowanych. Część oddaliśmy telewizji i czekają na emisję, część

czeka jeszcze na kolaudację, a część jest w produkcji.

Poruszenia jakich tematów mogą się spodziewać widzowie?

Spektrum będzie szerokie, ale taka jest idea current affairs. Pierwszy dokument dotyczy przekopu Mierzei Wiślanej i stara się udzielić odpowiedzi na pytanie, które wciąż wraca w mediach i dyskusjach – po co nam przekop? To wyjście naprzeciw tej emocjonalnej dyskusji, która toczyła się od kilku lat. Opozycja, delikatnie mówiąc, w sposób bardzo emocjonalny, a nie do końca prawdziwy, przedstawia ten problem. My skupiliśmy się na tym, żeby objechać ten teren, porozmawiać z ludźmi, którzy mieszkają w tamtym miejscu, w tym przecież jednym z najbardziej zagrożonych regionów Polski. Chcieliśmy sprawdzić, jak ludzie podchodzą do tej inwestycji, jakie mają w związku z nią oczekiwania, obawy i nadzieje. Do tego, z racji że realizujemy „Pełny obraz”, czyli staramy się zbadać wszystkie aspekty sprawy, spojrzeliśmy na przekop z perspektywy geopolityki, relacji z Rosją, przypomnieliśmy pewne akty prawne, które

ciążą nam na możliwości odblokowania terenu. To duży przekrojowy dokument realizowany na przestrzeni wielu miesięcy.

Drugi film dotyczy zjawiska lichwy, które toczy polskie społeczeństwo, a z którym wymiar sprawiedliwości próbuje sobie radzić, niestety nie zawsze skutecznie. Dotykamy tu historii ludzkich, często bardzo tragicznych. Od razu zaznaczę, że w tym dokumencie nie staramy się pokazywać sprawy w sposób zbalansowany – świadomie występujemy po stronie osób wykorzystanych, pokrzywdzonych czy zwyczajnie okradzionych przez lichwiarzy.

Trzeci odcinek pokazuje z kolei, z jakim rozmachem działamy. Staramy się w nim przedstawić pozycję Polski jako hubu. Może się wydawać, że zahaczamy o futurologię, ale tylko pozornie. Próbujemy się odnieść do sytuacji z roku 2050, kiedy Polska jest już regionalnym hubem transportowym. Staramy się od tego miejsca cofać w czasie, by pokazać, czego potrzebujemy, by ten plan zrealizować. Pokazać, w co gramy i z kim. To dokument wybiegający mocno w przyszłość i rozważający różne strategie rozwoju gospodarczego naszego kraju.

Czwarty odcinek najprawdopodobniej będzie dotyczył lasów, mówię najprawdopodobniej, bo TVP jeszcze nie zdecydowała. Chcieliśmy pokazać status lasów jako „pola bitwy”, szkodzącego Polsce konfliktu między ekologami, lokalnymi społecznościami i przedstawicielami instytucji państwowych. Możliwe jednak, że telewizja zdecyduje się na odcinek, w którym wracamy do problemu PGR. Chcemy się przyjrzeć tym terenom i ocenić, jak te wielkie obszary będą ewoluować w najbliższych latach za sprawą coraz większej innowacyjności i indywidualizacji polskiego rolnictwa. Przypomnę tylko, że w chwili obecnej toczy się bardzo poważny proces oddawania rolnikom ziemi przez agencję rządową, który niesie za sobą ogromne konsekwencje. Szczegóły jednak zostawię widzom.

Kolejnym wyborem TVP może być odcinek o Trójmorzu. Udało nam się zaprosić do tego projektu byłą prezydent Chorwacji Kolinę Grabar-Kitarović, która wraz z prezydentem Andrzejem Dudą od początku była twarzą i pomysłodawcą tej inicjatywy. W odcinku staramy się odpowiedzieć na pytanie, po co my właściwie realizujemy koncepcję Trójmorza. Chcemy tę ideę przedstawić

To są klasyczne dziennikarskie telewizyjne dokumenty. Każdy jest realizowany w innej formie, każdy opowiada historię na swój własny sposób. Wszystko zależy od wrażliwości reżysera

w sposób jak najbardziej zwarty i kompleksowy. Chcemy, żeby Polacy dostali możliwość poznania jej istoty i wyrobili sobie własne zdanie. Trójmorze budzi sytuacje konfliktogenne w polityce międzynarodowej, warto więc wiedzieć, o co gramy. Tematów, które czekają na emisję, jest więcej – jednym z nich jest dzika reprivatyzacja, jest kwestia śmieci i tego, dlaczego tak dużo za nie płacimy.

To z pewnością wzbudzi ogromne emocje.

Na to liczę, choć nie ukrywam, że bardziej zależy mi na merytorycznej dyskusji.

Wspomniał pan, że dobrał sobie ludzi, którzy wciąż się uczą tego typu formatu. Czy w Polsce nie ma takiej kadry dziennikarskiej?

Nie ma i długo nie będzie. Żeby taki zespół się ustabilizował i mógł na poważnie realizować tego typu projekty, potrzeba rzetelnej pracy u podstaw przez co najmniej dwa lata.

Tylko czy jest szansa, że tego typu format zagości w TVP dłużej niż do końca roku? Czy widzowie to kupią?

Odpowiedź zapewne poznamy w najbliższym czasie. W pewnym sensie wszyscy eksperymentujemy w tym obszarze. Jestem bardzo ciekawy, jak polski widz odbierze naszą propozycję. Wszystkie dane dotyczące rynku telewizyjnego pokazują, że dokument i sport nieprzerwanie od kilkudziesięciu lat mają tendencję wzrostową, jeśli chodzi o zainteresowanie widzów. Polski rynek się w tych statystykach też mieści. Więc nawet jeżeli mamy coś nowego, czego widz polski w takiej kondensacji nie oglądał, to mam nadzieję, że to doceni i będzie chciał oglądać dokumenty co tydzień.

Na czym polega wyjątkowość tego formatu?

Istotą i zaletą naszej produkcji jest to, że to nie jest „robota formatowa”. To są klasyczne dziennikarskie telewizyjne dokumenty. Każdy jest realizowany w innej formie, każdy opowiada historię na swój własny sposób. Wszystko zależy od wrażliwości reżysera i tego, w jaki sposób chce tę historię opowiedzieć. Tu nie będziemy mieli do czynienia z sytuacją, w której jednego dnia widz obejrzy dokument, kolejnego dnia obejrzy dokument, a podchodząc do trzeciego odcinka, będzie już wiedział, jak to jest opowiadane i jaka jest narracja. Każda z tych produkcji to odrębne dzieło. Wyjątkowe i niepowtarzalne

Czyli każdy film jest kręcony przez kogoś innego?

Tak. Tylko w dwóch przypadkach mamy taką sytuację, że reżyserzy realizują dwa filmy.

A jaka jest pana rola w tym przedsięwzięciu?

Jestem producentem, a zarazem pomysłodawcą tego formatu i przy okazji kimś, kto stara się dbać o to, jak ten format ma wyglądać. Od lat marzył mi się taki projekt. Podchodziłem do niego w latach 2007–2008, ale wtedy to nie wyszło. Teraz nadarzyła się kolejna okazja. Po tym jak w latach 2019–2020 wykonałem dla Telewizji



Polskiej dwa dokumenty (jeden dotyczył reparacji niemieckich, drugi roszczeń żydowskich), które miały bardzo dobry odbiór, wysoką oglądalność i były nagradzane, stwierdziliśmy, że być może nadszedł czas, aby tego typu produkcji, które trzymałyby jakość i format current affairs, było więcej. Dostaliśmy zielone światło i wszyscy nam bardzo kibicują, bo stworzenie 12 dużych dokumentów w ciągu roku to jest potężne wyzwanie.

Czy któryś z tych dokumentów reżyserował pan osobiście?

Pierwszy, o przekopie Mierzei Wiślanej. Przyglądam się jeszcze ogrodom działkowym, bo to również bardzo ważny temat dla Polaków.

To może być włożenie kija w mrowisko, bo Polaków ten temat głęboko rusza. Dużo mówi się tu o patologiach.

Tak, ale zostawmy ten temat na później. Dzisiaj nie chcę jeszcze zdradzać szczegółów.

Czy reżyserzy, którzy realizują pozostałe filmy, to osoby, z którymi pan już miał okazję współpracować?

Tak, to są ludzie, z którymi mam doświadczenie wspólnej pracy i którzy są w rzemiośle telewizyjnym od lat. Więc o warsztat możemy być spo-

kojni. Mamy też grupę młodych ludzi, którzy to wspierają od strony dokumentacyjnej i logistycznej. Nasz zespół liczy w tej chwili kilkanaście osób. W tym gronie są reżyserzy nagradzani na różnych festiwalach. Jeżeli widz zaakceptuje nasze produkcje i dostaniemy od TVP szansę robienia tego dalej, to zespół pewnie będzie się poszerzał. Jeżeli Polacy będą chcieli oglądać nasze filmy raz w tygodniu, jak w Wielkiej Brytanii, to do tego potrzeba naprawdę dużego zespołu ludzi. Wrzesień pewnie odpowie na część pytań. Przede wszystkim na to, jak wygląda oglądalność. A mimo dobrego czasu antenowego to wcale nie jest łatwa rzecz, by dotrzeć do widzów. To wyzwanie i gigantyczny prestiż.

Dokument o godz. 21.00 w polskiej telewizji to niezbyt często spotykana rzecz.

Dokładnie. Dotąd gdy dokumenty pojawiały się o takiej godzinie, to było coś bardzo wyjątkowego. Jednak postanowiono zaryzykować i być może to pasmo zagości na stałe. W telewizjach zachodnich jest to naturalne. I filmy te mają bardzo wysoką oglądalność.

Godzina z pewnością jest wyzwaniem, ale myślę, że ludzie będą wracać do tych filmów na VOD. Historia

pokazuje, że internetowe reemisje dokumentów potrafią zgromadzić więcej osób niż pierwsza transmisja. Czy spodziewa się pan, że tutaj może być podobnie?

Myślę, że do naszych filmów ludzie będą wracać.

Wspominał pan o brytyjskiej „Panoramie”. Dokumenty wyświetlane w tym paśmie potrafiły na Wyspach wzbudzić dyskusję na długie tygodnie.

Do tego chcemy dążyć i u nas. Zależy mi na tym, żeby nasze dokumenty były omawiane, cytowane, żeby na ich temat dyskutowano, jednym słowem – żeby zmuszały do myślenia, wywoływały reakcje i powodowały pozytywny ferment w działaniach innych dziennikarzy i redakcji. ✔

„PEŁNY OBRAZ”

- Pasma startuje 21 września na antenie TVP1 o godz. 21.00.
- Pierwszym filmem będzie „Po co nam ten przekop?” w reżyserii Mariusza Pilisa.
- Kolejnym, wyemitowanym 28 września, będzie film „Lichwa” w reżyserii Pawła Kaźmierczaka.
- 5 października widzowie zobaczą film „Hub” w reżyserii Michała Muzyczuka.

Dylemat śmigłowcowy.

Przez modernizację do rewolucji? Bell odpowiada

*Wisła, Narew, Miecznik – polski rząd inwestuje w kolejne programy modernizacji Sił Zbrojnych RP, zakładając jednocześnie rozwój rodzimego przemysłu zbrojeniowego. Za kolejny kluczowy zakup uważa się śmigłowce szturmowe. O możliwościach współpracy, rozwiązaniach na dziś i jutro podczas niedawnego MSPO w Kielcach opowiedział **Vince Tobin**, wiceprezes Bell Textron*



Polska stoi w obliczu rosnących wyzwań geostrategicznych. Pokazały to ostatnie ćwiczenia Zima 2020, w których urealniono zagrożenia ze strony Federacji Rosyjskiej. Eksperti wnioskują, że obok systemów obrony powietrznej, rozwoju sił powietrznych i pancernych to właśnie wymiana floty śmigłowcowej powinna pozostać priorytetem Ministerstwa Obrony Narodowej. Czy propozycja Bella dla Polski będzie dobrą odpowiedzią na wspomniane wyzwania i potrzeby polskiego wojska?

Vince Tobin: Zacznę od tego, że Polska to ważny członek NATO, wydający niemałe sumy na swoje bezpieczeństwo, a zarazem bezpieczeństwo regionu. Oczywiście budowanie własnych militarnych środków obrony, ataku i odstraszania to odpowiedzialne podejście. Zauważamy z podziwem determinację polskiego rządu, by wzmocnić siły zbrojne państwa, w tym flotę śmigłowcową, i jako Bell jesteśmy gotowi odpowiedzieć na każde zapotrzebowanie. Jestem przekonany, że nasza propozycja współpracy, zwłaszcza w zakresie śmigłowców szturmowych, jest optymalna zarówno z punktu widzenia planowanych zdolności ataku, walki powietrze-powietrze, powietrze-ziemia, ale też – co ważne – ekonomii utrzymania. Co więcej, chcemy zbudować trwałe partnerstwo z polskim

przemysłem zbrojeniowym, nie tylko na podstawie polskich programów modernizacji, lecz i amerykańskiego programu śmigłowców przyszłości Future Vertical Lift (FVL).

A konkretnie, czym oferta Bella różni się od innych?

Przede wszystkim Viper to konstrukcja przystosowana do działania w najtrudniejszych warunkach pogodowych i geograficznych. Charakteryzuje się wyższą przeżywalnością oraz gotowością do działania, bez dodatkowej infrastruktury oraz zwiększonej obsługi serwisowej. Mniejsze koszty utrzymania to jego ogromna zaleta, której nie mają inne śmigłowce, w tym także rozwązany przez Polskę Apache. AH-1Z Viper, uzbrojony w pociski AIM-9 Sidewinder, wraz z systemem zaawansowanej optoelektroniki zwiększa dominację w powietrzu do maksimum. Niebagatelne znaczenie ma też interoperacyjność z myśliwcami F-35, zakupionymi ostatnio przez Polskę. Wreszcie Viper wyposażony zostaje właśnie w system łączności Link 16, umożliwiający pełną integrację operacyjną z innymi jednostkami.

Mimo wszystko dość często można się spotkać z opinią, że AH-1Z to śmigłowiec przestarzały, bo służy nieprzerwanie od czasów wojny wietnamskiej...

Wygląd może być mylący – Viper może i wygląda jak śmigłowiec Cobra z czasów wojny w Wietnamie, ale to zupełnie inna maszyna, na miarę XXI w. Najstarszy egzemplarz AH-1Z pochodzi z 2009 r., a śmigłowiec pojawił się w naszej ofercie dla zagranicznych partnerów dopiero w 2013 r.

Platforma charakteryzuje się cyfrowymi systemami pokładowymi, nowoczesną awioniką. Ma dwa silniki i zapewne najbardziej zaawansowany na świecie wirnik z czterema łopatkami, który doskonale radzi sobie w najszybszym środowisku.

Czyli AH-1Z to maszyna perspektywiczna?

Odpowiem tak – gdyby faktycznie Viper był śmigłowcem ery wojny wietnamskiej, to, proszę mi uwierzyć, nie służyłby USMC – amerykańskiej piechocie morskiej, a tak właśnie jest – Bell ciągle produkuje te maszyny i dostarcza dla US Marines, bo sprawdziły się w każdej misji, w najgorszych warunkach, chroniąc żołnierzy, realizując zadania. I dostrzegają to też zagraniczni partnerzy – zakupili je Bahrajn i Czechy, a kolejne państwa wyrażają zainteresowanie.

Wróćmy na chwilę do interoperacyjności. Na jakiej zasadzie Viper czy Venom (UH-1Y) mogą „rozmawiać” np. z F-35 lub z M1 Abrams, w które



AH-1Z Viper



V-280 Valor

MON zamierza właśnie zainwestować?

Dzięki Link16 jednostki szybko i sprawnie wymieniają informacje, co jest kluczowe w czasie walki. Komunikacja ta dotyczy kanałów radiowych i cyfrowych. Co to znaczy w praktyce? Wojska lądowe mogą przekazywać dane pilotom śmigłowców, a ci mogą wówczas skuteczniej zniszczyć wybrane cele, uwzględniając dodatkowe rozpoznanie np. ze strony F-35. Może też być odwrotnie – to piloci mogą przesłać dane jednostkom na lądzie, chociażby wspomnianym czołgom Abrams. Generalnie, dzięki takiej dwukierunkowej wymianie danych w czasie rzeczywistym Polska zbuduje zintegrowany system pola walki, pozwalający na pełną świadomość sytuacji.

Wspomniał pan o współpracy przemysłowej. Reindustrializacja i wzmacnianie polskich sektorów strategicznych to deklarowany priorytet rządu premiera Mateusza Morawieckiego. Co Bell proponuje Polsce w tym zakresie?

Dziękuję za to pytanie – wiemy, jak ważne dla Polski jest rozwijanie własnej gospodarki i kompetencji przemysłowych. I po wielu wizytach nad Wisłą wiemy też, jak doskonały potencjał ma nasz przemysł lotniczy – Bell jest gotów wesprzeć Polskę w jego wykorzystaniu. W praktyce chodzi nie tylko o polonizację i transfer technologii w zakresie większym, niż proponują to nasi konkurenci, lecz również o dodatkowe miejsca pracy. Od razu jednak zaznaczę, że na ten moment nie sposób powiedzieć nic więcej.

To zapytam inaczej – z jakimi firmami Bell prowadzi rozmowy?

Oczywiście przeprowadziliśmy wiele rozmów z Polską Grupą Zbrojeniową.

Zentuzjazmem podchodzimy do współpracy z należącą do niej spółką Wojskowe Zakłady Lotnicze nr 1 z Łodzi, która obchodzi właśnie swoje 75-lecie, widzimy, jak niesamowity personel tam pracuje, dostrzegamy inwestycje w nowoczesne centrum badawczo-rozwojowe. Łódzkie zakłady mogą się stać polskim centrum kompetencyjnym w zakresie budowy, utrzymania, napraw, modyfikacji i modernizacji śmigłowców.

Muszę dodać, że oczekujemy najlepszych rozwiązań i produktów na świecie. Szukając doskonałości, dostrzegamy ją w Polsce, polskiej inżynierii. Poza tym już teraz współpracujemy z polskimi firmami – naszym partnerem przy Centrum Technologii Produkcyjnych (oryg. Manufacturing Technology Center) jest Seco Warwick, a w 2020 r. uruchomiliśmy pierwsze w Europie autoryzowane centrum serwisowe Bella dla cywilnych śmigłowców Bell 505 i Bell 407.

Poza tym, gdy w ramach wspomnianego FVL wielozadaniowy V-280 Valor [śmigłowiec pionowego startu i lądowania dalekiego zasięgu – przyp. red.] pojawi się w służbie, chcemy mieć partnerów właśnie tutaj, w Europie, by móc wspólnie zaoferować tę konstrukcję państwu regionu. Chcielibyśmy, aby Polska należała zarówno do rodziny użytkowników H-1 [Viper i Venom – przyp. red.], jak i FVL.

Skoro już mowa o FVL. Faktycznie Polska może być zaangażowana w ten program?

Tak, potwierdzam, jest taka możliwość, a zakup Viperów z pewnością przyczyni się do rozwijania współpracy w ramach FVL. Natomiast formalnie pierwszy krok do FVL to złożenie przez Polski rząd stosownej deklaracji (Letter of Interest) do rządu amerykańskiego.

Nie mamy wątpliwości, że Polska to dla nas świetny partner – wasze uczelnie i szkoły kształcą fachowców, a w całym kraju powstaje nowoczesna infrastruktura. Dzieje się tutaj wiele dobrego. AH-1Z będzie z nami jeszcze długo, ale patrzymy też w dalszą przyszłość, patrzymy wspólnie z Polską.

Jesteście obecni także w innych programach modernizacyjnych, realizowanych przez MON...

To prawda. Co do Perkoza to wymagania nie zostały jeszcze przez polską stronę ujawnione, ale w swojej ofercie mamy różne maszyny, które mogą spełnić różne oczekiwania. Jedną z opcji jest zmilitaryzowany Bell 429, inną wspomniany UH-1Y, który byłby dobrym wyborem, w 85 proc. ma bowiem wspólne części z AH-1Z, co wyraźnie ogranicza koszty utrzymania i optymalizuje logistykę. W przypadku Kondora oferujemy śmigłowiec Bell 412.

Na koniec – jak widzi pan pozycję Bella w naszej części Europy w najbliższej przyszłości?

Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to staniemy się istotnym dostawcą śmigłowców, który z czasem będzie w stanie zaoferować jeszcze lepsze, nowocześniejsze rozwiązania, które będą wyróżniać się zdolnościami operacyjnymi, zasięgiem, prędkością i ładownością. Liczę, że w ciągu kolejnych pięciu lat zbudujemy pod nasze ambicje mocne fundamenty – również dzięki aktywnej współpracy z Polską. Bell stawia na innowacje, nie spoczywamy na laurach.

Dziękuję za rozmowę.

I ja dziękuję.

Rozmawiał dr Robert Czulda

Demoralizacja Zachodu zagrożeniem dla naszego bezpieczeństwa

Skorumpowane społeczeństwa nie są już w stanie się bronić. Bo czego miałyby bronić? Jakich wartości? Musimy mieć świadomość, że nasze bezpieczeństwo zależy bardziej od naszej odnowy moralnej i duchowej niż od siły naszego uzbrojenia. Dlaczego się o tym zapomina?

Jest rzeczą symbolicznie tragiczną, pisze Bret Stephens w „New York Times” (07.09.2021), że USA musiały ponuro „uczcić pierwsze wielkie zwycięstwo nad Ameryką w 2001 r. natychmiast po zaoferowaniu im drugiego wielkiego zwycięstwa nad Ameryką w 2021 r.”.

Istotnie, po porażce w Kabulu Zachód nigdy już nie będzie taki sam. Trzy obrazy ukazały w całej rozciągłości jego upadek. Pierwszym był widok ostatniego dowódcy amerykańskiego opuszczającego Kabul, maszerującego do samolotu samotnie, z opuszczoną głową. Drugi to wideo z hangarów lotniska, gdzie triumfujący talibowie oglądają pozostawiony sprzęt i helikoptery (podobno nienadające się już do użytku), sami ubrani w nowe battle

dress amerykańskie i noszący najnowszą broń amerykańską. „Scena – pisze Ross Douthat w „New York Times” (04.09.2021) pod tytułem „Imperium amerykańskie w odwrocie” („The American Empire in Retreat”) – miała „mocną aurę końca imperium rzymskiego, kiedy Wizygoci i Wandalowie przejęli fragmenty kultury rzymskiej, nawet kiedy obalili imperium”. Trzeci, mrożący krew obraz, to był widok samego prezydenta Joeego Bidena ogłaszającego odwrót z Afganistanu słabym głosem starego człowieka z opuszczoną głową, ale utrzymującego wbrew faktom, że w zasadzie jest dobrze. Słuchając prezydenta, każdy musiał poczuć, że „nasza cywilizacja ginie w paranoidalnym zniechęceniu”, by użyć słów Stephensa.



Fot. Andrzej Wiktoria

IMPLOZJA CYWILIZACYJNA

Każde imperium upadało przede wszystkim od rozsadzających je procesów wewnętrznych niż od ciosów przeciwników. Bret Stephens przypomina słowa historyka Willa Duranta: każda cywilizacja „rodzi się jako stoicka, a umiera jako epikurejska”. Tak było z Babilończykami. Tak było z Rzymianami. Imperium imploduje od środka. Imperium sowieckie też upadło bardziej z naturalnej, wewnętrznej śmierci niż z powodów działań Reagana czy nawet św. Jana Pawła II. Tak też dziś imploduje od środka nasza pseudocywilizacja zachodnia.

Stephens pisze, że Biden stał się „symbolem naszego czasu: uparty, ale słaby, ambitny, ale niezdolny”. Patrząc na niego, nie można nie myśleć o sztuce Dürrenmatta „Romulus Wielki”. Każdy ma w oczach niezapomniane kreacje Jana Świdorskiego (1966) czy Gustawa Holoubka (1985). Reżyserując tę samą sztukę w 2009 r., Krzysztof Zanussi wypowiadał prorocze słowa, podkreślając, iż pojawiła się tu również „współczesna perspektywa, w której pod rzymskie imperium możemy sobie podstawić całą naszą współczesną euroatlantycką cywilizację i kulturę. Widz, idąc tropem Dürrenmatta, może zapytać o to, czy aby w naszych czasach nie dokonuje się zdrada ideałów, na których bazowała przez wieki potęga naszej Europy”.

Otóż to. Ale jak doszliśmy do tego? Droga była prosta. Można z Zachodu postanowili rozpoznać neoliberalny kapitalizm. Pieniądz jako absolutny król. Bogaci coraz bogatsi. Delokalizacja przemysłu tam, gdzie siła robocza była najtańsza (na razie w Chinach). Bezrobocie w krajach macierzystych. Żeby to się kręciło, człowiek musiał być zredukowany do konsumenta, zdegradowany moralnie. Należało więc prowadzić wojnę ze wszystkim, co było utożsamiane z wartościami moralnymi czy duchowymi. A więc walka z patriotyzmem, z historią narodów, z Kościołem i wiarą chrześcijańską, z rodziną. Trzeba było również propagować cywilizację śmierci, hedonizm niczym nieskrępowany, relatywizm w każdej dziedzinie. Bardzo ważne jest zrozumienie, że bój o degradację moralną jest częścią integralną neoliberalnego programu ekonomicznego.

Skądinąd gospodarczo neoliberalizm umiera już na naszych oczach. Chiny, które miały być klientem, stały się potentatem i wielkim konkurentem. Przemysł w krajach zachodnich nie potrafi już produkować ani maski antycydowej, ani półprzewodników, których brak, gdy Azja przestaje je wysyłać, stoją całe branże, jak teraz część przemysłu samochodowego.

UPADEK MORALNY POŻYWKĄ DLA EKSTREMISTÓW

Ale dewastacja moralna jest już faktem i otwiera szeroko drogę terrorystom. Mamy narody słabe, które nie widzą perspektyw, nie mają wizji na przyszłość, nie mają ideałów. Zatraciły ducha. Jeśli talibowie zaatakują Brukselę jutro, kto będzie jej bronić? Ile czasu trzeba będzie, aby zdobyli siedzibę władz europejskich? Jeden dzień, jak w Kabulu, czy pół godziny? Można o ekstremistach muzułmańskich powiedzieć, że są okrutni, zacyfani, barbarzyńcy. Na pewno tak, ale wierzą w swoje niby-racje, mają entu-

Nadzieja nie tylko Europy, ale cywilizacji zachodniej
broni się dziś na Węgrzech
i w Polsce. Już nieraz w historii
te kraje pokazały drogę.
Bo nigdy nie zatraciły ducha
ani godności

zjazm i wolę walki. A my? W dodatku dżihadysty mają już swoje przyczółki w Europie, całe dzielnice czy nawet miasta we Francji, setki tysięcy potencjalnych zwolenników w Niemczech. Dwa razy Europa zatrzymała muzułmańską nawałnicę: król Charles Martel w Poitiers w 732 r. i król Jan III Sobieski pod Wiedniem w 1683 r. Kto zatrzyma nawałnicę trzecią? Nasze słabe narody, zdeprawowane przez pseudokulturę neoliberalizmu?

Upokorzenie w Kabulu pokazuje dobitnie, że siły materialne ani wojskowa nie wystarczą. Nie nadają się na nic, jeśli nie ma woli walki, woli zwycięstwa, wiary, że nasza sprawa jest warta, by się o nią bić.

Dochodzimy do sprawy, o której się właściwie nigdy nie mówi. Upadek cywilizacyjny neoliberalizmu zachodniego zakończy się klęską ekonomiczną

i degradacją moralną. Ale co za tym idzie, zagraża dramatycznie naszemu najbardziej podstawowemu bezpieczeństwu, bezpieczeństwu naszych narodów i naszych rodzin. Skorumpowane społeczeństwa nie są już w stanie się bronić. Bo czego miałyby bronić? Jakich wartości? Musimy mieć świadomość, że nasze bezpieczeństwo zależy bardziej od naszej odnowy moralnej i duchowej niż od siły naszego uzbrojenia. Dlaczego się o tym zapomina?

GDZIE SZUKAĆ NADZIEI?

Upadek kapitalizmu zachodniego miał nastąpić, i to nie jest złą rzeczą.

Prymas Tysiąclecia zawsze powtarzał, że komunizm i kapitalizm są właściwie po tej samej stronie barykady, propagując systemy „materialistyczne i poganińskie”. Jeden już implodował. Drugi imploduje.

A więc gdzie jest nadzieja? Św. Jan Paweł II dawno pokazał nam drogę. Napisał już w 2005 r. w książce „Pamięć i tożsamość”, że kraje Europy Zachodniej zatraciły swoją tożsamość, kiedy kraje Europy Środkowo-Wschodniej ją zachowały, umacniając się duchowo w walce z komuną. Jak te kraje, które tak długo walczyły przeciwko wielkiemu bratu w Moskwie, mo-

głyby nie walczyć z wielkim bratem w Brukseli, który stara się im dyktować każde działanie? Jak kraje, które dzięki rodzinom i kościołom walczyły przeciwko próbom komunistów pozbawienia ich własnej tożsamości, własnej patriotycznej dumy, własnej kultury i wartości chrześcijańskich, mogłyby dziś nie bronić się przed atakami na te wartości z Brukseli czy Berlina?

Nie przestanę o tym pisać. Nadzieja nie tylko Europy, ale cywilizacji zachodniej broni się dziś na Węgrzech i w Polsce. Już nieraz w historii te kraje pokazały drogę. Bo nigdy nie zatraciły ducha i godności. Tego, czego innym brakuje. Od wyniku tej walki zależy nie tylko nasz dobrobyt, nie tylko nasza tożsamość, ale także nasze podstawowe bezpieczeństwo i obrona przed barbarzyńcami naszych czasów. 

Bernard Margueritte

Manowce historii, czyli o odwracaniu kota ogonem

Przeczytaliśmy odpowiedź pana dr. Krzysztofa Raka na nasze uwagi do jego książki „Piłsudski między Hitlerem a Stalinem” (tygodnik „Sieci” nr 34/2021). Niestety jest ona bardzo rozczarowująca – i to mówiąc najogólniej, jak można



Właściwie to na swoją obronę p. Rak ma do powiedzenia dwie rzeczy: (1) że nie napisał tego, co napisał i rzekomo przypisujemy mu „autorstwo też, których nigdy nie głosił”; (2) że dwóch profesorów, którzy skreślili parę uwag wokół jego książki, to ignoranci, bo tej pracy nie przeczytali. W domyśle pojawia się nawet pytanie, czy potrafią czytać ze zrozumieniem, a już na pewno nie są w stanie wznieść się na takie wyżyny, aby pojąć, o co chodzi w jego pracy.

Nie sposób nie podkreślić, że postawione przez nas zarzuty wobec książki dr. Raka są bardzo poważne. Ale adresat naszych uwag neguje w kategoriachny sposób to, co expressis verbis napisał. W książce mamy szokujący tytuł rozdziału: „Piłsudski proponuje Stalinowi sojusz”. Teza o sojuszu została też mocno wyeksponowana w zakończeniu (streszczającym wnioski). Mimo to autor tych wywodów bez skrupowania mówi, że niczego takiego nie napisał... W takich warunkach dyskusja staje się bardzo trudna, wprost niemożliwa, a przede wszystkim bezproduktywna. Jedynym sędzią może tu być czytelnik tej książki. Jemu zostawiamy ocenę.

Chcemy stanowczo zaznaczyć, że nie podnosilibyśmy zarzutu z powodu bezpodstawnej tezy o sojuszu Piłsudski–Stalin, gdyby dr Rak – licząc się ze słowami,

które rzuca na papier – zechciał chociaż wziąć w cudzysłów słowo „sojusz”. Tak jednak się nie stało.

Nie może być tak, że ktoś wprowadza do obiegu szokujące bzdury, a kiedy ktoś inny zwróci mu na to uwagę – atakuje go, mówiąc, że książki nie przeczytał. W każdym razie taka metoda działania w nauce – jak najbardziej szkodliwa – nie wyrzeze na nas żadnego wpływu. Innymi słowy – nas nie przestraszy...

* * *

Przechodząc do Piłsudskiego z przedednia przewrotu majowego, zauważmy, że nawet jeśli przyjmiemy, iż Komunistyczna Partia Polski była sowiecką agenturą (co jest oczywiste), to rozmowa zaufanego oficera Marszałka z liderem tej organizacji, mająca na celu wysondowanie intencji jej kierownictwa – nie może dać podstaw do stwierdzenia, że polski mąż stanu wszedł w „konspiracyjny kontakt” ze Stalinem.

Cóż zatem napisał dr Rak w swojej książce. Oto cytat: „Reasumując, można założyć, że Piłsudski i Stalin jeszcze przed zamachem majowym nawiązali konspiracyjny kontakt, wykorzystując do tego sieć pośredników” (s. 405). Tymczasem z notatki Adolfa Warskiego po spotkaniu z komendantem Związku Strzeleckiego mjr. Kazimierzem Kierzkowskim

jednoznacznie wynika, jakie Piłsudski zajął stanowisko na temat szukania porozumienia „podoficerów i sierżantów I Brygady” z komunistami: „Róbcie, ale nie mieszajcie mnie do tego”. Na szczeblu dyplomatycznym stosunek Moskwy do ewentualnego powrotu Piłsudskiego do władzy sondował z kolei dyplomata Stanisław Janikowski. Znamy tę kwestię ze źródeł sowieckich. Na ich podstawie nie da się stwierdzić, że i w tym przypadku inicjatywa wyszła od Piłsudskiego. To co powyżej supozycja. Trzeba byłoby jeszcze dowieść i znaleźć w archiwach posowieckich czy polskich potwierdzenie, czego w książce Raka próżno szukać. Co więcej, zgłoszona wówczas sugestia wysłania do Warszawy sowieckiego dyplomaty – Polaka Mieczysława Łoganowskiego, który być może uzyskalby audiencję u Piłsudskiego (co niedwuznacznie sugerował Janikowski) – nie doszła do skutku, ponieważ władze bolszewickie nie wyraziły na nią zgody. Czy na tej podstawie można pisać o „konspiracyjnym kontakcie” polskiego Marszałka ze Stalinem jeszcze przed zamachem majowym? To jawna nadinterpretacja, a co za tym idzie – nadużycie niczym nieuzasadnione. I nic więcej.

Korzystając z okazji, pragniemy wytłumaczyć p. Rakowi, że miałby dostateczne podstawy, aby powiedzieć to, co

powiedział, gdyby Warski sporządził z tej rozmowy notatkę. Stalin zaś, otrzymawszy to pismo, odpowiedział decyzją o ustanowieniu owego „konspiracyjnego kontaktu”, ma się rozumieć nie osobiście, ale przez jakichś emisariuszy. Na szczęście tak jednak nie było.

W replice dr Rak wyraźnie przenosi ciężar z „konspiracyjnego kontaktu” obu wymienionych postaci na „tajne kontakty i sondáže piłsudczyków w 1926 r.”. Przy tej okazji sugeruje, że kieruje nami jakaś zazdrość czy niechęć do innego badacza, wchodzącego w nasz ogródek, ponieważ my mogliśmy o tym pisać, a jemu – kiedy to czyni – zarzucamy „pseudonaukowe efekciarstwo”. Nic bardziej błędnego. Zachęcamy do kontynuowania i pogłębiania badań w tym zakresie, ale prowadzonych rzetelnie wraz z gruntowną eksploracją i analizą źródeł, wreszcie próbą dotarcia do materiałów archiwalnych, pozostających wciąż poza naukowym obiegiem, a przechowywanych w Moskwie, której dr Rak ze znanych tylko sobie powodów nie podjął.

Jeszcze jedna kwestia. Dr Rak zgłasza absurdalną tezę, jakoby komuniści polscy poparli w maju 1926 r. zamachowców, ponieważ widzieli w Piłsudskim „rewolucjonistę”, co z kolei było efektem „dwustronnej batalii dezinformacyjnej, w której górą okazał się Piłsudski”. Z braku miejsca w wielkim skrócie można wymienić przyczyny takiej, a nie innej postawy członków KPP: (1) brak jasnych wytycznych z Moskwy; (2) poparcie dla „lewego faszyzmu” przeciwko „prawemu faszyzmowi” jako bardziej postępowe; (3) doktrynerskie myślenie skutkujące postrzeganiem Piłsudskiego jako polskiego Kiereńskiego i utożsamienie go z pierwszą fazą rewolucji, po której przyjdzie druga na obraz i podobieństwo przewrotu dokonanego przez bolszewików w Piotrogradzie w październiku 1917 r.; (4) wiara w możliwość eskalowania walk w Warszawie i rychłe przekształcenie ich w wojnę domową, która nie tylko skutecznie osłabi Rzeczpospolitą, lecz i uruchomi „masy robotniczo-chłopskie” przeciwko burżuazji i obszarnikom.

Gdyby dr Rak naprawdę znalazł tak często przywoływane przezeń w przypisach książki Bogdana

Musiala i Mariusza Wołosa, to nie formułowałby absurdalnej tezy o „dwustronnej batalii dezinformacyjnej” jako przyczynie tzw. błędu majowego komunistów polskich, za który potem długo musieli się kajać przed sowieckimi mocodawcami. Równie dobrze można by napisać, że komunistów w maju 1926 r. „ograł, szybko stabilizując sytuację w kraju” bynajmniej nie tylko Piłsudski, lecz i prezydent Stanisław Wojciechowski wraz z premierem Wincentym Witosem, podejmując decyzję o zaprzestaniu walk, a tym samym zamknięciu drogi do wojny domowej czy wybuchu społecznego w Polsce.

Do tego wszystkiego dr Rak zaprzecza sam sobie, raz pisząc, że Piłsudski nawiązał „konspiracyjny kontakt” ze Stalinem (vide

wyżej), a innym razem pokrętnie się tłumacząc w replice, iż Marszałek „nie miał zamiaru porozumieć się ze Stalinem ani bolszewickim kierownictwem, ale je wprowadzić w błąd, co mu się w pełni udało”. Które z tych wzajemnie wykluczających się stwierdzeń należy traktować poważnie? Jeśli to jest owa umiejętność „ujmowania polityki zagranicznej jako wielowariantowej gry”, to możemy jedynie współczuć czytelnikom książek dr. Raka.

Podnieśliśmy w swej recenzji, że szwajcarski historyk Jean-François Fayet nie dostrzegł polskiej oferty sojuszu z 1933 r., choć stworzył wnikliwą biografię Karola Radka. Twierdzenie dr. Raka, iż to nic nie znaczy – nawet chętnie byśmy przyjęli. Ilekroć tak się dzieje, że historycy zagraniczni niespecjalnie sumiennie analizują sprawy polskie, koncentrując się na polityce mocarstw – w tym wypadku ZSRR – a resztę biorą jakby w nawias. Jest tu jednak poważny problem. Dr Fayet długo pracował w moskiewskich archiwach – w tym w Archiwum Polityki Zagranicznej Federacji Rosyjskiej. Krzysztof Rak nie był tam w ogóle. Wykorzystał jedynie akta ogłoszone w Rosji niedawno („Sowietsko-polskije otnoszenija 1918–1945”). A wiemy, jak selekcjonuje się dokumenty do publikacji w tym kraju. Nie przyjmujemy więc i tego argumentu.

Uwagi o przedstawieniu polsko-sowieckiego zbliżenia z roku 1933 w biografii ministra Becka są z pewnością dobrym przykładem metod polemiki dr. Raka, na jaką go stać. Imputuje on, że książka eksponuje rolę ministra, a nie Piłsudskiego. Otóż pierwsze słowa tego rozdziału, który traktuje o Becku jako ministrze, zaczynają się od zasadniczej konstatacji: „Drugiego listopada 1932 roku Józef Beck przejął kierownictwo dyplomacji polskiej, ale niekoniecznie ster polityki zagranicznej. Pracował wciąż Józef Piłsudski [...]”. Trzeba dużego braku odpowiedzialności za słowo, aby mimo tego zdania stawiać taki zarzut.

* * *

Krzysztof Rak nie prowadził badań w archiwach rosyjskich. Nigdy nie przeprowadził kwerendy w Archiwum Polityki Zagranicznej Federacji Rosyjskiej

w Moskwie, kluczowym dla zagadnień podjętych w jego książce. Korzystał z dokumentów drukowanych, a zatem znanych od dłuższego czy krótszego czasu, przygotowywanych do druku (m.in. przez niżej podpisanych) i dostępnych online na stronach Rosyjskiego Państwowego Archiwum Historii Społeczno-Politycznej (co ciekawe, w bibliografii nie podał nawet nazwy wykorzystanego fondu). Na tej podstawie dochodzi do

Dr Rak zaprzecza sam sobie, raz pisząc, że Piłsudski nawiązał „konspiracyjny kontakt” ze Stalinem, a innym razem pokrętnie się tłumacząc w replice, iż Marszałek „nie miał zamiaru porozumieć się ze Stalinem ani bolszewickim kierownictwem, ale je wprowadzić w błąd, co mu się w pełni udało”. Które z tych wzajemnie wykluczających się stwierdzeń należy traktować poważnie?

wniosków, na które nie odważyli się inni badacze znający te same źródła. To jeszcze nic złego, gdyby nie fakt, że dostępne sobie źródła interpretuje, jak chce, wychodząc poza ich zawartość. Gdyby znał kulisy działań i sposoby podejmowania decyzji w zakresie polityki zagranicznej przez kremlowskich decydentów ze Stalinem na czele, to winien szukać odpowiedzi na pytanie, jak rzekoma polska propozycja sojuszu z lipca 1933 r. była rozpatrywana przez Kolegium Komisariatu Ludowego Spraw Zagranicznych? Jakie sugestie w tym zakresie owo gremium przedstawiło członkom Biura Politycznego? Jak ci członkowie (w tym sprawujący dyktatorską władzę Stalin) się do niego ustosunkowali? Analizy źródeł na ten temat próżno szukać w książce

dr. Raka. Dlaczego? Bo albo takich źródeł nie ma i nigdy nie było, albo dr Rak do nich nie dotarł, nie zadając sobie trudu przeprowadzenia solidnej kwerendy. Bazuje on tymczasem na enigmatycznym i dowolnie przez siebie przełożonym zapisie z notatki Radka, która winna mieć przecież swoje konsekwencje – pozytywne czy negatywne – wobec samej propozycji. Nie omieszka przy tym dyskredytować badań innych historyków,

pisząc: „Z tego, że jakiś naukowiec czegoś kiedyś nie zauważył lub pominął, wcale nie wynika, że tego nie było”. Słowa powyższe adresuje do biografów Radka Jeana-François Fayeta i Wolfa-Dietricha Gutjähra, ale rykoszetem uderza też w nieodżałowaną pamięć Olega Kena, wybitnego rosyjskiego historyka z Petersburga, który specjalizował się m.in. w stosunkach polsko-sowieckich, zarzucając mu, iż „korzystał z opracowań, a nie z dokumentów źródłowych”. To już nie tylko kuriozum, lecz i bezczelność. Każdy, kto zna dorobek Kena – edytora źródeł i wytrawnego znawcę archiwaliów, w tym przechowywanych w Archiwum Polityki Zagranicznej Federacji Rosyjskiej – musi w tym wypadku stanowczo zaprotestować.

Niestety nie można podzielić wodu dr. Raka o tak wielkim znaczeniu rozmów Becka z komisarzem Litwinowem w lutym 1934, jakie on temu wydarzeniu przypisuje. Notatka kierownika sowieckiej dyplomacji – dawno temu ogłoszona drukiem

– kończy się wywodami, które można wiernie streścić w trzech punktach: (1) że Polska nie chce współpracy ze swoim wschodnim sąsiadem; (2) że jednak nie ma tajnego układu polsko-niemieckiego przeciw Sowietom; (3) że stosunków z Polską nie należy zaostrzać. Każdy, kto ma ogólne choćby wyobrażenie o polityce międzynarodowej lat 30. XX w., musi przyjąć do wiadomości, że te wskazania nie były w Moskwie realizowane. Wywody Litwinowa nie stały się programem sowieckiej dyplomacji. Polskę hałaśliwie oskarżano właśnie o tajny pakt z Niemcami. Stosunki zaostrzono tak dalece, że Timothy Snyder jakże słusznie powiedział, iż była to prawdziwa „zimna wojna”. Punkt zwrotny w relacjach polsko-so-

wiekiem przyniósł niedoszły do skutku pakt wschodni – a nie podróż Becka do Moskwy. Taka też jest jedna z tez naszej biografii ministra.

* * *

Z wywodów p. Raka wynika, iż zamierza on poświęcić jakąś nową książkę polskiej polityce zagranicznej w latach 1938–1939. Cóż, każdemu wolno się wypowiadać na każdy temat. Nie mamy o to żadnych pretensji. Niestety jednak pierwsza jego książka, której pierwsze rozdziały prezentują się nawet zajmująco, zawiera totalnie fałszywą narrację o realiach 1939 r.

Otóż pisze p. Rak o Becku, że „polski minister jakby z niecierpliwością wojny wyczekiwał”. Tymczasem Hitler pokazany został w tej pracy jako prawdziwy rzecznik pokoju. Rzekomo chciał zaakceptować nawet brytyjskie gwarancje dla Polski, ale nie mógł tego zrobić, gdyż na wniosek Becka przekształcono je w sojusz. Nawet mowa niemieckiego dyktatora w Reichstagu z 28 kwietnia 1939 r. nie oznaczała zerwania z Polską, ale – rzekomo oczywi-

ście – otwierała możliwość nowych rokowań z rządem w Warszawie. To wszystko są twierdzenia niesłychane, zupełnie sprzeczne z całą dotychczasową wiedzą o polityce polskiej, niemieckiej i międzynarodowej w przededniu II wojny światowej.

Twierdzeń o polskiej „wojowniczości” i niemieckiej „pokojuowości” w roku 1939 z pewnością nie spotkamy dzisiaj nawet w niemieckiej publicystyce, a coś dopiero w nauce akademickiej. Może tak mówią tzw. wypędzeni. Ale to inna historia.

O ile takie twierdzenia, jak te powyższe, staną się osnową owej planowanej książki – z pewnością nie będzie ona wartością dodaną do historiografii polskiej.

Z wielkim zaskoczeniem przyjąć trzeba „zarzut”, że wyznajemy tezę o służebności historii wobec społeczeństwa, a to jest błąd. Odpowiedź może być tylko jedna. Tak właśnie jest. I tak będzie. Ale nie poprzez kłamstwo tylko zdobywanie prawdy o przeszłości po to, aby ją przekazać innym – jakakolwiek by ona była. Powiedział Władysław Konopczyński:

„Nauka niech służy życiu, ale niech się nie wysługuje”. Nauka historii – ta akademicka właśnie – nie jest sztuką dla sztuki. Gdyby tak było – państwo powinno rozwiązać uniwersyteckie katedry, zlikwidować placówki zajmujące się przeszłością. A już na pewno wszelkie inwestycje państwowe w nowe ośrodki, mające wpływać na publiczny dyskurs o przeszłości, byłyby zwykłym marnotrawstwem grosza publicznego. I tak oto kształtowałyby się kolejne pokolenia bez historii...

* * *

Najmniej oczekiwaną częścią nieprzyjemnej wypowiedzi dr. Raka jest użycie tekstu rotacji przysięgi doktorskiej w swej obronie. Korzysta z tych wzniosłych słów człowiek, który w sposób wyraźny narusza podstawowe normy warsztatu historyka, aby w sensacyjnej formie podać swoje twierdzenia publiczności. Frazę o tym, że „nie ma nauki na skróty”, powinien adresować do siebie. O to właśnie chodzi.

Marek Kornat, Mariusz Wołos

REKLAMA



NNW XIII FESTIWAL FILMOWY NNW

29.09 - 02.10 GDYNIA 2021



PATRONAT HONOROWY
PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
ANNA DZIUBA
WYKŁADYCE GOŚCINNA NA WYSTAWIE

www.festiwalnnw.pl

wstęp wolny

ORGANIZATORZY

SCENA
KULTURY

GDYNIA
MIĘDZYNARODOWY
FESTIWAL
FILMOWY

PARTNER GENERALNY



OPRACOWANIE I BRONOWANIE
MIĘDZYNARODOWY
FESTIWAL
FILMOWY



WSPRACOWANIE



SPONSORZY



PARTNERZY INSTITUCJONALNI



20-26.09.2021

59

*Starożytni Chińczycy
mieli podobno marwić:
obyś żył w ciekawych
czasach. Przysłowie to
– przez jednych uznawane
za błogosławieństwo,
przez innych za
przekleństwo – zyskało
na aktualności w dobie
pandemii COVID-19. Bez
wątpienia są to ciekawe
czasy, szczególnie dla
pokolenia wychowanego
już w wolnej Polsce*



ADAM SKOWRON

Po okresie względnej stabilizacji i pokoju (by nie powiedzieć – politycznej i społecznej nudy) przyszło nam się zmierzyć z sytuacją bezprecedensową; sytuacją, która odciska trwale piętno nie tylko na gospodarce, lecz przede wszystkim na sferze relacji międzyludzkich.

Nie trzeba być filozofem, by dostrzec skalę zmian wywołanych pandemią. Trudniej za to wyznaczyć wspólny rdzeń tych zmian, określić ich naturę. Musi minąć wiele lat (być może całe dziesięciolecie), aby filozofowie i socjologowie mogli przedstawić pełny obraz tego, co się dzieje w sferze społecznej od początku ubiegłego roku. Dziś można jednak wskazać jedno z najbardziej elementarnych zjawisk, które bezpośrednio wynika z trwającej pandemii. Zjawiskiem tym jest wszechobecny podział.

Koronawirus lubuje się w dystynkcjach. Począwszy od najprostszej: zdrowy–chory, przechodzi do tych bardziej wysublimowanych. Teorie spiskowe stają w kontrze do teorii naukowych: wierzący w „plandemii” ścierają się z tymi, którzy rozpoznają zagrożenie. Zwolennicy szczepień odróżniają się wyraźnie od tzw. antyszczepionkowców (ba, nawet wśród tych pierwszych da się zaobserwować podział na tych, którzy są zaszczepieni niby to „lepszą” szczepionką, i tych, którzy otrzymali tę „gorszą”). Ci, którzy noszą maseczki w zamkniętych pomieszczeniach, spotykają się z ostracyzmem ze strony rzekomych „orędowników wolności”, dla których maseczka stała się symbolem zniewolenia i ślepego posłuszeństwa rozporządzeniom. Podziały te nie były znane społeczeństwu przed wybuchem pandemii (być może z wyjątkiem sporu między

zwolennikami szczepień a ich fanatycznymi przeciwnikami).

Nie trzeba być też fizykiem, aby zauważyć, iż podział prowadzi do atomizacji. Poucza nas o tym zwyczajne, codzienne doświadczenie. To, co zwarte, jednolite, trwałe, przeistacza się wskutek podziału w to, co kruche, rozdrobnione, słabe. Za godną podziwu należało uznać chytrą rzymskiego porzekadła: *divide et impera* (łac. dziel i rządź), jako że podział społeczeństwa jest pierwszym krokiem do jego dezorganizacji. Ów tragiczny w swych skutkach proces można przedstawić następująco: w miejsce kategorii my (notabene: kategorii najbardziej naturalnej dla narodu) wchodzi

my–wy, co ostatecznie przeradza się w my–oni. My wierzymy w pandemię, wy nie; oni nie zakrywają twarzy, my tak. Ja jestem z tych, którzy ufają rządowi, ty zaś jesteś jego zagorzałym oponentem. Kwestia za kwestią, problem za problemem, ilu obywateli, tyle poglądów, tyle postaw.

Wyjątkowo ciekawa sytuacja dotyczy pojęcia ofiary. Tu już wprawdzie trudniej mówić o podziałach, skoro każdy z nas

– choćby pośrednio – stał się ofiarą czasów pandemii. A jednak da się dostrzec wiele różnic co do stopnia ponoszo-





nych ofiar: gdy jeden czuje się poszkodowany, bo zabroniono mu pójść do centrum handlowego, inny cierpi bardziej, bo zakazano wstępu na siłownię, kolejny boleje nad zamkniętym kinem. Z drugiej strony są ci, którzy musieli się zmierzyć z odejściem najbliższych, jak też tacy, których choroba dotknęła bezpośrednio. Tu podział dotyczy skali ofiary: od tych, którym zamknięto sklepy, po tych, którym zamknięto powieki na szpitalnym łóżku.

Dla mnie, jako filozofa (a przypominę, iż słowo to oznaczało pierwotnie miłośnika mądrości), jednym z najbardziej bolesnych podziałów jest jednak ten: mądry–głupi. Kogóż to dziś nazywa się bowiem mądrym? Tego, który „wylączył telewizję, a włączył myślenie”, tego, kto całą swoją wiedzę na temat wirusa i związanych z nim zagrożeń czerpie z nieweryfikowanych źródeł, ogląda tendencyjne materiały i w ten sposób zyskał dostęp do pozornej prawdy oświeconej? Czy mądrym jest dziś ten, kto przejrzał na oczy, kto

demaskuje złowieszcze plany masonerii i rządu światowego, kto zaciekle walczy z rzekomym chipowaniem ludzi, chcąc zniweczyć projekt Nowego Wspaniałego Świata? A czy w takim razie głupim jest ten, kto zagląda do recenzowanych czasopism naukowych, kto weryfikuje znalezione w internecie informacje i posiada choć minimum krytycyzmu wobec tak modnych teorii spiskowych? Pociesza mnie jedynie to, iż historia obfituje w przykłady takiego podziału i – jak się okazuje – pojęcia mądry i głupi odzyskują po czasie swoje właściwe znaczenie. Wystarczy przypomnieć kazus Sokratesa.

I kolejny, bardziej już ogólny podział: stare czasy i nowe czasy. Cezura jest początek roku 2019 – moment, w którym oddziela się stara normalność od nowej, pandemicznej rzeczywistości. Sanitarna bez troska odeszła w niepamięć, ustępując ciekawym czasem obostrzeń i niepokojów. Co gorsza, sam przeciwnik uległ różnym podziałom: wariant brytyjski, wariant indyjski, brazy-

lijski, południowoafrykański, lambda, kappa itd. Mniej zaraźliwy, bardziej zaraźliwy, śmiertelny.

Stojąc w obliczu tak wielu podziałów, filozof musi w końcu zadać pytanie: do czego to wszystko zmierza? Czy zmiany spowodowane takimi podziałami będą krótko- czy długotrwałe? Racjonalista o umyśle matematyka odpowie: dzielić można w nieskończoność. Empirysta zaprzeczy: każdy podział ma swój kres, przynajmniej, jeśli chodzi o „naszą”, codzienną rzeczywistość. Pesymista stwierdzi przy tym, że pandemia obnażyła słabość ludzkiej egzystencji, wynosząc na piedestał egoizm, a niekiedy wręcz mizantropię. Optymista odrzuci tę tezę, sądząc, że dopiero w dobie pandemii nauczyliśmy się solidarności i odpowiedzialności społecznej. Etyk rozważy współczesny sens cierpienia. I znów: kwestia za kwestią, problem za problemem, ilu myślicieli, tyle poglądów, tyle postaw. Jak widać, podział nie oszczędził nawet filozofii. ▀



Ustawione wybory do Dumy

*Wynik wyborów jest łatwy do przewidzenia
– wygra Jedna Rosja Władimira Putina*



MAREK BUDZISZ

O rędzie, z którym do narodu wystąpił w przededniu głosowania do Dumy Państwowej Władimir Putin, było krótkie i dość bezbarwne. Powiedział w nim jedynie, że „szybko i w sposób nieprzewidywalny zmienia się świat”, co jest zarówno szansą, jak i wyzwaniem dla kraju i z tego właśnie powodu Rosja potrzebuje sprawnie działającego parlamentu.

Zdaniem niektórych obserwatorów cała kampania poprzedzająca „dzień głosowania”, który w tym roku po raz pierwszy trwał trzy dni: 17–19 września, według opozycji po to, by móc w sposób nieskrępowany fałszować wyniki, wyglądała podobnie jak przemówienie Putina – była nudna i w niewielkim stopniu absorbowała Rosjan. Wyniki są zresztą łatwe do przewidzenia – wygra Jedna Rosja. Andriej Percew, dziennikarz portalu Meduza, napisał, że władze celowo postawiły na tego rodzaju kampanię po to, by zniechęcić Rosjan do uczestnictwa w wyborach. W jego opinii niska

frekwencja jest najlepszą gwarancją, że uda się uniknąć niespodzianek, a partia władzy – Jedna Rosja, zrealizuje postawione przed jej kierownictwem „zadanie”, jakim jest zdobycie co najmniej 300 z 450 mandatów (w obecnej Dumie ma ona 336 miejsc).

W tym roku kremlowscy spin doktorzy postawili na „stabilizację” i to, że otoczenie Putina kontroluje wszystkie uczestniczące w wyborach siły polityczne, w tym potencjalnie najbardziej „niesforą” Komunistyczną Partię Federacji Rosyjskiej (KPFR), która od maja do początków września poprawiła notowania w badaniach opinii publicznej dwukrotnie, podczas gdy partia władzy jeszcze w sierpniu notowała historycznie niskie wyniki. Ostatnie sondaże przeprowadzone w tygodniu poprzedzającym głosowanie przez kontrolowane przez władzę ośrodki badania opinii publicznej wskazywały jednak, że Jedna Rosja może liczyć na 40–45 proc. głosów. W opinii sceptyków tego rodzaju skok poparcia jest trudny do wytłumaczenia, bo jeszcze w sierpniu Jedna Rosja miała 23 proc. poparcia, a komuniści Giennadija Żuganowa blisko 20 proc., co może oznaczać, iż w tegorocznych wyborach zbliża się do swego najlepszego wyniku wyborczego, jaki odnotowali w 1999 r. Ich zdaniem może to świadczyć, że władza ma zamiar „narysować” wyniki wyborów.

PRZEPIS NA WYBORCZE FAŁSZERSTWO

Na tego rodzaju scenariusz wskazuje choćby ujawnione przez „Nową Gazetę” nagranie ze szkolenia przedstawicieli komisji wyborczych w podmoskiewskim Korolewie. Na nagraniu kobieta, którą dziennik zidentyfikował jako Żannę Prokofiewą, pomocnika szefa miejscowej administracji, instruuje szefów komisji, co mają robić, aby w ich komisji „wiadomo która partia” uzyskiwała taki wynik jak należy. Nie ma problemu z dokładaniem do urny zawczasu przygotowanych kart do głosowania, bo władze zadbały o to, aby wśród niezależnych obserwatorów znaleźli się niemal wyłącznie ludzie, na których można polegać, trzydniowe głosowanie też to ułatwia. Ważne jest co innego, mówi instruująca przedstawicieli komisji Prokofiewa, trzeba mianowicie zachować „zimną krew i nie panikować”, ale nade wszystko kontrolować spisy wyborców. W jaki sposób? Najłatwiej mieć dwa spisy – ten, który widzą przychodzący głosować i drugi własny, który potem zostanie uznany za oficjalny. W tym pierwszym wszystko musi być „jak należy”, bo trzeba uniknąć błędów z przeszłości i większych skandali, które już raz doprowadziły do unieważnienia wyborów w Korolewie. Najgorzej jest wtedy, kiedy do lokalu przychodzi wyborca i widzi w spisie, że już oddał głos albo jego obłożnie chora sąsiadka przysłała na wybory z synem, który – i wszyscy w okolicy o tym wiedzą – pracuje np. na



Kamczatce. Po to są właśnie te dwa spisy, wścibscy wyborcy widzą, że wszystko jest OK, nie ma żadnych martwych dusz, nikt za nich nie głosował, a szef komisji ma własną listę, z którą może zrobić, co zechce.

Inną technikę zastosowano w obwodzie rostowskim. Tam z kolei głosować mogą „nowi obywatele Federacji Rosyjskiej”, czyli ponad 600 tys. mieszkańców Donbasu, którzy w ramach przyspieszonego procesu paszportyzacji uzyskali prawa wyborcze. Denis Puszylin, szef donieckiej „republik ludowej”, powiedział, że władze organizują 12 pociągów i zmobilizowały 825 autobusów, aby zawieźć chętnych do lokali wyborczych. Raczej nie ma wątpliwości, na kogo wdzięczni nowi obywatele oddadzą swoje głosy.

Z kolei w Moskwie postawiono na głosowanie elektroniczne, które akurat w rosyjskiej stolicy w ramach „eksperymentu” będzie w tym roku możliwe. Mer Moskwy Siergiej Sobianin powiedział, że w formule głosowania elektronicznego chce w tym roku oddać swe głosy 1,3 mln mieszkańców, co stanowi 17,5 proc. uprawnionych do głosowania. Eksperti zauważają, że w wyborach do Dumy w 2016 r., kiedy nie było takiej możliwości, w Moskwie uczestniczyło w wyborach 35 proc. tych, którzy mieli do tego prawo, co oznacza, że w tym roku nawet połowa głosów może zostać oddana za pośrednictwem komputerów. Daje to władzom wielkie, wprost nieograniczone możliwości. Począwszy od tradycyjnej,

zwłaszcza w sektorze publicznym, formuły głosowania „w obecności starszego kolegi”, a najlepiej w gabinecie i z komputera dyrektora personalnego, po bardziej wyrafinowane sposoby związane z platformami usług publicznych, za których pośrednictwem można będzie oddać głos.

Są też metody organizowania wyborów, można rzec, ulubione, do których przywiązane są władze lokalne. W tzw. sultanatach wyborczych, czyli autonomicznych republikach północnego Kaukazu, takich jak Czeczenia, Inguszetia czy Dagestan, sprawa jest prosta – władza mówi, na kogo głosować i ludzie przyzwyczajeni do posłuszeństwa tak robią, czasami nawet nie fatygując się do lokali. Najlepszym przykładem jest Inguszetia, w której mieszka jakieś 500–600 tys. mniej ludzi, niż podają oficjalne statystyki, a to oznacza, że liczebność mieszkańców republiki została zawyżona o 100 proc. Dlaczego? Pewnym wytłumaczeniem jest migracja do miast na Północy, ale przede wszystkim chodzi o subwencje z Moskwy, które liczone są na głowę, więc wszystkim się opłaca, aby mieszkańców było więcej.

W Petersburgu natomiast lubią technikę „na sobowtóra”. Przekonał się o tym Borys Wiszniewski, szef radnych liberalnego Jabłoka w lokalnej Dumie, którego władzom nie udało się skreślić z tegorocznych wyborów. Nie oznacza to, że nie próbowały. Został on przez lokalną komisję skreślony z listy, ale tak nieudolnie, iż sąd musiał go przywrócić. I wówczas się oka-

zało, że na liście wyborczej jest trzech Borysów Wiszniewskich, mało tego, bardzo z wyglądu do siebie podobnych. Dwóch z nich jeszcze niedawno nazywało się zupełnie inaczej i w ostatnich tygodniach zmienili nazwiska, a nawet wygląd, po to by upodobnić się do tego Borysa Wiszniewskiego, ale kto obywatelowi zabroni?

„PERSWAZJA” I KLONY PARTII

Ta technika stosowana jest, jak obliczyli dziennikarze „Kommiersanta”, w ponad 20 okręgach jednomandatowych. Władzy nie jest jednak obojętne, jak potoczą się wybory w 225 okręgach jednomandatowych. W tym przypadku stosuje się cały wachlarz działań. Po pierwsze, nie dopuszcza się do wyborów popularnych i niepokornych polityków. Tak stało się w przypadku Lwa Szlosberga z Jabłoka czy Pawła Grudynina, najpopularniejszego kandydata KPFR, których sądy pod byle pretekstami skreśliły z listy. Można też przekonać rywalizującego z kandydatem Jednej Rosji polityka, że start w wyborach to nie jest najlepszy pomysł. Na przykład w Kraju Krasnojarskim zrezygnował z wyborów Aleksandr Gliskow wystawiony przez partię Żyrinowskiego, który miał szansę wygrać z Aleksandrem Drozdowym, kandydatem partii władzy. Gliskowa wyborcy mieli poprosić o to, aby się wycofał i „pozostał w regionie”. Podobnie postąpił startujący z rekomendacji Sprawiedliwej Rosji w obwodzie swierdłowskim Dmitrij Jonin. Co ciekawe, ich

partie matki, niemające licznych klubów w Dumie, dla których każdy dodatkowy mandat jest niemal na wagę złota, nie protestowały przeciw decyzjom swoich polityków.

Jeśli nie ma szans na tego rodzaju „perswazję”, to polittechnolodzy Kremla inicjują powstanie całych formacji politycznych, których jedynym zadaniem ma być odebranie głosów konkurentom Jednej Rosji. Z kandydatami Komunistycznej Partii Federacji Rosyjskiej, formacją Ziuganowa, na listach wyborczych rywalizują reprezentanci partii Komunistów Rosji, często o podobnie brzmiących nazwiskach, która nie ma szans na reprezentację w Dumie. O głosy balansującą na granicy progu wyborczego liberalnej i opozycyjnej partii Jawlińskiego Jabłoko rywalizować będzie powołana w ub.r. przez Aleksieja Nieczajewa, przedsiębiorcę, specjalistę w zakresie marketingu bezpośredniego, formacja Nowi Ludzie odwołująca się do młodszych i bardziej liberalnych wyborców. Według ostatnich sondaży zarówno Jabłoko, jak i Nowi Ludzie balansują na granicy progu wyborczego.

Podobnie sprawy mają się w kilku okręgach moskiewskich, szczególnie trudnych dla władz, gdzie zamieszkuje inteligencja. Najlepszym przykładem jest obwód leninградzki, gdzie przeciw kandydatowi Jednej Rosji stanęły Marina Litwinowicz z Jabłoka i usunięta z tej formacji, młoda ambitna, Anastasia Bryukhanowa, prowadząca bardzo, jak na rosyjskie warunki, dynamiczną kampanię. Udało jej się zebrać na kampanię, z wpłat ludzi, maksymalną dopuszczoną prawem kwotę 40 mln rubli (550 tys. dol.) i ma wszelkie szanse, aby pokonać w wyścigu wyborczym znacznie mniej przebojową Litwinowicz. Z takiego obrotu spraw może się cieszyć, w opinii wielu obserwatorów, jedynie kandydat Jednej Rosji, który maksymalnie zdobędzie 30 proc. głosów, podczas gdy obie rywalizujące ze sobą kandydatki opozycji mają razem 35 proc.

APEL O „ROZUMNE GŁOSOWANIE”

Ani formuła „wyczyszczenia list”, ani wystawienie przez opozycję w tym samym okręgu wielu kandydatów, ani

„sobowtóry” nie dają gwarancji na sukces. Przekonać się o tym może Michail Diegtiariew, obecny gubernator Chabarowska z partii Żyrinowskiego. W odbywających się równolegle z głosowaniem do Dumy wyborach na jego stanowisko nie ma on realnych konkurentów, ale w tym syberyjskim mieście, znanym z wielomiesięcznych protestów ulicznych po aresztowaniu jego poprzednika, ludzie są gotowi głosować „na kogokolwiek”, byle tylko pokazać władzy czerwoną kartkę. Zygmunt Hudiakow, były tokarz i jeden z liderów protestów w Chabarowsku (sześć razy zatrzymywany, 33 dni aresztu), powiedział portalowi Znak, że „teraz najważniejsze, aby głosować przeciw

Rozbitej represjami organizacji Nawalnego udało się opublikować listę 225 rekomendacji, jak głosować, aby w jednomandatowych okręgach pozbawić szans kandydatów Jednej Rosji

Putinowi, przeciw Jednej Rosji” i dlatego popiera nikomu nieznana dziennikarkę z Moskwy Marinę Kim, która w ogóle nie pojawia się w Chabarowsku. W opinii lokalnych dziennikarzy w świetle ostatnich notowań ma ona równe szanse w starciu z urzędującym gubernatorem i nie można wykluczyć drugiej rundy.

Opinia Hudiakowa pozwala zrozumieć, dlaczego Kreml za swojego największego wroga uznał Nawalnego i jego apel o „rozumne głosowanie”, czyli poparcie tego rywala kandydata Jednej Rosji, niezależnie od partyjnej afiliacji, który ma największe szanse na zwycięstwo. Rozbitej aresztowaniami i represjami organizacji Nawalnego udało się wbrew staraniom władz opublikować listę 225 rekomendacji, jak głosować, aby w jednomandatowych okręgach pozbawić szans kandydatów Jednej Rosji.

Zaniepokojenie władz jest tak duże, że nie zawahały się zacząć blokowania niektórych stron Google’a i weszły w konflikt z globalnymi koncernami Apple czy Cisco, żądając wycofania z ich serwerów informacji na temat „rozumnego głosowania”. To, że Nawalny siedzi w kolonii karnej, a jego najbliżsi współpracownicy wyjechali z Rosji, nie zmniejsza zagrożenia, jakim jest dla władz „rozumne głosowanie”. Jeśli ludzie, a badania opinii odnotowują rosnącą falę niezadowolenia, będą głosować na każdego, byle tylko nie zwyciężyła Jedna Rosja, to władza Putina w efekcie tego rodzaju postaw co prawda nie osłabnie, ale rozhermetyzuje się cały system. Naruszona zostanie krucha równowaga grup nacisku,

lokalnych koterii i frakcji w obozie władzy, ale przede wszystkim zakwestionowana zasada, że to Kreml decyduje, a nie wyborcy, o tym, kto zasiada w Dumie. W rezultacie system może się zacząć wewnętrznie destabilizować, bo jak powiedział w jednym z wywiadów socjolog Gleb Pawłowski, najgroźniejsza opozycja może powstać w obrębie obozu władzy, a nie poza jego strukturami.

Tego rodzaju „rozchwywanie systemu” może być tym groźniejsze, że zdaniem ekonomisty Władysława Inoziemcowa, Rosja już technologicznie odstaje od świata

o całą generację i dziś przypomina nieco czasy Mikołaja I, kiedy była uznawana za państwo najsilniejsze w Europie, a jakie są jej rzeczywiste możliwości, dowiodła wojna krymska. Teraz wojny nie będzie, ale szok związany z europejską polityką klimatyczną, na jaki zostanie wystawiona rosyjska gospodarka surowcowa, będzie nie mniejszy. Tym bardziej jeśli obóz władzy, który zresztą podlega rosnącej presji generacyjnej, wejdzie w nową epokę podzielony, to Rosja może, w opinii Inoziemcowa, powtórzyć to, co się stało za Gorbaczowa i Jelcyna. Nawet zamknięcie w więzieniach całej opozycji niewiele tu w jego opinii pomoże, bo liczyć się będzie stan rosyjskiego obozu władzy, a ten w wyniku obecnych wyborów może zmienić się w niemałym stopniu. To, że wygra w nich Kreml, nie gwarantuje w dłuższej perspektywie właściwie niczego. 



LOTOS aktywnie rozwija działalność wydobywczą w Norwegii

Złożenie aplikacji w rundzie koncesyjnej APA 2021 oraz ujednolicenie udziałów w ramach projektu NOAKA to główne działania finalizowane we wrześniu br. przez spółkę LOTOS Exploration and Production Norge. Koncern optymalizuje swoje aktywa w Norwegii, dążąc do ich efektywnego wykorzystania i zabezpieczenia potencjału rozwoju na kolejne lata

LOTOS Norge złożyła 8 września br. aplikacje w kolejnej rundzie koncesyjnej APA (ang. Awards in Predefined Areas). Większość z wnioskowanych obszarów zlokalizowanych jest w miejscach, w których spółka posiada już swoje udziały i prowadzi działalność poszukiwawczo-wydobywczą, m.in. NOAKA oraz Sleipner. Natomiast jeden z obszarów, zgłoszony wspólnie z PGNiG Norway, znajduje się w części Morza Północnego, gdzie dotychczas LOTOS nie prowadził aktywnych poszukiwań i wydobywania węglowodorów. Obydwa koncerny od lat współpracują właśnie m.in. w segmencie wydobywczym w Norwegii. Zgodnie z obowiązującą od 2019 r. umową spółka z Grupy Kapitałowej PGNiG jest wyłącznym odbiorcą gazu ziemnego wydobywanego w Norwegii przez LOTOS Norge.

Celem udziału w organizowanych rokrocznie przez norweskie Ministerstwo Ropy i Energii rundach koncesyjnych jest przede wszystkim zwiększanie potencjału wydobywczego na kolejne lata. To najbardziej efektywny sposób rozwoju portfela aktywów o dużym potencjale wzrostu wartości. Wybrane obszary stanowią również okazję do poprawy parametrów posiadanych już koncesji. Rundy koncesyjne sprzyjają też zacieśnianiu współpracy z partnerami. Podczas ostatniej rundy (APA 2020) LOTOS Norge otrzymała trzy nowe koncesje. Wyniki obecnej rundy zostaną ogłoszone w styczniu 2022 r.

HARMONIZACJA NA PROJEKcie NOAKA

Dzień później, tj. 9 września br., LOTOS Norge podpisała z AkerBP umowę dotyczącą tzw. harmonizacji udziałów na koncesjach w obszarze NOA (North of Alvheim) oraz Fulla. Dokumenty trafiają teraz do zatwierdzenia przez norweskie władze. Dokument reguluje wymianę udziałów pomiędzy LOTOS Norge a AkerBP w ośmiu koncesjach. LOTOS w każdej z nich będzie miał efektywny jednolity udział na poziomie 12,3%.

Porozumienie uprości współpracę oraz rozliczenia pomiędzy partnerami. Pozwolą na to równe udziały oraz bar-

dziej zbilansowana struktura produkcji w podziale ropa/gaz. W rezultacie nie będzie np. konieczności zawierania komercyjnych umów pomiędzy poszczególnymi aktywami w związku z ich uruchamianiem do produkcji na przestrzeni czasu (co wymuszają istniejące ograniczenia przerobowe na platformie procesowej). Dokonano także wyboru koncepcji zagospodarowania dla obszaru NOAKA. Do końca 2022 r. zostanie przygotowany plan zagospodarowania złóż, a na rok 2027 zaplanowano uruchomienie produkcji.

NOAKA jest jednym z kluczowych projektów rozwojowych na Morzu Północnym, z łącznym potencjałem ponad 500 mln boe zasobów wydobywalnych (udział 100%). Dla LOTOSU projekt stanowi bazę do dalszego rozwoju spółki na norweskim szelfie kontynentalnym.

POZOSTAŁE PROJEKTY

LOTOS Norge jest też w przededniu podpisania finalnych umów dotyczących harmonizacji oraz wyboru koncepcji zagospodarowania dla zlokalizowanego w obszarze Heimdal projektu Trell/Trine. Jego operatorem jest firma AkerBP. Obecnie zakładana jest możliwość zagospodarowania poprzez podłączenie do jednostki pływającej, której zadaniem jest wydobywanie, wstępne oczyszczenie, przechowywanie oraz przeladunek ropy naftowej i gazu ze złóż podmorskich (tzw. infrastruktury FPSO, ang. floating production, storage and offloading) w obszarze Alvheim. Potencjał zasobowy tych złóż spółka szacuje na ok. 2,6 mln boe dla udziału LOTOSU, z możliwością uruchomienia wydobywania w 2025 r. Ostateczny udział LOTOSU w złożach Trell/Trine to 11,9%.

Ponadto w sierpniu br. Repsol, będący operatorem złoża Yme, uzyskał od regulatora zgodę na rozpoczęcie wydobywania ropy naftowej na tym projekcie. Zakładany obecnie termin uruchomienia produkcji to IV kw. 2021 r. Potencjał zasobowy tego złoża to ponad 12 mln bbl, dla 20% udziału LOTOSU.



Środkowoeuropejska podróż Franciszka

Pielgrzymka Franciszka na Węgry i Słowację pokazała odrębność Europy Środkowej od zachodniej części Starego Kontynentu. Franciszek wydawał się bardziej odprężony i zadowolony niż zazwyczaj, tak jakby jemu także udzielił się entuzjazm tłumów i jakby ładował tam swe duchowe „akumulatory”

Doniesienia światowych mediów z Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego w Budapeszcie skupiały się na spotkaniu Franciszka z Viktorom Orbánem. Przez wiele tygodni zastanawiano się, czy do takiej rozmowy w ogóle dojdzie. Tego rodzaju spekulacjom sprzyjały rozmaite wypowiedzi, np. wywiad Franciszka dla hiszpańskiej rozgłośni radiowej COPE. Na szczęście do spotkania doszło. Wbrew obawom jednych, a nadziejom drugich, trwało ono 40 minut i przebiegło w milej atmosferze.

Premier podarował gościowi kopię listu króla węgierskiego Beli IV do papieża Innocentego IV z 1251 r., w którym autor prosi adresata o zorganizowanie koalicji chrześcijańskiej do obrony jego kraju przed spodziewanym najazdem barbarzyńców ze Wschodu. Symbolika daru była aż nadto czytelna, a podkreślił ją jeszcze Viktor Orbán, który napisał na Facebooku: „Poprosilem papieża Franciszka, aby nie pozwolił zginąć chrześcijańskim Węgrom”.

ZNAKI OD BOGA

Większość mediów, która skupiła się na tym wymiarze papieskiej pielgrzymki, przemilczała w ogóle sam przebieg Kongresu



GRZEGORZ GÓRNY

Eucharystycznego, który trwał od 5 do 12 września i zaangażował przez ten czas ponad 100 tys. ludzi. Minister Miklós Soltész, odpowiadający w rządzie węgierskim za kontakty z Kościołami, opowiadał mi, że wydarzenie miało olbrzymi potencjał ewangelizacyjny. Przez tydzień w stolicy zorganizowano wiele spotkań religijnych, koncertów, wystaw czy spektakli, w których uczestniczyła licznie zwłaszcza młodzież. Duże wrażenie

wywarły nocne nabożeństwa i procesje ze świecami ulicami Budapesztu, w których brali udział dostojnicy z całego świata, m.in. prawosławny patriarcha Konstantynopola Bartłomiej.

Choć zaproszenie na Kongres zostało skierowane do biskupów ze wszystkich kontynentów, bardziej rzucali się w oczy hierarchowie z Afryki, Azji czy Ameryki Południowej niż z Europy Zachodniej, których było znacznie mniej, niż się spodziewano. Być może zdecydował o tym fakt, że dla hierarchów z innych części globu pobożność eucharystyczna odgrywa większą rolę w życiu duchowym niż na Zachodzie. Słychać to było zwłaszcza w mowach takich purpuratów jak np. kardynałowie John Onaiyekan z Nigerii czy Robert Sarah z Gwinei, którzy przypominali wiernym, że nie wolno przystępować do komunii w stanie grzechu ciężkiego, np. przebywając w związku niesakramentalnym. Mocno kontrastuje to z podejściem wielu bi-

skupów zachodnioeuropejskich, np. niemieckich, dla których Eucharystia jest wręcz prawem człowieka, którego nie można nikomu odmówić.

Głośnym echem wśród uczestników Kongresu odbiło się świadectwo członkini Papieskiej Komisji Biblijnej, amerykańskiej teolog Mary Healy, która ostrzegała zgromadzonych przed niebezpieczeństwem okultyzmu. Spore wrażenie wywarło też wystąpienie prezydenta Węgier Jánosa Ádera, który z jednej strony opowiedział o swoim osobistym doświadczeniu wiary, a z drugiej podzielił się z zebranymi własnymi przemyśleniami na temat religii na podstawie dzieł sztuki, takich jak np. poezja Attili Józsefa czy obraz Salvadora Dalego „Chrystus św. Jana od Krzyża”.

Węgierski przywódca powiedział: „Wszyscy otrzymujemy od Boga znaki. Tylko od nas zależy, czy uznamy to za zbieg okoliczności, czy też zobaczymy w tym naukę i dzieło Boże”. On sam przyznał, że taki znak od Boga odebrał podczas pandemii, gdy zrozumiał, iż musi pomóc dzieciom, które przez koronawirusa straciły rodziców. W ten sposób powstał pomysł stworzenia fundacji, którą János Áder założył wraz z żoną. Celem instytucji jest wspomaganie materialne i psychiczne dzieci osieroconych na skutek epidemii. Patronem fundacji został ks. István Regőczy (1915–2013), który sam był sierotą i zakładał później domy dziecka, a w czasie II wojny światowej uratował setki żydowskich dzieci. Dzieło Ádera nie byłoby możliwe bez motywacji religijnej prezydenta Węgier, a zwłaszcza czerpania przez niego siły duchowej z Eucharystii.

POWRÓT DO KORZENI

W tym sensie kongres w Budapeszcie stanowił powrót do korzeni. Idea tego rodzaju międzynarodowych spotkań narodziła się bowiem w II połowie XIX stulecia we Francji, gdy grupa tamtejszych katolików skupiona wokół św. Piotra Juliana Eymarda zauważyła wśród wiernych postępujący zanik świadomości eucharystycznej. Czołową rolę w tym ruchu odgrywały osoby świeckie, zwłaszcza Emilie-Marie Tamisier. Dzięki niej w 1881 r. udało się zorganizować I Międzynarodowy Kongres Eucharystyczny w Lille, w którym wzięło udział ponad 8 tys. ludzi z wielu krajów. Z czasem wydarzenie stało się cykliczne i zaczęło przyciągać coraz większą liczbę uczestników z całego świata.

Warto przypomnieć, że 34. Międzynarodowy Kongres Eucharystyczny odbył się w maju 1938 r. w Budapeszcie. W stolicy Węgier zjawilo się wówczas mniej pielgrzymów z zagranicy, niż zapowiadano, ponieważ Hitler zamknął granice dla kilkudziesięciu tysięcy pątników z Niemiec i Austrii. Była to zemsta kanclerza Trzeciej Rzeszy za ogłoszoną rok wcześniej encyklikę „Mit brennender Sorge”, w której Pius XI potępił narodowy socjalizm. Trzecią najliczniejszą grupę z zagranicy – po gościach z Czechosłowacji i Włoch – stanowili wtedy Polacy, którym przewodzili dwaj kardynałowie: August Hlond i Aleksander Kakowski.

Zostali oni ciepło przyjęci przez Węgrów, ponieważ dwa lata wcześniej Warszawa rywalizowała z Budapesztem o zorganizowanie Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego i – choć miała większe szanse na zwycięstwo – wycofała się na rzecz Madziarów. W efekcie 17 listopada 1936 r. Watykan podjął

decyzję, że wydarzenie odbędzie się nad Dunajem. Polscy hierarchowie zdecydowali się ustąpić bratankom dlatego, że w roku 1938 przypadała 900. rocznica śmierci św. Stefana – pierwszego króla Węgier. W ten sposób kongres stał się częścią obchodów Roku św. Stefana.

W tym roku wątki polsko-węgierskie spłotyły się 12 września, ponieważ tego samego dnia, gdy w Budapeszcie odbywała się wieńcząca Kongres msza pod przewodnictwem Franciszka, w Warszawie doszło do beatyfikacji prymasa Stefana Wyszyńskiego. Komentatorów raził smutny kontrast: w polskich uroczystościach z powodu reżimu sanitarnego wzięło udział zaledwie 7 tys. osób, natomiast na Węgrzech we mszy papieskiej uczestniczyło ponad 130 tys. wiernych.

MARYJA JAKO WZÓR

Franciszek został przyjęty na Węgrzech bardzo ciepło, podobnie jak na Słowacji, gdzie spędził kolejne trzy dni. Nie spełniły się przepowiednie części publicystów, zwłaszcza lewicowych i liberalnych, że będzie on krytykował rządy krajów Europy Środkowej za ich politykę antyimigracyjną. Świadczy to o niezrozumieniu przez mainstreamowych dziennikarzy duchowego wymiaru życia oraz instrumentalnym traktowaniu religii. Przykładem takiej postawy może być komentarz wpływowego pisarza i filozofa liberalnego Milana Šimečki, dla którego papieska pielgrzymka jawiła się jako starcie dwóch sił: dobra, które



Pani

JOANNIE KOPCIŃSKIEJ

wyrazi głębokiego żalu i współczucia

z powodu śmierci

MAMY

składają

Ryszard Legutko

oraz Koleżanki i Koledzy

*z Grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów
w Parlamencie Europejskim*

reprezentuje Franciszek i prezydent Słowacji Zuzana Čaputová, oraz zła czającego się za plecami populistów w rodzaju Roberta Fico i Petera Pellegriniego. Zdaniem autora zwolennicy wspomnianych dwóch polityków są tak impregnowani na argumenty, że nie trafia do nich nawet słowa gościa z Watykanu: „Może się mylę – pisał Šimečka – ale obawiam się, że nawet jeśli wyborcy opozycji słuchali papieża, to jego słowa nie dotarły do ich umysłów. Są uczuleni na piękne zdania i poetyckie metafory, ponieważ pełne gniewu wulgarne słowa używane przez Fico uważają za prawdziwe”.

Tego typu polityczne komentarze dominowały w mediach głównego nurtu, podczas gdy papieska pielgrzymka miała zupełnie inny wymiar. Już na początku swej wizyty Franciszek bardzo mocno dowartościował słowacką tradycję i tożsamość narodową. Nazwał Słowację „krajem środka” (w domyśle: między Wschodem i Zachodem – jako łącznik pomiędzy nimi). Przypominał, że ziemie te „stanowiły pogranicze Imperium Rzymskiego”, a potem „były miejscem wzajemnego oddziaływania chrześcijaństwa zachodniego i wschodniego; od Państwa Wielkomorawskiego po Królestwo Węgierskie, od Republiki Czechosłowackiej aż po współczesność”. Pochwalił też Słowaków i Czechów za „aksamitny rozwój”, gdy „28 lat temu świat podziwiał bezkonfliktowe narodziny dwóch niepodległych państw”.

Przede wszystkim przesłanie Franciszka było czyste religijne. Najmocniej wybrzmiało ono podczas mszy dla ponad 50 tys. wiernych na błoniach pod bazyliką Matki Bożej Bolesnej w Sastinie. Zarówno miejsce, jak i czas wydarzenia były symboliczne, ponieważ odbyło się ono 15 września – w święto Matki Bożej Bolesnej, która jest główną patronką Słowacji. Dlatego jest to tam dzień wolny od pracy. Franciszek postawił za wzór swoim słuchaczom właśnie Maryję, wskazując jej życie jako najlepszą drogę do Boga – od momentu przyjęcia dziecka w swoim łonie aż po towarzyszenie synowi pod krzyżem.

WIDMO KOLONIZACJI IDEOLOGICZNEJ

Podczas swego pobytu na Węgrzech i na Słowacji Franciszek wydawał się bardziej odprężony i zadowolony niż zazwyczaj, tak jakby jemu także udzielił się entuzjizm tłumów i jakby łądował tam swe duchowe „akumulatory”. Część watykanistów zwraca uwagę, że doskonale wyczuwa on nastrój pielgrzymów i potrafi dostosować swój przekaz do oczekiwań wiernych. Podobnie było zresztą w 2016 r. w Polsce.

Franciszek docenił np. środkowoeuropejską gościnność, wyrażającą się w symbolicznym geście powitania gościa chlebem i solą. W jednym z przemówień na Słowacji omówił biblijną symbolikę chleba i soli, wskazując na głębokie znaczenie

duchowe i moralne, jakie ma ów akt. Świadectwem dobrego humoru, który go nie opuszczał, był żart opowiedziany w Budapeszcie. Zapytał wtedy swych węgierskich rozmówców: „Dlaczego w niebie będziemy mówić po węgiersku?”. Gdy nie potrafili odpowiedzieć, wyjaśnił: „Ponieważ nauka tego języka trwa wieczność”.

Z papieskich wystąpień oczywiście każdy wybrał to, co najlepiej mu pasowało. Prezydent Zuzana Čaputová stwierdziła, że w nauczaniu Franciszka najmocniej przemówiło do niej wezwanie do „pokory, miłosierdzia i powszechnego braterstwa” oraz do tworzenia „nowej kultury politycznej i nowej etyki w gospodarce”, a także ostrzeżenia przed największymi niebezpieczeństwami naszych czasów: „populizmem, narodowym egoizmem, fundamentalizmem i bigoterią”.

Redaktor naczelny konserwatywnego portalu postoj.sk Martin Hanus zwrócił z kolei uwagę na inne słowa Franciszka, skierowane do Słowaków: „Życzę wam, abyście nigdy nie pozwolili, żeby aromatyczne smaki waszych najlepszych tradycji zostały zepsute przez powierzchowność konsumpcji i zysków materialnych. Ani przez kolonizację ideologiczną”. Zdaniem Hanusa tak jak Jan Paweł II ostrzegał przed „kulturą śmierci”, a Benedykt XVI przed „dyktaturą relatywizmu”, tak Franciszek ostrzega dziś przed „kolonizacją ideologiczną”.

Wielokrotnie w przeszłości wypowiadał się on w tym właśnie duchu. Szczególnie pamiętne były słowa, które wypowiedział 27 lipca 2016 r. podczas spotkania z biskupami polskimi na Wawelu: „W Europie, w Ameryce, w Ameryce Łacińskiej, w Afryce, w niektórych krajach azjatyckich istnieje prawdziwa kolonizacja ideologiczna. Jedną z nich – mówię to jasno z imienia i nazwiska – jest gender! Dzisiaj dzieci w szkole – właśnie dzieci! – uczą się w szkole, że każdy może wybrać sobie płeć. A dlaczego tego uczą? Ponieważ podręczniki narzucają te osoby i instytucje, które dają pieniądze. Jest to kolonizacja ideologiczna, popierana również przez bardzo wpływowe kraje. I to jest straszne. Kiedy rozmawiałem z papieżem Benedyktem, który ma się dobrze i ma jasną myśl, powiedział mi: »Wasza Świątobliwość, to jest epoka grzechu wobec Boga Stwórcy«. To mądre! Bóg stworzył mężczyznę i kobietę; Bóg stworzył świat, w taki konkretny sposób, zaś my czynimy coś przeciwnego. Bóg obdarzył nas stanem »pierwotnym«, abyśmy uczynili go kulturą; a my następnie z tą kulturą czynimy rzeczy, które sprowadzają nas do stanu »pierwotnego«. Słowa wypowiedziane przez Benedykta XVI powinny skłonić nas do myślenia: To epoka grzechu wobec Boga Stwórcy!”.

Publicyści piszą, że Franciszek pozostawił po sobie tak wiele myśli, że jeszcze przez dłuższy czas komentatorzy będą analizować jego wystąpienia. I to nie tylko na Słowacji, lecz także w innych krajach Europy Środkowej.



Ostatni podróżnik przeszłych czasów

Pięćdziesiąt lat podróży Jacka Palkiewicza po najmniej znanych i najbardziej ekstremalnych zakątkach naszej planety. Od dżungli Borneo po pustynię Namib, od syberyjskiego zimna po oceaniczny rejs szalupą ratunkową. I jeszcze nietknięte świątynie dzięki przyrodzie: Patagonia, Kamczatka, Wielka Rafa Koralowa, Kongo. Okruchy dawnego świata, w których się porusza, są zarówno miejscami kontemplacji, jak i odkryć. Współczesny Odyseusz, uwiedziony stawianiem czoła Nieznanemu i przesuwaniem granic możliwości, od pół wieku dzieli się osobistymi przeżyciami z czytelnikami prestiżowych magazynów europejskich. W rozmowie z Jackiem Hałasem wyznaje, że barwny film jego życia dobiega definitywnie do punktu docelowego.

Bez wątpienia jest pan ostatnim, który podróżował w stylu XIX-wiecznych odkrywców: na wielbłądach, jakach, słoniach, reniferowymi zaprzęgami, piechotą, chińskim sampanem czy indiańskimi pirogami.

Jack Palkiewicz: Bo z dala od utartych szlaków inaczej nie można. W takiej atmosferze smak przygody jest zdecydowanie ostrzejszy. Dziś zacierą się już granica pomiędzy ludzkimi umiejętnościami a wsparciem nowoczesnej technologii. Współcześni eksploratorzy nie muszą teraz korzystać z drogowskazów starożytnych żeglarzy:

Gwiazdy Polarnej i Krzyża Południa. Taki styl wojażowania był realizacją snów młodości, kiedy atlas geograficzny był moją biblią, a globus służył do wędrowki palcem po śladach książkowych bohaterów Roberta Stevensona, Daniela Defoe'a, Jacka Londona, Hermana Melville'a i wielu innych, którzy zastępowali mi ewangelię. To co wyniosłem z ich pasjonujących dzieł, lata później mogłem dotknąć własną ręką, zweryfikować prawdziwość epizodów wyrosłych z fantazji niektórych autorów. Obracałem się nieraz tam, dokąd nie dotarli podziwiani przeze mnie bohaterowie ich opowieści. Kiedyś w We-

nezueli wspiałem się na zagadkowe góry stołowe tepui, opisane przez Arthura Conan Doyle'a w „Zagubionym świecie”. Było to niezwykle przeżycie, bo miejsce stanowiące temat wielu legend, które autor znalazł tylko ze słyszenia, ja podziwiałem osobiście.

Czy podczas jakiejś niebezpiecznej wyprawy żałował pan, że się na nią wybrał?

Nie było takich momentów, nawet jeśli nieraz dotykałem krańcowych sytuacji. Kiedyś dotarłem do Kotliny Danakilskiej na pograniczu Etiopii i Erytrei, uważanej za najgorętsze miejsce na Ziemi. Także „najokrutniejsze”, uzupełniają inni. Śmiało można powiedzieć, że ten niepokojący pustynny bezmiar to prawdziwa szkoła przetrwania, wątpliwa granica między bytnością i odejściem na wieki, gdzie trzeba wykazać się heroicznym samozaparciem. Kiedy tam przebywałem, słupek rtęci regularnie przekraczał 50 kresek. W godzinach południowych miałem wrażenie, że w twarz bucha

mi ogień z pieca hutniczego. Miałem świadomość własnej nicości i czułem się żałośnie bezbronny. Marzyłem o najmniejszym chociażby powiewie powietrza, myśli co raz ulatywały gdzieś do krainy zimna za kołem podbiegunowym. Przestrach dodatkowo umacniała myśl, że przebywam na terytorium bezwzględnie koczowniczego plemienia Afarów. Z ich ręki zginęło tu wielu Europejczyków, a ostatni przypadek miał miejsce w 2001 r., czyli rok przed moim przyjazdem. Zamordowano wtedy trzech przewodników francuskiej ekspedycji naukowej.

Historia mówi, że za odkrycia geograficzne trzeba było słono zapłacić.

Żądę poznania owianych mgłą tajemnicy, nieznanymi krainami przyciągało życie wielu legendarnych odkrywców, których historie entuzjazmowały całe pokolenia. Nieugięty Ferdynand Magellan, kierujący wokółziemską wyprawą, zginął w walce z mieszkańcami wyspy Mactan. James Cook został zabity przez tubylców na Hawajach. Vitus Bering zmarł z wycieńczenia na Aleutach, a Holender Willem Barents, poszukujący nowej drogi do Indii, na obozowisku podbiegunowym. Twórca portugalskiego imperium kolonialnego, admirał Francisco de Almeida, poległ na Przylądku Dobrej Nadziei. Konkwistadorzy hiszpańscy Diego de Almagro i Francisco Pizarro, skuszeni mirażem bajecznych bogactw, zginęli w Peru. Henry Hudson, poszukujący Przejścia Północno-Zachodniego, stracił życie opuszczony przez zbuntowaną załogę. Zdobywcę Indii Vasco da Gama zawiodło nadwreżone w peregrynacjach zdrowie, podobnie zresztą jak Davida Livingstone'a. W 1847 r. zaginął wszelki śluch po liczącej 138 ludzi wyprawie Johna Franklina będącej na tropie tej samej cieśniny. Nazywany księciem podróżników Mikołaj Przewalski, badający pustynie Gobi i Tybet, zmarł na tyfus w wieku 49 lat. Głośny z burzliwej egzystencji Maurycy Beniowski zginął na Madagaskarze. Lista jest jeszcze dłuższa.

Które ze skrajnych warunków klimatycznych są bardziej sprzyjające człowiekowi: krainy wszechobecne słońca czy dotkliwych mrozów?

Jeśli już mówimy o ekstremalnych wymiarach, to trzeba pamiętać, że wszystkie one są bardzo nielitościwe dla każdego przybysza z zewnątrz. Przetrawianie tam wymaga dużego samozaparcia. W moim fachu często przychodziło stawiać czoła wyzwaniom, nienasyconej żądzy konfrontacji z naturą. Człowiek nigdy nie jest do końca usatysfakcjonowany. Kiedy przemierzałem lodowate terytoria syberyjskie, moje myśli kierowały się w kierunku wydm saharyjskich, na pustyni marzyłem zaś o polarnych krainach. Jednak bezwzględnie dużo łatwiej można się obronić przed dotkliwym mrozem niż przed doskwierającym skwarem. Mówiąc o zmienności natury ludzkiej, przychodzi mi na myśl mój znajomy Francuz zadomowiony od lat na Bora-Bora. „Ten raj na Ziemi, symbol idealnych tropikalnych wakacji, ma też swoje minusy – żalił się. – Izolacja nie jest łatwa do zniesienia. Klimat niby doskonały, ale wciąż jednakowy, niszczy nerwy. Po pewnym czasie stresująco działa też przybój oceanu i nieustanny szelest liści palmowych. Przynajmniej raz w roku muszę wyjechać do Paryża, żeby chociaż na chwilę zmienić atmosferę”.

Patrząc wstecz na wszystkie przygody, których pan doświadczył: czy kiedykolwiek zdarzyło się panu stracić nadzieję?

Nigdy coś takiego nie miało miejsca, bo gdybym do tego dopuścił, to mógłbym już nie wrócić do domu.

Co wiąże pana z epoką odkryć dziewicznych obszarów?

Wprawdzie spóźniłem się na zapelnianie na mapach białych plam, ale zdążyłem w ostatniej chwili poznać sanktuarium zarania dziejów, enklawy prehistorii i pradawnych rytuałów z krainy magii. W Papui Zachodniej byłem świadkiem, jak pierwsi, urodzeni w zamierchłości tuziemcy, którzy nie mieli pojęcia o istnieniu świata poza granicami plemiennymi, otarli się o cywilizację i zaczęli przejmować nowe obyczaje, tracąc nieodwracalnie swoje dziedzictwo kulturowe. Przebywałem wśród mieszkańców wioski Asmatów na wyspie Nowa Gwinea, cieszących

się upiorną sławą łowców głów i kanibali, liczących na przywłaszczenie sobie siły innych, czy na poświęcenie głowy ofiary na potrzeby inicjacji albo zapewnienie urodzajności ziemi bądź płodności kobiet. Tam w 1961 r. wojownicy spalażowali antropologa Michaela Rockefellera, syna burmistrza Nowego Jorku. Mimo wyznaczenia dużej nagrody i zorganizowania szerokiej akcji poszukiwawczej nie udało się trafić na ślad zaginionego. Gdzie indziej, na Archipelagu Andamańskim, widziałem, jak agresywni aborygeni zagubili tożsamość, poddając się zwodniczemu czarowi obszaru kulturowego białego człowieka. Na Górnym Orinoko przekroczyłem wyimaginowaną granicę oddzielającą świat znany od nieznanego. Dotarłem do Janomami, ostatniego prymitywnego plemienia indiańskiego nieposiadającego kontaktu z białym człowiekiem.

Czy podczas wypraw strach daje się we znaki?

Odpowiem enigmatycznie. Strach jest tym elementem, który zapewnia podróżom niepoślednią wartość.

Zabrakło panu powodzenia w poszukiwaniu Paititi, legendarnego Eldorado.

Wielkie legendy, które ugruntowały się od pokoleń w powszechnej świadomości, nie zawsze są fikcją oderwaną od rzeczywistości. Archeologia już niejednokrotnie uwiarygodniła, że delikatna linia pomiędzy faktem i wymysłem często ulega zatarciu. Dotarłem w rzymskim archiwum jezuitów do sensacyjnego XVI-wiecznego rękopisu, który potwierdza, że jeden z najbardziej fascynujących mitów w historii ludzkości – amazońskie Eldorado – nie jest wyłącznie podaniem ludowym. W 1999 r. zorganizowałem wyprawę poszukiwawczą mającą na celu rozwiązanie jednej z największych tajemnic Inków – lokalizację ukrytego w dżungli peruwiańskiej legendarnego miasta Paititi. To tam ukryte zostały skarby i dorobek kulturowy Inków, eksterminowanych bezlitośnie przez Francisca Pizarra, który z garstką 170 żołnierzy dokonał bezprecedensowego podboju jednego z największych im-

periów ówczesnej epoki. Pomimo wyposażenia wyprawy w najnowsze zdobywcze techniki i wsparcia rządowego z powodu serii niefortunnych sytuacji wyprawa się nie powiodła. Przegraliśmy z nieprzyjazną i dziką amazońską dżunglą, wrogością tubylczych plemion, zabójczym klimatem, malarią i wreszcie z własną słabością.

Z czego jest pan najbardziej dumny?

Z rozwiązania geograficznego dylematu związanego ze źródłem Amazonki, stanowiącego przedmiot ożywionych dyskusji i sporów. Prestiżowa „Encyclopaedia Britannica” przezornie ograniczyła się do lapidarnego skrótu: „...Rzeka bierze początek wysoko w Andach, w odległości 100 mil od Oceanu Spokojnego”. To znaczy, że były luki i wątpliwości w tezach naukowych zmuszające do podejmowania dalszych badań. W 1996 r. postanowiłem zgłębić ten temat, zakładając wszelkie kryteria hydrologiczne. Zaangażowałem specjalistów w tej materii,

m.in. admirała Guillerma Faura Gaiga, autora monumentalnej monografii tej rzeki, i korzystałem ze wsparcia Pontyfikalnego Uniwersytetu Katolickiego w Limie, Rosyjskiej Akademii Nauk oraz departamentu hydrografii peruwiańskiej Marynarki Wojennej. Po długich terenowych analizach uznaliśmy, że największa rzeka świata rodzi się ze strumienia Apacheta wypływającego z Nevado Quehuisha na wysokości 5150 m n.p.m. Za ten wkład na geograficznym polu cały zespół naukowców miał prawo poczuć dumę i swoją wartość. Ja zaś wystąpiłem z wieloma wykładami na wyższych uczelniach i w różnych instytucjach naukowych. Wyróżnieniem było zaproszenie na spotkanie w petersburskiej siedzibie Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego, gdzie 150 lat temu nagradzano złotymi medalami polskich zesłańców za cenny wkład w działalność badawczą na Syberii. Wystąpiłem w zapelnionej publicznością historycznej auli im. Julija Szokalskiego, gdzie w prze-

szłości przeprowadzali lekcje tacy wybitni eksploratorzy, jak Mikołaj Przewalski, Fridtjof Nansen, Nikołaj Miklucho-Makłaj, Iwan Papanin czy Thor Heyerdahl.

A jaki był najszcześniejszy moment w pańskim życiu?

Kiedy po pokonaniu drutów kolczastych żelaznej kurtyny jako wolny człowiek wyładowałem w zachodnim świecie.

Mówiono kiedyś, że Pałkiewicz odmówił udziału w misji Jacques'a-Yves'a Cousteau...

Ktoś z sarkazmem napisał, że Pałkiewicz odesłał z kwitkiem utytułowanego oceanografa, ponieważ jako lider nie lubi pozostawać w cieniu innych. To nie do końca prawda. W 1982 r. pionier ekologii rzeczywiście zaprosił mnie na wyprawę na słynnym statku badawczym „Calypso” wzdłuż Amazonki, ale nie skorzystałem, bo miałem już zgode

REKLAMA

OFICJALNY FILM BEATYFIKACJI KARDYNAŁA STEFANA WYSZYŃSKIEGO I MATKI RÓŻY CZACKIEJ

MAŁGORZATA KOZUCHOWSKA AGNIESZKA KAWIORSKA MARCIN KWAŚNY DOMINIK CHMIELEWSKI ADAM FIDUSIEWICZ IDA NOWAKOWSKA WOJCIECH SUKIENNIK JAN MARCZEWSKI

KSAWERY SZLENKIER

FILM BRACI SYKÓW

WYSZYŃSKI

ZEMSTA CZY PRZEBACZENIE

PATRONAT NARODOWY
PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ ANDRZEJA DUDY
W STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

W KINACH DO 17 WRZEŚNIA

Logos: KGHM, PGNiG, GRUPA AZOTY, KINOŚWIAT, INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ, Minister Edukacji i Nauki, Kultura i Sportu, etc.

MECENASI: KGHM, PGNiG, GRUPA AZOTY

PARTNERZY: ILO, GUMSTAL, NIKIDW, ARGENTIA, etc.

PATRONI MEDIALNI: TVP1, TELEWIZJA POLSKA, plus radio, niedziela, KAI, etc.

władz wietnamskich na ekspedycję w prowincji Plejku, do zachowującej tysiącletnie tradycje, żyjącej w sercu zapadłej puszczy, tubylczej wspólnoty Jaraj.

Wśród zaprzyjaźnionych osób widnieje nazwisko Thora Heyerdahla.

Bardzo ceniłem sobie znajomość z nim i byłem bardzo zaskoczony, kiedy odmówił napisania przedmowy do mojego albumu „Eksploracja”. Okazało się, że nigdy wcześniej nie robił tego nawet dla najbliższych przyjaciół. Taką miał zasadę. Dla wydawcy, do zamieszczenia w książce, wystarczyło samo tłumaczenie się z odmowy. Wcześniej jeszcze, w 1977 r., wybitny organizator wypraw transoceanicznych na tratwach wpisał mnie na listę rezerwowej załogi na rejs „Tygrysem”. Żałuję, że nikt wówczas się nie wykruszył i zostałem w domu. W 1994 r. Heyerdahl rekomendował mnie do superelitarnego zespołu członków rzeczywistych Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie, wybitnych postaci zasłużonych dla rozwoju i popularyzacji nauk geograficznych. Podkreślił wtedy różnorodność charakteru moich ekspedycji w poszukiwaniu osobliwości ginących cywilizacji, niezwykłych zjawisk i ludzi. Towarzystwo wymaga dwóch wprowadzających, ale skoro to sam Heyerdahl był zaangażowany w poparcie, to już nie pytano o drugiego gwaranta.

Prowadził pan zajęcia survivalowe dla rosyjskich kosmonautów. Czy nie było wtedy szansy polecić w kosmos?

W owym czasie już dwójka dziennikarzy za cenę 20 mln dol. odbyła taką ekspedycję. Mnie obiecano 50 proc. zniżki. Nie ośmieliłem się jednak szukać sponsora.

Gdzie leży przyszłość eksploracji?

Słyszę nieraz: „Urodziłem się za późno, aby badać Ziemię i za wcześnie, aby zgłębiać kosmos”. To trochę nie tak, bo nawet jeśli został odkryty każdy zakamarek naszej planety, człowieka czekają jeszcze wyzwania związane z wieloma aspektami życia oceanicznego.



Jakie są granice, których nie możemy pokonać?

Eksploracja kosmosu dopiero się zaczyna, chociaż kosmiczni pionierzy odnotowali duże osiągnięcia. W 1961 r. Jurij Gagarin jako pierwszy człowiek znalazł się w kosmosie. Osiem lat później Neil Armstrong i Buzz Aldrin postawili stopę na Księżycu. Od tego czasu nieustannie przesuwane są granice w stronę gwiazd. Niestety nieprzychylnie w przestrzeni pozaziemskiej warunki dla obecności człowieka i zbyt wielkie odległości nie pozwoliły jeszcze przy obecnej technologii dotrzeć na inną planetę. Dużo niewiadomych czeka nas także w głębinach morskich. Jakie zwierzęta żyją w wiecznej ciemności i jaki wpływ mogą mieć one na nasze istnienie? Naukowcy starają się sondować głębiny, by odkryć właściwości biomasy fitoplanktonu czy też zgłębić systemy obiegu wody.

Globalizacja sprowadza świat do naszego domu. Czy jest jeszcze coś do odkrycia?

Oczywiście. A czasami nie trzeba nawet daleko jechać. Swego czasu wypatrzyłem Krutynię, najbardziej urokliwy szlak wodny, jaki znam, przebiegający wśród nieskażonej i dzikiej przyrody. A w ubiegłym roku odkryłem pokrytą nieprzebytymi chaszczami i mokradłami Puszcę Borecką, gdzie można natknąć się na dzikie stado żubrów.

Co w profesji eksploratora badacza, odkrywcy liczy się najbardziej?

W rozjazdach po nieznanach nieprzypomnianych krainach lub w przekraczaniu granic znanego świata nie można się obejść bez wrodzonej dociekliwości, wiary w siebie, wytrwałej ambicji,

inwencji, silnego charakteru i determinacji. Tylko wtedy można odnieść sukces tam, gdzie inni musieli się wycofać. Pamiętajmy, że poznanie nowego wiąże się niejednokrotnie z tarapatami, a nawet niebezpieczeństwem, i wymaga dużego poświęcenia. Nie mówiąc, że poszukiwacz wiedzy często jest narażony na prażące słońce, dręczące pragnienie, głód, zmęczenie czy przejmujące zimno.

O tym wszystkim (i jeszcze więcej) można przeczytać na mojej stronie www.palkiewicz.com. Polecam ją ze wszech miar.

W ostatniej książce „Palkiewicz.com”, którą reklamują m.in. Bronisław Komorowski, kard. Kazimierz Nycz, Ryszard Terlecki, Aleksander Kwaśniewski, Zbigniew Boniek, pisze pan, podsumowując doczesną arcybogatą wędrówkę, że barwny film życia dobiega definitywnie do punktu docelowego.

Zrealizowałem swoje marzenia i pracując długie lata w mediolańskiej „Corriere della Sera”, ułożyłem bytowanie, od którego nie wymagałem wakacji. Czuję się tak, jakbym wygrał los na loterii, bo nie mierzyłem życia ilością oddechów, ale stężeniem chwil, które zapierają dech w piersiach. Jednak mimo satysfakcjonującej i pasjonującej egzystencji czuję gorzkość, że to już „koniec wędrówki”. Chociaż wciąż jestem młody duchem, to nic już nie zmieni tej nagiej prawdy. Bywają chwile, kiedy ogarnia mnie lęk, który ma wymiar szczególnie, bo dotyczy tego, co nieuchronne. To strach przed aktem ostatecznym, „wyprawą w tajemne”, o której nic nie wiemy. Tam, po drugiej stronie, w zetknięciu z absolutem nie mogę liczyć na żaden fart.

Audrey Diwan

Maria Dębska

Penélope Cruz

Od Wenecji do Gdyni

Tydzień temu w Wenecji Francuzka Audrey Diwan odebrała Złotego Lwa za film „Zdarzenie”. Kto dostanie Złote Lwy w Gdyni?

Przekonamy się w najbliższą sobotę. Rozpoczął się 46. Festiwal Polskich Filmów Fabularnych

Fot. MONTEFORTE/AP/EastNews (2), VIPHOTO/EastNews, Shutterstock



Maria Dębska jako Kalina Jędrusik
w filmie „Bo we mnie jest sex”



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Gwiazdy błyszczą w Wenecji. Wśród nich najjaśniejszą Penélope Cruz. Nie tylko w wyjątkowych stylizacjach, lecz przede wszystkim na ekranie (za najlepszą rolę żeńską w filmie „Matki równoległe” aktorka otrzymała Puchar Volpiego). Uwagę fotoreporterów okupujących czerwony dywan przyciągały też m.in.: Anya Taylor-Joy (odkrycie serialu „Gambit królowej”); Dakota Johnson (córka Melanie Griffith), której światową rozpoznawalność przyniosło skandalizujące „Pięćdziesiąt twarzy Greya”, a w Wenecji pojawiła się w nagrodzonym filmie „Utracona córka”, czy Kristen Stewart – gwiazda cyklu „Saga Zmierzch”, która w wersji blond przypominała o swojej najnowszej roli: księżnej Diany w dramacie biograficznym „Spencer”.

Siwowłosa Helen Mirren w srebrnej kreacji od Dolce & Gabbana nie dała się przyćmić młodzieży, ale też Jamie Lee Curtis, która wkroczyła na galę otwarcia w ponadczasowej sukni w cętki. Pięknie prezentowała się też Maggie Gyllenhaal.

MATKI I CÓRKI

Na 78. Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Wenecji panie widoczne były nie tylko na czerwonym dywanie. Kobięcy punkt widzenia triumfował na

ekranie. Audrey Diwan – druga w tym roku francuska reżyserka, która otrzymała najważniejszą nagrodę prestiżowego festiwalu (Złota Palma za film „Titane” trafiła w lipcu w Cannes do Julii Ducournau) – swój film poświęciła młodej kobiecie i od lat gorąco dyskutowanemu dylematowi.

„Zdarzenie” to adaptacja książki Annie Ernaux. Jej bohaterką jest studentka, która w latach 60. ubiegłego wieku zachodzi w nieplanowaną ciążę. Nie jest gotowa na macierzyństwo. Mimo grożących jej konsekwencji planuje aborcję.

Nagrodzona Srebrnym Lwem za scenariusz do swojego reżyserskiego pełnometrażowego debiutu aktorka Maggie Gyllenhaal dopowiedziała niejako dalszy ciąg historii ze „Zdarzenia”. W obrazie „The Lost Daughter” opowiedziała o skutkach podjętej przed laty decyzji. Pokazała, że rodzicielstwo to zarówno radość, miłość, jak i ciemność czy desperacja.

Leda Caruso (w tej roli Olivia Colman), samotna wykładowczyni literatury włoskiej, podczas urlopu na greckiej wyspie obserwuje relacje między młodą matką (Dakota Johnson) i jej córką. Wracają wspomnienia jej własnego wczesnego macierzyństwa, które bynajmniej nie było błogosławieństwem.

„We Włoszech wyszłam za mąż. Tu do wiedziałam się, że zaszłam w ciążę. Tak naprawdę we Włoszech rozpoczęło się moje życie jako reżyserki i scenarzystki. Kiedy po raz pierwszy sięgnęłam po książkę Eleny Ferrante, doznałam szoku, że mówi o rzeczach, które w głębi duszy zawsze uznawałam za prawdziwe, ale

których nikt nie wypowiadał na głos. Sekretne prawdy o kobiecym doświadczeniu. Przeniesienie tej historii na ekran wydało mi się ekscytujące” – podkreślała Gyllenhaal, odbierając nagrodę.

Temat macierzyństwa pojawił się także w najnowszej produkcji Pedra Almodóvara „Madres Paralelas” („Matki równoległe”). Penélope Cruz zagrała spodziewającą się dziecka fotografkę Janis, która spotyka w szpitalnej sali nastolatkę przerażoną wizją samotnego macierzyństwa. Odbierając puchar, dziękowała reżyserowi: „Tworzysz na ekranie magię i nie mogłabym być bardziej dumna i wdzięczna, że jestem częścią twoich filmów. Uwielbiam cię”.

Jednocześnie dedykowała nagrodę „mężowi [...] cudownym dzieciom i rodzinie” ze szczególnym uwzględnieniem „dwóch paralelnych matek jej życia”: mamy Encarnie, najlepszej nauczycielki i przyjaciółki, a także teściowej Pilar Bardem, która odeszła dwa miesiące temu. „Zrobiła tak wiele dla aktorek i aktorów w naszym kraju. Jej pasja do tego zawodu była ogromna” – podkreślała Cruz.

W gronie nagrodzonych w Wenecji pań znalazła się też reżyserka oscarowego „Fortepianu” z 1993 r. Jane Campion. Srebrnego Lwa odebrała za reżyserię filmu „Pse pazury” – opowieści, której akcja rozgrywa się w Montanie lat 20., gdzie dwaj bracia prowadzą ranczo. Atmosfera zagęszcza się, gdy jeden z nich żeni się potajemnie z miejscową wdową. W obsadzie znaleźli się: Benedict Cumberbatch, Kirsten Dunst i Jesse Plemons.

Z WENECJI DO GDYNI

Dla porządku przypomnijmy, że Wielką Nagrodę Jury przyznano Paolo Sorrentino za film „To była ręka Boga” (grający główną rolę 21-letni Filippo Scotti wyróżniony został Nagrodą Marcella Mastroianniego dla najbardziej obiecującego młodego aktora). Za najlepszego odtwórcę roli męskiej uznano Johna Arcillę („On The Job 2: The Missing 8” Erika Mattiego). Reprezentujący Polskę w konkursie głównym film „Żeby nie było śladów” Jana P. Matuszyńskiego nie otrzymał żadnej z nagród przyznawanych przez jurorów. Teraz polski kandydat do Oscara ma szansę powalczyć o główne trofeum na 46. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni.

Oparta na reportażu Cezarego Łazarewicza opowieść o maturzyście, synu opozycyjnej poetki Barbary Sadowskiej, który w maju 1983 r. został ciężko pobity przez funkcjonariuszy milicji i kilka dni później zmarł, stała się szansą na stworzenie pierwszoplanowej kreacji bynajmniej nie dla aktora, który zagrał Grzegorza Przemyka (to Mateusz Górski, ubiegłoroczny absolwent krakowskiej Akademii Sztuk Teatralnych), lecz 32-letniego Tomasza Ziętka, wcielającego się w rolę świadka zdarzeń, któremu władza chce zamknąć usta. W konkursie głównym jest też inny film z pierwszoplanową rolą Ziętka. To „Hiacynt” w reż. Piotra Doma-

lewskiego (twórcy nagrodzonej Złotymi Lwami w 2017 r. „Cichej nocy”).

O Złote Lwy walczyć będzie w tym roku w Gdyni 16 tytułów. Jest wśród nich wyczekiwany filmowy portret Kaliny Jędrusik – zjawiskowej i nieokiełznanej aktorki, pierwszej polskiej seksbomby i naczelnej skandalistki PRL, w którą wcieliła się Maria Dębska. Absolwentka wydziału aktorskiego łódzkiej Filmówki z 2017 r., która dała się już poznać widzom m.in. w obrazach: „Demon”, „Cicha noc”, „Zabawa, zabawa”, „Piłsudski” czy „Czarny mercedes”, w filmie „Bo we mnie jest seks” Katarzyny Klimkiewicz po raz pierwszy mogła zagrać postać główną i na dodatek tak barwną. Przed kamerą towarzyszyli jej m.in. Leszek Lichota jako Stanisław Dygat, Borys Szyc (Kazimierz Kutz), Paweł Tomaszewski (Tadeusz Konwicki), Rafał Rutkowski (Jeremi Przybora) i Dariusz Basiński (Jerzy Wasowski).

Dawno niewidziana Agata Buzek zagrała główną postać w filmie Łukasza Grzegorzka „Moje wspaniałe życie”. Z kolei Magdalenę Kolesnik – absolwentkę krakowskiej PWST z 2015 r., nagrodzoną na ubiegłorocznym festiwalu za pierwszoplanową rolę w filmie „Sweat” – będzie można zobaczyć w obrazie „Inni ludzie”. Reżyserką jest debiutująca w pełnometrażowej fabule Aleksandra Terpińska.

U reżyserów debiutantów zagraли też Bartosz Bielenia – aktorskie objawienie nominowanego do Oscara „Bożego Ciała”

Jana Komasy (2019), i Dawid Ogrodnik. Bielenia, w psychologicznym thrillerze „Prime Time” Jakuba Piątki, wciela się w młodego mężczyznę, który grożąc bronią, żąda wejścia na wizję podczas telewizyjnego prime time’u. Ogrodnik, genialny w roli chorego na mózgowie porażenie Mateusza z „Chce się żyć” (2013) czy niewidomego wirtuoza fortepianu z filmu „Ikar. Legenda Mietka Kosza” (2019), tym razem stworzył tytułową postać w kryminalnej komedii inspirowanej losami peerelowskiego „króla złodziei” Zdzisława Najmrodzkiego, „Najmro. Kocha, kradnie, szanuje” w reż. Mateusza Rakowicza.

Również debiutujący w fabule reżyser Bartosz Blaschke opowiedział w „Sonacie” opartą na faktach historię uzdolnionego muzycznie Grzegorza Płonki. Bohatera – u którego dopiero w wieku 14 lat stwierdzono niedosłuch, a nie jak wcześniej zakładano autyzm – zagrał Michał Sikorski, ubiegłoroczny absolwent krakowskiej AST.

Myśląc o aktorskich wyzwaniach konkursu głównego 46. FPFF w Gdyni, nie sposób pominąć wyreżyserowanej przez Ryszarda Brylskiego „Śmierci Zygielbojma”. Żydowskiego działacza politycznego, który w proteście przeciwko bezczynności świata wobec tragedii Holocaustu, 12 maja 1943 r. popełnił w Londynie samobójstwo, zagrał Wojciech Meczawski.

NA OTWARCIE

Ponieważ tegoroczny festiwal w Gdyni rozpoczyna się równo 60 lat po tragicznej śmierci Andrzeja Munka (reżyser zginął w wypadku samochodowym 20 września 1961 r.) i w setną rocznicę jego urodzin (16 października 1921 r.), galę otwarcia uświetni pokaz odrestaurowanej wersji „Zezowatego szczęścia” – ostatniego ukończonego dzieła twórcy, z kultową rolą Bogumiła Kobieli. Pierwszego dnia festiwalu, choć kilka godzin wcześniej, rozpocznie się też jubileusz 75-lecia pracy artystycznej Barbary Krafftówny, która swoje pierwsze role zagrała u Haliny i Iwona Gallów w 1946 r. w ówczesnej siedzibie Teatru Wybrzeże, czyli miejscu dzisiejszego Teatru Muzycznego.

46. Festiwal Polskich Filmów Fabularnych potrwa do 25 września.



Kadr z filmu „Zdarzenie”
w reżyserii Audrey Diwan

Nadzieje i niepokoje

87 uczestników wybranych z ponad 500 kandydatów oraz rzesze melomanów w Polsce i na świecie z nadzieją, ale i z napięciem czekają na październikowy XVIII Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina



ADAM CIESIELSKI

Jedna z największych i najważniejszych imprez muzycznych na świecie miała się – zgodnie ze swym pięcioletnim cyklem – odbyć w 2020 r. Z powodu restrykcji pandemicznych przeniesiono ją na rok bieżący. Inaugurację zaplanowano na 2 października 2021 r. w Filharmonii Narodowej w Warszawie, tamże w dniach 3–20 października odbędą się też przesłuchania konkursowe. 21 października w Teatrze Wielkim zaplanowana jest gala wręczenia nagród i koncert laureatów, 22 i 23 października dwa kolejne koncerty laureatów w Filharmonii Narodowej.

Konkurs Chopinowski wymyślili i pianaści, i pedagodzy: Aleksander Michałowski (1851–1938) i Jerzy Żurawlew (1886–1980). Zaniepokojeni częstymi po I wojnie opiniami o muzyce Chopina jako o zjawisku salonowo-cieplarnianym, chorobliwie „roztkliwiającym i osłabiającym ducha”, zapragnęli pokazać nie tylko wyjątkową urodę tej twórczości, jej narodową nutę, lecz także energetyczny, uniwersalny potencjał, zdolny zainspirować współczesnych interpretatorów. Żurawlew, realizator idei w praktyce, z rozmysłem użył wzorowanej na sporcie konwencji międzynarodowego konkursu. Liczył na rozbudzenie emocji podobnych do tych, jakie w odrodzonej ojczyźnie wywoływały międzynarodowe sukcesy polskich pilotów, jeźdźców czy lekkoatletów.

Pomysł nie od razu przekonał decydentów. Jak wspominał Żurawlew, „pierwszą instytucją, która doceniła znaczenie Konkursów Chopinowskich w Polsce było Warszawskie Towarzystwo Muzyczne. Jeden z członków towarzystwa (Henryk Rewkiewicz, dyrektor Monopoli Zapalczanego) z własnych funduszy zagwarantował 15 tys. zł, co umożliwiło uruchomienie imprezy. Potrzebne było nagłośnienie z wykorzystaniem placówek dyplomatycznych [...] Prezydent Wojciechowski odmówił naszej prośbie o protektorat. Położenie było bez wyjścia. Wkrótce jednak, po wypadkach majowych, miejsce prezydenta Wojciechowskiego zajął prezydent Mościcki [...]. Zostałem przyjęty przez Prezydenta. Czulem, że sprawa jest wygrana i nie omyliłem się”.

Start Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego przewidywany był pierwotnie na 1926 r., kiedy to nastąpiło długo odkładane odsłonięcie w Łazienkach pomnika Fryderyka Chopina dłuta Wacława Szymanowskiego. Ostatecznie inauguracyjny konkurs przeprowadzono w styczniu 1927 r. Na łamach czasopisma „Świat” określono go „jedną z największych uroczystości kulturalnych, jaką od czasu powstania wolnej Ojczyzny przeżywamy w Warszawie. [...] W szranki stają młodzi wykonawcy, pianaści ze wszystkich krajów Europy. Mają w szlachetnej emulacji walczyć o pierwszeństwo w przechowywaniu tradycji szopenowskiej. Turniej ten jest więc do pewnego stopnia rewją, nie tylko techniki pianistowskiej, nie tylko kultury muzycznej danego kraju, lecz sprawdzianem najlepszego stylu i historycznego rozumienia nieśmiertelnego Mistrza” – konstatowano z właściwą epoce patetyczną ornamentyką.

BOLSZEWICKI DESANT

Faktycznie w pierwszym konkursie uczestniczyło tylko 26 pianistów z ośmiu krajów. Polską opinię, mającą w pamięci niedawną wojnę z bolszewikami, w konsternację wprowadziło zwycięstwo 20-letniego Lwa Oborina z Moskwy. Wyprzedził on naszych reprezentantów: Stanisława Szpinalskiego i Różę Etkin oraz kolejnego pianistę sowieckiego, Grigorija Ginzburga. Jedno z dalszych wyróżnień zdobył Dymitr Szostakowicz, późniejszy sławny kompozytor radziecki.

Obserwatorzy podkreślali obiektywność jury – wyłącznie polskiego tym jedynym razem, dla którego liczyła się sztuka, nie polityka. Juliusz Kaden-Bandrowski, wybitny pisarz i pilsudczyk, odnosząc się w „Świecie” do odczuć publiczności, napisał: „Cały szereg dobrych patriotów rozpacz, iż w Konkursie Chopinowskim zostaliśmy pobici przez Rosjan [...], ale przyznać należy Sowieta, że drużynę swą wybrały i wytrenowały bardzo sumiennie”. Nie oduścił jednak Kaden – bystry i ironiczny obserwator – okazji do wyeksponowania akcentów komicznych. „Pianaści bolszewicy nie mogli się nacieszyć Warszawą. Młodzi ci chłopcy byli pierwszy raz w swym życiu »na zachodzie« [...] Laureat konkursu Oborin przez tych kilka dni pobytu całkowicie zdążył zmienić swą skórę. Pierwszy raz wystąpił na estradzie z nastroszoną czupryną, w grubych trzewikach, dość niekształtnej kapocie i w starym wyszłizganym krawacie. Na popisie niedzielnym miał już na sobie wszystko nowe. Lakierki, jedwabną chusteczkę w kieszonce nowego garnituru, śliczne skarpetki. Obsprawił się chłopiec od a do z”.



Fot. Wojciech Grzędziński for NIFC

Eliminacje XVIII Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina. 12 lipca 2021, Warszawa

W 1932 r. triumfował Alexandre Uninsky, bezpaństwowiec o korzeniach ukraińsko-rosyjsko-polskich. Najlepszy z Polaków, Bolesław Kon, znalazł się na trzecim miejscu. Szanse innego naszego reprezentanta, Edmunda Rezlera, miał podobno pogrzebać... pies. Z relacji wynika, że podczas wykonywania „Marsza żałobnego” pod budynkiem filharmonii, czy gdzieś wewnątrz, pies zaczął „niemiłosiernie wyc”. Rozkojarzyło to wykonawcę, który „zupełnie się pogubił, złany zimnym potem z trudem dobil do końca”.

W III konkursie w 1937 r. wygrał znów pianista z ZSRS Jakow Zak, przed swą rodaczką Rozą Tamarkiną. Trzecią nagrodę dostał Witold Małcużyński. Nieprzeciętnie uzdolniony Polak zakochał się we francuskiej koleżance z konkursu Colette Gaveau. W 1940 r. ożenił się z nią, a związek przetrwał wszystkie próby czasu.

Trzy pierwsze konkursy przeprowadzono w Filharmonii Warszawskiej, a uczestnicy kwaterowani byli w zamożnych domach, wyposażonych w fortepian do ćwiczeń. Pierwszy konkurs powojenny rozegrano w 1949 r. w cudem ocalałej sali Romy (gmach filharmonii spalony w 1939 r. i zbombardowany w 1944 r., dopiero odbudowywano). Jeden jedyny raz jury było wtedy oddzielone od pianistów żaluzjami, mogło ich zatem słyszeć, ale nie widziało. Taki zabieg miał gwarantować anonimowość i bezstronność. Zwycięzczykami zostały ex aequo: Halina Czerny-Stefańska

i Bella Dawidowicz (ZSRR). Druga nagroda przypadła Barbarze Hesse-Bukowskiej, trzecia zaś – Waldemarowi Maciszewskiemu. Ten ostatni, pod pseudonimem Valdiego, w czasach stalinowskich obok klasyki grywający zakazany jazz, zginął pod kołami pociągu w 1956 r.

Konkurs V, który w 1955 r. wrócił do odbudowanej w zmienionej architekturze filharmonii, zaszczyliła obecnością królowa Elżbieta Belgijka, entuzjastka twórczości i przyjaciółka Ignacego Jana Paderewskiego. Niejako na skrzydłach nadchodzącej odwilży politycznej po śmierci Stalina zwycięzcą został Adam Harasiewicz, wyprzedzając Rosjanina Władimira Aszkenaziego i Chińczyka Fu Tsunga. Konkurs VI w 1960 r. wygrał kolejny znakomity pianista – Włoch Maurizio Pollini.

AWANTURY O POGORELICIA

VII konkurs w 1965 r. upłynął pod znakiem popisów rewelacyjnych Latynosów: zwyciężyła Martha Argerich z Argentyny przed Arthurem Moreirą Limą z Brazylii. Trzecią nagrodę zdobyła Marta Sosińska, występująca akurat w zaawansowanej ciąży.

Rok 1975 przyniósł wyczekiwany od dwóch dziesięcioleci triumf Polaka: IX konkurs bezapelacyjnie wygrał Krystian Zimerman, który z rewelacyjnie uzdolnionego nastolatka szybko wyrósł na jednego z wirtuozów XX w. W 1980 r.

wygrał Wietnamczyk Dang Thai Son, ale atmosferę wokół X konkursu do białości rozpalili Iwo Pogorelic. Efektowny i spontaniczny, mieniący się prorokiem nowego odczytania Chopina, stał się faworytem publiczności i części mediów. Ostro podzielił jurorów. W proteście przeciwko awansowaniu Pogorelicia do II etapu ze składu sądu konkursowego zrezygnował Brytyjczyk Louis Kentner. Z kolei niedopuszczenia go do finału oprotestowała Martha Argerich. Konflikt był na ustach wszystkich. Cudem udało mi się dostać na pokonkursowy recital Pogorelicia. Występ w obłożonej przez fanów artysty Filharmonii Narodowej zrobił na mnie wrażenie, ale dalsza kariera Chorwata przyniosła same rozczarowania.

POLSKIE WIDOKI

Euforia podobna do tej, z jaką 30 lat wcześniej przyjęto triumf Krystiana Zimermana, nastąpiła w 2005 r., gdy zwycięzcą XV konkursu ogłoszono Rafała Blechacza. Pianista okazał się bogatą osobowością, nie tylko artystyczną, bo obok koncertów profesjonalnie zajmuje się filozofią. W 2010 r. XVI konkurs wygrała Rosjanka Julianna Awdiejewa, a jednym z objawień był jej rodak, 18-letni Nikołaj Kozjanow, który też grał w finale, ale skończył bez nagrody. Kozjanow, zwycięzca innych międzynarodowych konkursów, z powodzeniem rozwija międzynarodową karierę

(w sierpniu był gwiazdą Festiwalu Chopinowskiego w Valldemossa na Majorce), ale zdecydował się na ponowny start w Konkursie Chopinowskim jako najbardziej prestiżowym. W lipcowych eliminacjach w Filharmonii Narodowej wypadł bardzo dobrze. Powinien się liczyć w rozgrywce o trofea.

W dość licznej grupie pianistów drugi raz biorących udział w warszawskim konkursie jest także Szymon Nehring. W 2015 r. jako jedyny Polak trafił do finału, ale skończył bez nagrody (zwycięzcą został Koreańczyk Seong-Jin Cho). W 2017 r. Nehring wygrał silnie obsadzony Festiwal im. Rubinsteina w Tel Awiwie, co dało mu przywilej startu w XVIII Konkursie Chopinowskim bez eliminacji. W ostatnich latach zrobił duże postępy, nabrał pewności, nagrał kilka wartościowych płyt. Wygląda na to, że i on będzie się liczył. Czy jest w stanie dołączyć do czworga dotychczasowych polskich zwycięzców konkursu: Adama Harasiewicza, Haliny Czerny-Stefańskiej, Krystiana Zimmermana i Rafała Blechacza? Oby, choć stawka, zwłaszcza w azjatyckich reprezentacjach, jest bardzo silna.

Ekipa polska na XVIII konkurs liczy 16 pianetek i pianistów. Więcej jest Chińczyków (22), mniej Japończyków (14), Koreańczyków (7), Włochów (6), Amerykanów (5), Kanadyjczyków i Rosjan (po 4), po 1-2 reprezentantów Armenii, Kuby, Łotwy, Słowenii, Tajlandii, Tajpej, Wietnamu, Wielkiej Brytanii.

Występy uczestników I (3-7 X), II (9-12 X), III (14-16 X) etapu i finału (18-20 X) będzie oceniać międzynarodowe jury pod przewodnictwem prof. Katarzyny Popowej-Zydroń. Zwycięzca otrzyma złoty medal i nagrodę 40 tys. euro, zdobywcy dalszych miejsc srebrne i brązowe medale lub dyplomy z niższymi gratyfikacjami finansowymi.

– Fenomen stale rosnącej popularności Konkursu Chopinowskiego wynika z blisko stuletniej egzystencji imprezy i jej międzynarodowej renomy z zastępem laureatów światowej sławy, takich jak Martha Argerich, Władimir Aszkenazi, Witold Małcużyński, Garrick Ohlsson, Yundi Li czy Krystian Zimerman – mówi Jun Midorikawa, nestor tokijskich impresariów, całe lata spe-



I Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina w Warszawie. Moment składania gratulacji laureatom konkursu

Fot. NAC

W Japonii, gdzie od czasu otwarcia się na świat na przełomie XIX i XX w. wielbimy Chopina, to najważniejszy konkurs muzyczny na świecie. Podobnie traktuje go cała Azja. W internecie jego przebieg obserwują miliony zainteresowanych na całym globie. Trudno o lepszą promocję Chopina i Polski – mówi Jun Midorikawa, nestor tokijskich impresariów, całe lata specjalizujący się w wymianie kulturalnej z Polską

cializujący się w wymianie kulturalnej z Polską. – W Japonii, gdzie od czasu otwarcia się na świat na przełomie XIX i XX w. wielbimy Chopina, to najważniejszy konkurs muzyczny na świecie. Podobnie traktuje go cała Azja. W internecie jego przebieg obserwują miliony zainteresowanych na całym globie. Trudno o lepszą promocję Chopina i Polski. Także o promocję samych uczestników. Podziwiam organizatorów z Narodowego Instytutu

Fryderyka Chopina, którzy w skrajnie trudnych, stale zmieniających się warunkach pandemii konsekwentnie i sprawnie realizują tak ważną i skomplikowaną imprezę.

– Wszyscy uczestnicy przejdą testy covidowe przed konkursem, podobnie osoby im towarzyszące (chyba że sytuacja pandemiczna w Polsce radykalnie się zmieni, wówczas będziemy się do niej dostosowywać) – zapewnia Aleksander Laskowski, rzecznik prasowy NIFC. – Zainteresowanie jest olbrzymie. W wariacie optymistycznym, na który oczywiście bardzo liczymy, będzie możliwa stu-procentowa frekwencja na widowni. Przy założeniu, że minimum 25 proc. słuchaczy ma zaświadczenie o szczepieniu. Rzecz jasna stosowane będą wszelkie środki ostrożności, przede wszystkim obowiązek noszenia maseczek i dezynfekcji rąk. Bierzymy jednak pod uwagę różne scenariusze, będziemy respektować aktualne uwarunkowania i przepisy.

Trudno wyobrazić sobie Konkurs Chopinowski bez widowni, jednak odbędzie się on w takiej formie, jeśli nie będzie innego wyjścia. Priorytetem jest dla nas przeprowadzenie rozpoczętego już konkursu do końca – deklaruje rzecznik NIFC.

Trzymajmy kciuki, by opatrność pozwoliła pomyślnie – bezpiecznie, w terminie i z publicznością – zrealizować to wielkie międzynarodowe przedsięwzięcie.

FILM BRACI SYKÓW

WYSZYŃSKI

ZEMSTA CZY PRZEBACZENIE

MECENASEM FILMU JEST

**POLSKIE GÓRNICTWO NAFTOWE
I GAZOWNICTWO**

Premiera 17 września 2021 r.



Wszystkie pachamamy tego świata



ROBERT TEKIELI

Czwartek, godzina 13.20, Silver TV, program „Wróżka prawdę ci powie”. Narrator, mówiąc o kaleczącej praktyce duchowej, jaką jest wróżbiarstwo, używa neutralnych sformułowań: „dar”, „szósty zmysł”, „intuicyjne czytanie innych ludzi”. Program pokazuje szamańskie rytuały, wróżenie z genitaliów, a także królewskiego astrologa w jednym z państw Azji Wschodniej. Widzowie nie mają pojęcia, że przybliżane im „poszukiwania dotyczące przyszłości” są obrazą rozumu i duchowym samobójstwem. Nie wiedzą też, że groźne jest nie tylko praktykowanie prezentowanej im magii, okultyzmu, spirytyzmu. Kaleczące jest bowiem również korzystanie z usług osób inicjowanych w te toksyczne duchowości. Ale wróżka prawdę ci powie...

Klikam dalej. Obok wróżenia z genitaliów msza święta z Jasnej Góry, „Wojny magazynowe”, „Supermaszyny”, świetny „Hardcorowy lombard”, „Albatrosy i pingwiny na Falklandach”, „Mistrzowie remontu”, genialne „Ranczo”, a obok serial spirytystyczny „Zaklinaczka duchów”. Aksamitna promocja destrukcyjnych duchowości obok rozrywki i programów dokumentalnych. Popkultura to miszmasz i dzięki temu duchowe zło jest w niej nierozpoznawalne.

Na każdym z setek dostępnych kanałów uniwersalnych podobnie. Okultyzm wsiąkł w popkulturę. Filmy, programy telewizyjne, platformy streamingowe, gry komputerowe, wszędzie duchowe pomieszanie. W kioskach karty tarota dołączane do kolorowych miesięczników, w sieci profesjonalne reklamówki bransoletek feng shui „optymalizujących powodzenie życiowe”, w supermarketach zabawki voodoo dołączane do gazetek dla dzieci.

Następca tronu Wielkiej Brytanii promuje homeopatię. Jego żona, księżna Sussex, Meghan Markle leczy swoje dzieci za pomocą metody reiki. Co to? „Osoba praktykująca reiki pobiera energię przez czakrę korony i oddaje ją pacjentowi poprzez dotyk” – pisze czytany przez miliony ludzi bulwarowy portal. Najbardziej medialna para ostatniej dekady nagłaśnia praktyki i wierzenia sprzeczne z rozumem i wiarą.

Ludzie Zachodu oderwani zostali od swych duchowych korzeni. Zamyślenie ideologów Nowej Ery jest proste. Polega na wprowadzeniu w duchową pustkę świeckiego świata idei boskości dowolnej proveniencji, byle nie było to chrześcijaństwo. Może być to okultyzm, magia, szamanizm, kult Matki Ziemi – Gai, różnego rodzaju politeizmy, z kultem osławionej ostatnio pachamamy czy synkretycznych religii demonicznych, takich jak afrobrazylijska candomblé. Religia promowana wśród zachodniej młodzieży poprzez capoeirę, która przedstawiana jest jako zabawa, sztuka walki, sposób spędzania wspólnie wolnego czasu, a nie wspomina się słowem o jej bezpośrednim związku z kultem 50 duchów – Orixás, Voduns i Inkices.

Aksamitne nasączenie popkultury okultyzmem i wszelkiego rodzaju innymi destrukcyjnymi duchowościami umknęło powszechnej uwadze. Niestety nawet Kościół katolicki ulega duchowi czasu i zdarza się, że nie jest miejscem bezpiecznym. Mamy bowiem jezuitów promujących jogę, benedyktynów rozpowszechniających wśród wiernych praktyki transowe zen, w wielu polskich parafiach spotykają się dziś grupy praktykujące medytację chrześcijańską, która ma niechrześcijańskie korzenie. Jeśli ktoś mówi wam, że aby się dobrze mod-

lić, musicie mieć wyprostowany kręgosłup, wiedźcie, że nie macie do czynienia z modlitwą, lecz z techniką. Wywoływanie umysłowej próżni, czyli tym samym wyrzucanie wyobrażenia Boga z naszej wyobraźni, jest drogą całkowicie sprzeczną z chrześcijaństwem medytacji naturalistycznej, pogańskiej.

Widzimy dziś potężny regres zachodniej kultury, powrót do pogaństwa. I to nie do Sokratesa, Herodota ani Sofoklesa, ale do pierwotnych duchowości pesymizmu duchowego i fatum.

Można wszystko, ale nie wszystko jest pożyteczne. Mamy odrzucić wszystko, co ma choćby pozory zła. Świat jest tak różnobarwny i bogaty, że możesz znaleźć bezpieczną odpowiedź na każdą swoją potrzebę. Możesz się też zagłębiać w sympatycznie na pierwszy rzut oka wyglądające zło. Ale po co ci kłopoty...

Głupota jest wyborem człowieka. Nawet najskromniej intelektualnie wyposażeni mogą dojść do mądrości, ponieważ jest ona rozumieniem natury człowieka ciężącej ku miłości, dobru, ku więziom, relacjom. Mądrość nie jest uzależniona od inteligencji.

Rozum i wiara, inteligencja i zaufanie, poznaję i ufam Tobie. Błogosławieni ludzie prostej wiary i czystego serca. Czy wielcy tego świata potrafią radzić sobie ze śmiercią i z cierpieniem? Czy buddyzm potrafi radzić sobie ze śmiercią i z cierpieniem? Czy islam potrafi radzić sobie ze śmiercią i z cierpieniem? Czy ateizm potrafi radzić sobie ze śmiercią i z cierpieniem? Tylko chrześcijaństwo, tylko Chrystus może sprawić, że cierpienie będzie miało sens. Cierpienia nikt nie uniknie, ale my po piątku mamy niedzielny poranek.



WOJNA / CYWILIZACJI

Warte – Mnie się już nie chce. Ja nie polubiłam życia – mówi ośmioletnia dziewczynka do mamy. Gdzie dziecko mogło wypowiedzieć takie słowa? Co musiało zobaczyć, czego musiało doświadczyć? Tę rzeczywistość pokazuje nam oszczędnie, ale wyraziście najnowszy film Michała Rogalskiego do scenariusza Wojciecha Tomczyka zatytułowany „**Ciotka Hitlera**”. Rzec dzieje się podczas II wojny światowej, a dziewczynka jest ukrywającą się przed Niemcami Żydówką.

Nie będę dużo pisał o fabule. Dobrze obejrzeć tę historię bez jakiegokolwiek nastawienia. Problematyka, którą podnosi film, jest tak zasadnicza, jak różnica pomiędzy życiem i śmiercią. Jak przepaść pomiędzy godnością i zeszczeniem się. Czy samobójstwo może być ofiarą z życia poniesioną dla uratowania córki i żony? A może była to ucieczka od odpowiedzialności za kobietę i dziecko? Prawdziwa sztuka rodzi lzy. Mówi o sprawach ostatecznych. Rogalskiemu i Tomczykowi w tym skromnym filmie to się udało.

Nie ma już żadnych praw. Są. O ich nieistnieniu mówią ludzie uginający się pod zdżzieniem świata niemieckiej okupacji. Jednak nawet w czasach, gdy jedną decyzją możesz wydać wyrok śmierci na swoich najbliższych, istnieją zasady wywiedzione z obiektywnego świata, ze świata duchowego. Ich istnienie potwierdzają decyzje bohaterów filmu duetu Rogalski–Tomczyk. Ponieważ jest on oparty na prawdziwej historii, te decyzje mają moc dowodu.

Polska lat 40. to inny świat. Chłopcy, a właściwie już prawie mężczyźni, dziękują matce, odchodząc od stołu. Słuchają poleceń ojca bez słowa sprzeciwu, bez wahania. Ale pewne rzeczy się nie zmieniły. Główny bohater pyta o szmalcowników prawdziwego warsawiaka, który uratował mu życie:

- Obcy jacyś, się najechało tych wieśniaków do stolicy.
- Mogą się mścić.
- Mogą. Skrzyknem ferajnę, chłopaki spuszczą łomot...

Margines ludzi znieprawionych był i będzie. Pytanie, czy na marginesie, czy w mainstreamu.

– Niemiec wypuścił diabła. Już nic nie będzie takie samo. Trzeba uważać, żeby się nie zgubić – słyszymy w „Ciotce Hitlera” taką analizę i program na życie. Aktualny również dziś.

Film bierze udział w konkursie głównym Festiwalu Filmów Fabularnych w Gdyni. Jest jedną z dwóch pierwszych produkcji TVP o Polakach ratujących Żydów: „Ciotka Hitlera” Michała Rogalskiego i „Cudak” Anny Kazejak otworzyły cykl „Kto ratuje

jedno życie, ten ratuje cały świat”. W dziesiątkach gazet czytamy dziś o polskich obozach śmierci, w wielu telewizjach słyszymy, że Polacy są winni Holocaustu.

Kłamstwo zasiadło na tronie i szydzi. Największe portale informacyjne i opiniotwórcze, powtarzając niemieckie i rosyjskie kłamstwa, przekonują niemających zielonego pojęcia o historii młodych ludzi, że jak nikt inny na świecie Polacy wysłali antysemityzm z mlekiem matki. A Niemcy samych siebie, że ich matki i ich ojcowie bronili Żydów przed antysemicką Armią Krajową. Jestem zażenowany, ale napiszę to: w czasie II wojny światowej w okupowanej przez Niemców Polsce za ukrywanie i pomoc Żydom groziła Polakom kara śmierci. Odpowiedzialność ponosili wszyscy znajdujący się w domu podczas rewizji. We wsiach Niemcy stosowali zasadę odpowiedzialności zbiorowej. Sąsiedzi Polaków, którzy ukrywali Żydów, również byli karani śmiercią. Tak brutalnych represji za pomoc Żydom Niemcy nie stosowali w żadnym państwie Europy Zachodniej.

Wszystkie polskie środowiska, w tym środowisko filmowe, muszą się zaangażować w niesienie prawdy światu. Prawdy, którą się zniekształca, zakrzykuje w imię interesów kilku krajów i wpływowych środowisk etnicznych i międzynarodowych.

To nie jest tylko obowiązek wynikający z patriotyzmu. To obowiązek wobec ofiar Holocaustu i tych ludzi, którzy oddali życie za współobywateli ściganych jak zwierzęta przez dobrych Niemców z Wehrmachtu.

Nie my mordowaliśmy Żydów. Sami Żydzi nie bronili swych braci. Relację Jana Karskiego o zagładzie usłyszeli m.in. Felix Frankfurter, Cordell Hull, William Joseph Donovan, Samuel Stritch i Stephen Wise. Karski przedstawiał swój raport politykom, biskupom, przedstawicielom mediów i przemysłu filmowego z Hollywood oraz artystom. Nikt nic nie zrobił.

Nieopowiedziane są także historie współpracy francuskich władz i wielu zachodnich społeczeństw z niemieckimi zbrojowym mordercą. W Polsce wyzuty z moralności margines szmalcowników żerujących na nieszczęściu nie był szerszy niż w innych krajach okupowanej Europy. Wręcz przeciwnie, a państwo polskie wykonywało wyroki śmierci na Polakach wydających Żydów w ręce Niemców na śmierć. Jeśli my nie opowiemy o tym światu, nie opowie tego nikt.

Robert Tekieli
Polskie Radio

**Wojciech Stanisławski**

Szukam synonimów wytartego już trochę słowa „epopeja”, ale nie ma ich dużo: powieść rzeka, saga, epos. Ryzykowne porównania do innych obszarów („symfonia” „chór”?) też nie dają zbyt wiele. Trudno, trzeba pozostać przy epopei: powieść Amerykanina Williama T. Vollmanna jest właśnie tym, powieścią totalną, w którą jak w Wołgę (nieprzypadkowy wybór rzeki) strach się rzucić, bo nie każdy przebędzie ją wpław. Nurty, wodrośły, wiry, rdzawomdle namuły: świadomość sunących nieprzerwanie milionów ton czarnej wody.

Oczywiście można się tego spodziewać, sięgając po książkę o froncie sowiecko-niemieckim, więcej, o konfrontacji (i braterskim podo-

Pisarski blitzkrieg

To powieść o Historii jako żywiole, okrutnym i ślepym bóstwie, napisana po Heglu i po Miłoszu, za to niemal współcześnie ze „Skrwawionymi ziemiami” Timothy’ego Snydera

bieństwie) dwóch totalizmów, rozpiętą czasowo między schyłkiem epoki wersalskiej a rokiem 1975, kiedy umrze jeden z protagonistów, Dymitr Szostakowicz. Swoją drogą, jeśli komuś marzy się napisanie „wielkiej powieści”, wojna jest doskonałym tematem: nawet najmniejsza, lokalna, staroświecka pozostaje jedynym (prócz może kampanii wyborczych) przedsięwzięciem, które angażuje taką liczbę ludzi połączonych jednym celem i dowództwem, a skoro tak – również doświadczeniami strachu, śmierci, rozpacz, kłębów tłustego dymu na pogodnym przed chwilą niebie, niosących przez ten pejzaż (strzaskane kolumny lub sosny, koralowe lub zgniloczarne bandaże, całun kurzu na twarzach i rękopisach) swoją indywidualną pamięć, pożądania, wierności. Wiedzieli to Homer i Tolstoj, a za nimi cały batalion autorów piszących „epopeje wojenne”, od Zweiga i Zoli po Stendhala i Grossmana. Ale czym są wszystkie wcześniejsze wojny w porównaniu z tamtą konfrontacją, z kipiłą rozciągniętą od bagien Leningradu po pola Kubania, ze spopielającymi się

milionowymi armiami, z Einsatzgruppen i gułagiem w tle?

Wrzucić w tę kipieli pojedynczych żołnierzy, z ich snami, niezagojonym kolanem, nieszczęśliwą miłością; pojedynczych dowódców z ich pychą, gniewem, ambicjami; spisywać ich monologi, szloch, rozterki, żeby nagle wznieść się, jak ostrzeliwany myśliwiec, świecą i z tej wysokości ogarnąć kleszcze dywizji pancernych wokół Stalingradu, kilometry dymiącego złomu, i znów zanurkować, zmienić się w mysz polną czy kołatkę, nasłuchując, jak dobiera słowa w swych ostatnich depe szach gen. Paulus, jak porównuje w myślach biel śniegu, map sztabowych, rękawiczek i pościeli w berlińskim domu? Tak, to byłoby osiągnięcie dla uzdolnionego powieściopisarza; ale dla Vollmanna to tyle co pieredyszka, spokojny dzień bez ostrzału, leniwa wojna pozycyjna, niemal wypełniacz akapitów.

Jego blitzkriegi pisarskie są zgola innej rangi. Na raz – syntezę całych dekad dokonywane w jednym akapicie, z gęstością, której nie powstydziłby się Pomian w „Europie i jej narodach”, spojrzenie już nie z per-

ort ekstremalny

spektywy myśliciwa, lecz satelity: „Centrala Europa jest martwą strefą czarnych ikon i obramowanych złotem zegarów, której przypadkowe, nieustannie zmieniane granice (nic innego jak stare rzymskie mury) bez trudu wytyczymy na nowo według naszej woli: gauleiterzy i komisarze wybielają do szarych kropkowanych linii, z łatwością przepuszczających siły porządkowe”. Na dwa – obsesyjne krążenie motywów, trącanie tego samego akordu w różnych tonacjach: srebrna fortepianowa struna młoczonego podczas koncertów fortepianowych Szostakowicza jest tą, na której (według dydaktycznej legendy rodem z Łubianki) zawisnie gen. Własow. Na trzy – nienachalne, ale wybrzmiewające, taktujące historię prefiguracje: złoty tytuł „Poltawa” wytłoczony na grzbiecie książki ujranej przed laty w sennej sypialni przez Paulusa (skąd jego żonie przyszło w ogóle do głowy zamówić te poematy Puszkina?) okaże się prorocstwem zagłady 6 Armii i Trzeciej Rzeszy. Na cztery – wsłuchanie się w dykcję każdego z bohaterów, już nie „empatyczne”, lecz rygorystyczne, odtworzone na podstawie dziesiątków dzienników, biografii i relacji: szczekanie Hitlera, charkot Göring, Stalinowe cedzenie słów, miękkość Alzatzczyka rozmiłowanego w stukocie stalowych żabek na bruku, zawisające w pół zdania monologi Szostakowicza – wszystko to jest splecione z cytatów, z których Vollmann skwapliwie zdaje sprawę w przypisach. Głos narratora jest jeden, dziw nad dziwy, skoro jego osoba przechodzi przez fronty zgrabniej, głódziej niż najsłynniejsi podwójni agenci świata. To zręczliwy, znużony, wyzbyty wykrzykników głos świadka, który zobaczył już wszystko, głód Leningradu i głód Auschwitz, krytykę na łamach „Prawdy” i odprawę w Wilczym Szańcu. Wydzieraliśmy oczy palcami? Tak jest.

Na pięć... Na pięć ekspresja, niezmordowana, przerysowana

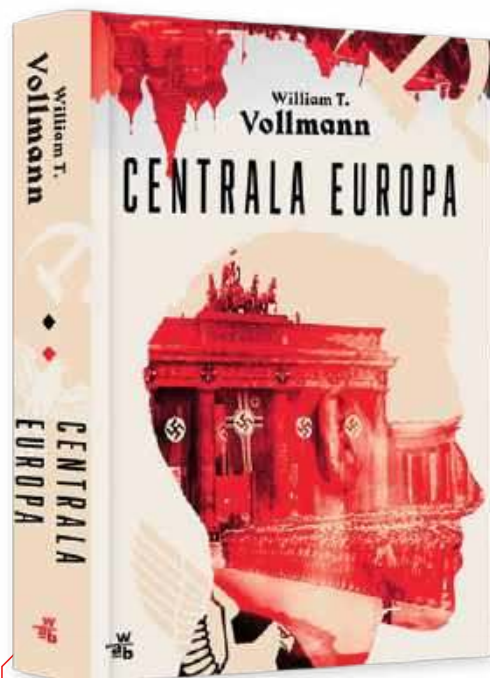
i urzekająca. Zbyttnie zamilowanie do metafor, kiedy opisuje się jatkę w okopach, zawsze jest nieco podejrzane moralnie, o ile nie jest się włoskim futurystą; sam autor zresztą nie szczędzi drwiny grafomanowi i marszałkowi ZSRS Wasilijowi Czujkowowi, popisującemu się w swych pamiętnikach frazami o „czarnych, garbatych jak klęczące wielbłądy kształtach rozbitych czołgów wroga”. Ale czym są klęczące dromadery wypalonych panter w porównaniu ze słuchawką telefonu wojskowego nakreśloną piórem Vollmanna? „W bakelitowej czaszce tej istoty wisi – zagnieżdżony lub opleciony siatką szkarłatnych drucików – złośliwie złożony mózdzek, nie większy od orzecha ziemnego. Jego kora składa się z dwóch brązowo-żółtych półkul przetykanych włóknami cienkich miedzianych drucików. W nim skupiają się liczne idee, ułożone tak starannie jak lotki wyblakłego, żółtego orla Polski”.

Siwiejący entuzjaści prucia ogniem ciągłym i „męskiej prozy” odsuną w tym momencie „Centralę Eu-

ropę” z niesmakiem, nie doczekawszy porównania aparatu telefonicznego do ośmiornicy, furii/ferii barw, ruin Stalingradu zamienionych w „liry, na których grają płomienie” i Warszawy, ongiś „miasta przysadzistych kościołów w kolorze miodu i powleczonego błękitem bruku”. I będą mieli rację, ze swojego wąskiego jak celownik punktu widzenia. Dzieło Vollmanna jest bowiem, jak się wydaje, jedną z ciekawszych przymiarek do „formy bardziej pojemnej”, nad której kształtem zastanawiał się Miłosz, widząc wyczerpanie klasycznej formuły powieściowej.

„Centrala Europa”, zadedykowana przez autora ceniom Danilo Kiša, w niejednym idzie tropami genialnego serbskiego prozaika. To powieść, w której rygoryzm szczegółów, research źródłowy nieznany leniwym prozaikom XX w. nie jest żadnym kneblem dla fantazji nieograniczonej niczym, bodaj fizyką (rozdział „Idylle mostu powietrznego”, traktujący o wojnie wywiadów w tużpowojennym Berlinie, brzmi jak zaginione fragmenty scenariusza

„Trainspotting”, z przenikaniem na heroinowym haju przez ściany i rury kanalizacji). To powieść o rywalizacji nie tyle pocisków z tungstenowym czubkiem i duraluminiowych pancerzy, ile idei. To powieść nie tyle o Historii, barwnej od piór i epoletów, ile o bożku Historycznej Konieczności, napisana po Heglu i po Miłoszu, za to niemal współczesnie ze „Skrawionymi ziemiami” Timothy’ego Snydera, które Amerykanie snadź dostrzegli wreszcie dwie dekady temu. W książce Vollmanna te skrawione ziemie są tłem i areną wojny idei i pocisków, zapasów Lunatyka i Realisty, „Centrala Europa” to niby lokalizacja, ale przede wszystkim bakelitowe marzenie telefoniistów, kakofonia metalicznych głosów. Jak dał sobie radę z tą dwuznacznością tłumacz Jędrzej Polak, dalibóg nie wiem; ale dał sobie radę jak z dziesiątkami innych wyzwiań.



William T. Vollmann, „Centrala Europa”,
tłum. Jędrzej Polak, W.A.B., 2021

Polak homofob w „Slasherze”

Nadanie serialowi tytułu „Slasher” to w teorii symboliczny szczyt dążenia do perfekcji w sferze odrębnego kina gatunkowego. Netflix wyprodukował już trzy ośmioodcinkowe serie pod tym szyldem. Slasher to podgatunek kina grozy, w którym dochodzi, na ogół w krótkim czasie, do wielu morderstw. Ostatnio skądinąd Włosi nakręcili film pod tytułem „Klasyczny horror”.

Slashery epatują seryjnym zabijaniem, mają swoje reguły i są naturalnie sztuczne. Ted Bundy zabił w jednym akademiku trzy studentki tego samego wieczoru, ale seryjni mordercy nie mają takich osiągnięć jak w tych filmach. Może dlatego w najbardziej kultowych slasherach ludzi zastąpiły jako sprawcy figury nie z tego świata. Tak jest w cyklu „Halloween” (Mike Myers to tylko z pozoru człowiek) czy w „Piątku trzynastego” (powstały z martwych Jason!).

Te filmy uległy naturalnemu wyrodzeniu, większość z nich to zwykłe epatowanie mordowaniem, coraz wymyślniejszym i coraz bardziej zbanalizowanym. Byłem ciekaw, jak sobie poradzą twórcy aspirujący do swoistej syntezy gatunku. Autorem pomysłu jest scenarzysta rzemieślnik Aaron Martin. Poza tym tabun reżyserów i – jak w „American Horror Story” – aktorzy grający w niepowiązanych z sobą seriach różne postaci.

Obejrzałem pierwszą i trzecią. Pierwsza to opowiadka o mordercy atakującym amerykańskie miasteczko, lata całe po poprzedniej zbrodni. Pełna fabularnych luk i nieprawdopodobieństw urągających nawet tej, z natury naciąganej, konwencji. Pozbawiona mocniejszych kontekstów społecznych. Choć ciekawe, czy faktycznie na amerykańskiej prowincji Anno Domini 2016 rządziłaby para bogatych gejów-deweloperów? Poza tym są niby reminiscencje lęków przed srogą religią kary (protestantyzm!), ale dyskretne.

Zadziwiająca jest seria trzecia. Znowu mamy powrót mordercy w miejsce, gdzie rok wcześniej dokonano zbrodni. Tym razem w czynszowej kamienicy w większym mieście. Fabuła jest karkołomna. Rzecz cała ma się, pomijając retrospekcje, rozgrywać w ciągu jednej doby. Twórcy

chcą nas przekonać, że można w tym czasie zabić 11 osób, głównie mieszkańców tego jednego budynku. Arcyzręcznie, pomimo skrajnie niesprzyjających warunków.

I dobrze, nie można. Jest jednak i tło. Sporo tu odniesień do niszczącej kultury internetu. To hejt w sieci uruchamia zdarzenia. Ale autorzy mają też ambicję przedstawienia wielobarwnego amerykańskiego społeczeństwa. Są więc konflikty rasowe, jest rodzina arabskich imigrantów, są geje i lesbijki, jak zwykle w Netflixie aż w nadmiarze.

Mamy wrażenie równościowej dydaktyki. Ale potem rozwija się to w trochę nietypowym kierunku. Jeden przykład: szkolni koledzy oskarżają arabską uczennicę o to, że kolarzy im się z terroryzmem. Czarnoskórzy też w tym mobbingu uczestniczą. Nie wszyscy geje są dobrzy, a rozwiązanie zagadki, acz nasuwające się, gdy żywych mieszkańców kamienicy zostaje coraz mniej, jest sprzeczne z politpoprawnością.

Obserwowałem z ciekawością zabiegi, aby powiedzieć, w przerwach między krwawymi scenami, coś mniej banalnego o realiach. Nie do końca to się powiodło, ale próbę podjęto. Polskich widzów wkurzyło jedno. Dyżurnym homofobem



i rasistą, a równocześnie zaniedbanym opojem, jest facet o nazwisku Danny Olensky (świetny Dean McDermott!).

Ale Polak w finale zostaje zrehabilitowany. Finał to zresztą swoisty apel o pojednanie. No i jest kapitalna scena. Kiedy jeden z sąsiadów puka do drzwi Olensky'ego, żeby zbierać na nowo przybyłych imigrantów, ten

wybuchą: „A kto pomaga mnie, białemu mężczyźnie z dzieckiem?”. I jest to pokazane przynajmniej ambiwalentnie. To dziś sporo.

Piotr Zaremba

XXX

Forum Ekonomiczne

***Europa po pandemii – Polska przed nowym ładem***

- 4 tysiące gości, 414 paneli i forów dyskusyjnych
- Strefy debat PFR, PKN Orlen, KGHM, SGH
- Wyróżnienia Forum Ekonomicznego 2021
- Nagrodzeni gośćmi studia TV wPolsce.pl i wGospodarce.pl





Europejskie forum o solidarności i... transformacji

Jubileuszowa XXX edycja Forum Ekonomicznego w Karpaczu za nami. W 414 panelach w Hotelu Gołębiowski w Karpaczu uczestniczyło łącznie ponad 4 tys. gości. Pod hasłem „Europa w poszukiwaniu przywództwa” licznie debatowali przedstawiciele polskiego rządu i goście z zagranicy, a Forum pozostaje największą w Europie Środkowo-Wschodniej platformą spotkań, gdzie nie tylko dyskutuje się o bezpieczeństwie, perspektywach rozwoju gospodarczego, współczesnych wyzwaniach i przewyżnianiu kryzysów, lecz także przedstawia się konkretne rozwiązania

Czas zatem na podsumowanie kilkudniowego maratonu paneli i dyskusji o niezwykle ważnych elementach gospodarki Polski i Europy. Z pewnością na plan pierwszy wysuwa się kwestia transformacji energetycznej. Zielony Ład obecny był zarówno w rozmowach o energetyce, paliwach przyszłości, dywersyfikacji, jak i bankowości, wsparciu przedsiębiorstw. Zielono zrobiło się w Karpaczu już rok temu, to w 2020 r. PKN Orlen ogłosił bowiem pierwszą poważną strategię transformacyjną.

– Cel, jakim jest zerowa emisyjność do 2050 r., jest do osiągnięcia. Jako PKN Orlen inwestujemy w tę kwestię od trzech, czterech lat, budujemy nasze instalacje, które są mniej emisyjne, inwestujemy w farmy wiatrowe na lądzie i na Bałtyku, za nami akwizycja Grupy Energa... Zrobiliśmy dużo, a ja należę do osób, które wolą robić biznes, a nie o nim gadać, i chciałbym, żeby prowadzone rozmowy przełożyły

się na realne umowy – mówił nam Daniel Obajtek, prezes PKN Orlen. – My, jako koncern, to właśnie robimy, jesteśmy już spółką multienergetyczną.

Oczywiście debaty związane ze skutkami COVID-19 stanowiły sporą część paneli, jednak trzeba zauważyć, że pandemia nie zdominowała rozmów tegorocznego Forum. Więcej uwagi poświęcano zaś Polskiemu Ładowi.

– Kierunek działania Polskiego Ładu jest taki sam od początku tego projektu. Znaczne obniżenie opodatkowania osób mniej zarabiających, wsparcie w postaci całego ekosystemu ulg dla przedsiębiorców oraz zabezpieczenie środków dla NFZ. Polski Ład jest zatem projektem bardzo korzystnym dla podatników – przewidywał pozostawienie w ich kieszeniach aż 14 mld zł. Teraz ten koszt wzrósł do 16,5 mld zł – mówi wiceminister finansów Jan Sarnowski z Karpacza w wywiadzie dla telewizji wPolsce.pl, tuż po ogłoszeniu przez Ministerstwo Finansów informacji, że składka zdrowotna dla prowa-

dzących działalność gospodarczą wyniesie w przyszłym roku 4,9 proc. zamiast pierwotnie planowanych 9 proc.

Jeśli temat pandemii pojawiał się w debatach, to raczej jako przyczyna pewnych procesów, które będą miały znaczenie dla uczestników polskiej gospodarki przez wiele kolejnych lat. Jednym z takich procesów jest z pewnością wyraźnie większe znaczenie narodowości gospodarki. Polska gospodarka osiągnęła w zeszłym roku rekordową nadwyżkę w handlu zagranicznym. Temu, jak budować silną markę polskiego biznesu oraz co składa się na atrakcyjność polskich spółek, został poświęcony blok tematyczny „Made in Poland” prowadzony przez Michała Karnowskiego.

– W 2015 r. został zatrzymany proces bezrefleksyjnej sprzedaży aktywów państwowych, przełamaliśmy dogmat prywatyzacji – mówił wicepremier Jacek Sasin, minister aktywów państwowych. – Im lepiej wiedzie się dużym państwowym podmiotom, tym lepiej też będą prosperować prywatne przedsiębiorstwa.

W kolejnej części wydarzenia odbył się panel dyskusyjny, w którym wzięli udział: prezes zarządu Totalizatora Sportowego Olgiert Cieślík, prezes zarządu Polskich Kolei Państwowych SA Krzysztof Mamiński, prezes zarządu KGHM Polska Miedź SA Marcin Chłodziński oraz prezes zarządu PKO Banku Polskiego Jan Emeryk Rościszewski. Dwóch panelistów odebrało wieczorem na uroczystej gali wyróżnienia Forum Ekonomicznego. KGHM Polska Miedź SA została Firmą Roku Forum Ekonomicznego.

– Za sukcesem KGHM stoja ludzie, załoga, która codzienną ciężką pracą osiąga takie świetne wyniki. Ta nagroda to ich sukces. Cieszę się, że odbieramy to wyróżnienie w Karpaczu, na Dolnym Śląsku, gdzie poprzez nasze kopalnie i inne zakłady jesteśmy głęboko zakorzenieni. Mamy ambitne plany na przyszłość. A ta przyszłość jest z miedzi – powiedział podczas Gali Marcin Chłodziński, prezes KGHM Polska Miedź SA.

Nagrodę odebrał również Totalizator Sportowy.

– Realizujemy swoją misję od 65 lat. Za to, jak działamy, możemy być dziś największym mecenasem polskiego sportu. To zasługa wszystkich pracowników firmy, za co serdecznie dziękuję. Wygrywamy razem! – mówił w Karpaczu Olgiert Cieślík, prezes Totalizatora Sportowego, właściciela marki Lotto. Nagrodzone zostały także firmy Philips Polska i MSD Polska.

Wraz z wyróżnieniami z okazji 30-lecia Forum tradycyjnie przyznano również nagrodę Forum Ekonomicznego dla Organizacji Pozarządowej Roku. Otrzymał ją tym razem Związek Harcerstwa Polskiego. Wyróżnienia Forum Ekonomicznego w kategorii Osobowość otrzymali: były marszałek Sejmu Marek Kuchciński, minister infrastruktury Andrzej Adamczyk oraz prezes Polskiego Funduszu Rozwoju Paweł Borys.

– W trakcie pandemii, która była największym wyzwaniem ostatnich trzech dekad, byliśmy gotowi sprawnie i szybko działać. Dziękuję całemu zespołowi: ten fantastyczny profesjonalny zespół stanął na wysokości zadania w tym trudnym czasie – mówił, odbierając nagrodę, prezes Paweł Borys, który przypomniał, że w ramach tarczy antykryzysowej w ciągu trzech miesięcy wypłacono środki 348 tys. firmom, a to przełożyło się na skuteczną obronę 3 mln miejsc pracy. – Tarcza

finansowa nie sprowadzała się do pieniędzy, chodziło o danie poczucia bezpieczeństwa – powiedział prezes PFR.

Znakiem rozpoznawczym Forum Ekonomicznego są od 30 lat dyskusje na temat zmieniającej się Europy. W tym roku szczególnie, bo jak mówił nam twórca i przewodniczący Rady Programowej Forum, „rozmowa o przywództwie w Europie to rozmowa o tym, w jaki sposób wymusić kompromis, konsens i jak ułożyć agendę tych najważniejszych spraw, aby nie dochodziło do sytuacji, w której to mniejszości narzucają pewne rozwiązania powodujące, że nasza gospodarka, że nasz model ustrojowy jest całkowicie niekonkurencyjny”.

Moderatorem niezwykle istotnej sesji plenarnej trzech obecnych na Forum premierów Polski, Słowenii i Ukrainy był Jacek Karnowski.

– Polska kojarzy się z Solidarnością i ta solidarność będzie potrzebna podczas obecnego kryzysu. Razem będzie nam prościej wyjść z kryzysu. Scenariusze są różne, ale nasze wspólne wyzwanie to zapewnienie sprawiedliwego i wspólnego rozwoju i odbudowy. Bogatsi szybciej wychodzą z kryzysu, dlatego najslabsi potrzebują największego wsparcia – mówił premier Ukrainy Denis Szmyhal.

– W przypadku Słowenii istnieje szansa, że jest to ostatni rok, kiedy zajmujemy się pandemią. Teraz trwa odbudowa, ale kolejna ważna rzecz to wzmocnienie odporności, ponieważ w czasie epidemii potrzebne były duże zmiany i reformy. Okazało się przede wszystkim, że powinny zostać zwiększone nakłady na ochronę zdrowia. Pod tym względem kraje UE są podobne – mówił premier Słowenii Janez Janša.

Zdaniem premiera Mateusza Morawieckiego dla przyszłego sukcesu w odbudowie po pandemii ważna jest tradycja Solidarności. Powiedział on, że należy wdrażać jej idee w życie – stworzyć solidarny, ale też efektywny i wolnorynkowy system społeczno-gospodarczy. Zdaniem premiera taka jest też konstrukcja Polskiego Ładu, który określił jako „kontynuację marzeń pokolenia Solidarności”.

– Wszystkie nasze założenia: wzmocnienie klasy średniej, budowa bardziej sprawiedliwego, progresywnego systemu podatkowego, uzupełnienie braków w infrastrukturze, wreszcie poprawa jakości ochrony zdrowia – wymieniał premier Mateusz Morawiecki. – Obecna sytuacja to swego rodzaju punkt zwrotny w historii świata po COVID-19, który powinien służyć refleksji. A naszą refleksją jest propozycja budowy nowego porządku społeczno-gospodarczego.

Podczas finałowej gali tegorocznego Forum Ekonomicznego premier Słowenii Janez Janša otrzymał nagrodę Człowieka Roku 2020. Wręczono również Nagrodę Specjalną dla społeczeństwa Ukrainy, którą odebrał premier Ukrainy Denys Szmyhal. Po raz pierwszy przyznano też Nagrodę Polonijną Forum Ekonomicznego. Jej laureatami zostali przewodnicząca Związku Polaków na Białorusi Andżelika Borys oraz członek jego rady nadzorczej Andrzej Poczubut. W ich imieniu nagrodę odebrali Irena Biernacka i Maria Tiszowska.

● (mac)

Rozmowy z uczestnikami XXX Forum Ekonomicznego, wyróżnionymi menedżerami polskich czempionów dostępne na stronie www.wgospodarce.pl i na kanale YouTube telewizji wPolsce.pl – zachęcamy do obejrzenia i wysłuchania.



Chrzest polskiej grupy instytucji rozwoju

Aktywność Polskiego Funduszu Rozwoju podczas XXX Forum Ekonomicznego w Karpaczu była naturalną konsekwencją działań podejmowanych przez instytucje rozwojowe w ciągu ostatniego roku naznaczonego kryzysem COVID-19. Pięciolecie PFR stało się przyczynkiem do podsumowania zarówno bieżących projektów, jak i wyjątkowych, błyskawicznych akcji wsparcia przedsiębiorstw i gospodarki podjętych z pełną determinacją przez PFR oraz BGK, PARP, PAIH, KUKE i ARP

Już po kryzysie 2008–2009 zakiełkowała taka myśl, że państwo musi mieć mocniejsze narzędzia wspierania gospodarki. Wtedy państwo było prawie bezbronne – nie było żadnych mechanizmów obrony rynku pracy, sektora przedsiębiorstw, a najpoważniejszym problemem był dostęp do finansowania mikro i małych przedsiębiorstw, których sytuacja załamała się na skutek choćby zaostreżenia polityki kredytowej wielu banków – przypomniał Paweł Borys, prezes PFR, we wstępie do niezwykle ciekawego panelu „Polskie instytucje rozwoju – 5 lat doświadczeń i priorytety na przyszłość”. – Wierzę, że udowodniliśmy, iż polskie instytucje rozwojowe po czasie zaniedbań, gdy były niedofinansowane, bez spójnej

strategii, gdy zwyczajnie konkurowały ze sobą – stając się w 2015–2016 roku częścią Grupy PFR – stworzyły platformę usług finansowych, doradczych, inwestycyjnych dla sektora polskich przedsiębiorstw. Gdy premier Mateusz Morawiecki zapowiedział istotną reformę instytucji rozwojowych, chcieliśmy stworzyć taką platformę, z jakiej mogą korzystać przedsiębiorcy w innych krajach Europy.

Prezes PFR przypomniał powstanie strony internetowej Grupy PFR – pfr.pl, skupiającej informacje na temat wszystkich instytucji, a także proces identyfikacji problemów przedsiębiorstw w Polsce, na które Grupa PFR postanowiła dać odpowiedź w postaci konkretnych instrumentów wsparcia. Wzmocniono program gwarancji de minimis w BGK.

Uporządkowano wsparcie na innowacje, dotacje i wsparcie venture capital. Rozszerzono inwestowanie w technologie, ruszyły też koinwestycje w sektorze prywatnym.

– Jednym z naszych priorytetów było właśnie to, żeby przedsiębiorca zawsze miał dostęp do finansowania, niezależnie od tego, na jakim etapie rozwoju jest – mówił prezes Borys. – Kiedy startuje, rozwija się, inwestuje w innowacje, buduje eksport. Innym problemem, który zidentyfikowaliśmy, było długoterminowe, często niestandardowe finansowanie inwestycji infrastrukturalnych. Banki często nie są w stanie udzielić finansowania na 1–15 lat. Dziś takim flagowym przykładem inwestycji wspartej przez PFR jest głębokowodny terminal kontenerowy DCT w Gdańsku. Inwestycja wartości 5 mld zł w ciągu trzech lat

wspólnie z naszymi partnerami doprowadziła do sytuacji, w której DCT jest największym portem kontenerowym na Bałtyku. I ogłosiliśmy już, że chcemy podwoić możliwości tego terminala.

Kolejnym wyzwaniem był dostęp do wiedzy. Stąd oferta edukacyjna, z której skorzystało już kilkaset tysięcy przedsiębiorców. PFR zajął się też długoterminowym oszczędzaniem Polaków – to wciąż rozpędzający się program Pracowniczych Planów Kapitałowych.

– Choć nadal trudniej przekonać Polaków do oszczędzania niż do wydawania, to w PPK są już 3 mln pracowników – wyjaśniał Paweł Borys. – Po tych pięciu latach PFR jest już bardziej dojrzałą, dużą instytucją – tu przyznam się do porażki, bo od początku mówiłem, że im mniejszy PFR, tym lepiej, bo to znaczyłoby, że sektor prywatny działa lepiej, potrzeba mniej interwencji. W tym czasie zdarzył się kryzys wywołany pandemią i okazało się, że to wsparcie było niezwykle potrzebne – przypomniał Paweł Borys.

Działaniom podejmowanym przez instytucje skupione w Grupie PFR właśnie w kryzysie COVID-19 poświęcone były wystąpienia przedstawicieli PARP, PAIH, KUKE i ARP.

– Poszerzyliśmy grono adresatów naszych programów. Mamy działania skierowane do jednostek samorządu terytorialnego, polegające na podnoszeniu kompetencji, poprawie infrastruktury transportowej, wykorzystaniu walorów turystycznych. Ten czas to tysiące szkoleń, akademie menedżera, raporty, spotkania z przedsiębiorcami – mówiła Izabela Banaś, zastępca dyrektora Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości.

– Polska Agencja Inwestycji i Handlu powstała w 2017 r., jesteśmy więc najmłodszym podmiotem w grupie. Zajmujemy się zarówno obsługą polskich inwestycji zagranicznych, jak i wsparciem eksportu. Funkcjonujemy na ponad 70 rynkach na całym świecie, gdzie pomagamy polskim przedsiębiorcom dotrzeć do potencjalnych partnerów handlowych, pokazujemy, jakie są bariery wejścia na dany rynek i staramy się ograniczać ryzyka biznesowe eksporterów – mówił Krzysztof Drynda, prezes PAIH. – To okazało się niezwykle ważne podczas lockdownów, bo często przekształcaliśmy się w oddziały polskich firm, poma-

gając tam – na świecie, polskim firmom prowadzić niezakłóconą działalność, w warunkach ograniczeń w poruszaniu się na całym świecie.

– KUKE jest w sektorze dostarczającym firmom płynności nawet na 500 mld zł rocznie. Coraz więcej przedsiębiorców widzi potrzebę ubezpieczania się. Działamy trochę jak odgromnik na rynku – działamy prorozwojowo, a przez ostatnie pięć lat zmieniło się bardzo dużo. Ubezpieczamy 70 mld zł obrotu polskich przedsiębiorstw na 120 rynkach, a możemy działać na ponad 200 – mówił Janusz Władyczak, prezes KUKE. – Pandemia spowodowała poniekąd, że pojawiliśmy się też na rynku ubezpieczeń komercyjnych dla firm, na którym zajęliśmy drugie miejsce. Pandemia przyspieszyła też pewne procesy. Przez 30 lat działalności KUKE nie udało zmienić się przepisów regulujących wsparcie ubezpieczeniowe. Udało się to wreszcie półtora roku temu, dzięki czemu powstał nowy system wsparcia eksportowego, dającego ogromne możliwości rozwoju przedsiębiorstw, które eksportują lub chcą dopiero eksportować.

– Agencja Rozwoju Przemysłu działa już 30 lat, od początku transformacji wspierając inwestycje zagraniczne w Polsce, pomagając tworzyć i utrzymywać wiele miejsc pracy w strefach ekonomicznych, strefach inwestycji – podsumowywał prezes ARP Cezariusz Lesisz. – Działamy w przemyśle, ale mamy dużo więcej zróżnicowanych zadań, wyzwań na rynku. Chcemy, żeby nasza agencja była organizacją rozumiejącą i wyraźnie, konsekwentnie wspierającą wyzwania reindustrializacji, przemysłu 4.0, robotyzacji i automatyzacji, transformacji energetycznej. To jest nasze zadanie.

Handel, inwestycje infrastrukturalne, finansowanie, koinwestycje, eksport, edukacja i wsparcie przedsiębiorstw i usług, samorządów, a do tego bank rozwoju, agencja rozwoju, korporacja ubezpieczeniowa – to, jak można było usłyszeć podczas Forum w Karpaczu, tworzy faktycznie skoordynowaną politykę wsparcia instytucji państwowych – Grupy PFR – dla gospodarki. Szczególnie ważne okazało się to w czasie pandemii COVID-19, która doprowadziła do zerwania istniejących łańcuchów dostaw, a lockdown zburzył dotychczasowy

porządek gospodarczy. Reakcja państwa była natychmiastowa, a wsparcie płynące właśnie poprzez PFR uratowało tysiące firm, miejsca pracy i pomogło przetrwać najtrudniejszy moment kryzysu.

Na ten temat rozmawiali w Strefie PFR podczas panelu „Tarcza antykryzysowa i ekonomiczny krajobraz po pandemii” Bartosz Marczyk, wiceprezes PFR, Cezary Kaźmierczak, prezes ZPiP, Adam Rogaliński, dyrektor inwestycyjny Wakacje.pl, Andrzej Kopyrski, dyrektor zarządzający Pionu Inwestycji PFR, oraz Piotr Bujak, główny ekonomista PKO Banku Polskiego.

– Kiedy pojawiły się restrykcje, powstała potrzeba pilnego punktowego wsparcia firm. Tarcza pokazała, że wszystkie instytucje potrafią efektywnie współpracować, rozumieją rynek i w sytuacjach kryzysowych udało się zrobić miejsce dla instytucji i działań pomocowych. Poznaliśmy rynek komercyjny – PFR udzielając wsparcia, robił dokładną analizę wielu przedsiębiorstw, ich sytuacji, sytuacji rynku – wyjaśniał Andrzej Kopyrski z PFR. – Na szczęście straty wielu firm były mniejsze, niż spodziewaliśmy się na samym początku kryzysu. Teraz trzeba pozwolić tym firmom wyjść z kłopotów – odbudować bazę kapitałową, finansowanie.

– Stawiam taką tezę, że to, iż udało nam się wyjść z tego kryzysu w miarę dobrze, zawdzięczamy dwóm podstawowym rzeczom. Pierwsza to ten nasz polski gen przedsiębiorczości, niezwykła elastyczność, coś, co moglibyśmy eksportować na cały świat. Druga – państwo stanęło na wysokości zadania i wsparcie, w postaci tarcz, którego udzielono przedsiębiorcom w najtrudniejszym czasie, pomogło – mówił wiceprezes PFR Bartosz Marczyk.

Uczestnicy panelu wspominali atmosferę początku kryzysu i to, że udało się rzeczywiście błyskawicznie uruchomić wsparcie na niespotykaną dotąd skalę. To, co brzmiało wyraźnie w tle wypowiedzi panelistów, to pytanie – co by było, gdyby państwo nie dysponowało instytucją zdolną na szybką reakcję na rynku? PFR obchodzi pięciolecie, ale zaryzykować można stwierdzenie, że chrzest bojowy instytucji grupy rozwoju przeszły w ciągu ostatniego roku.

●
(mac)



PFR – Polski Fundusz Ratunkowy czy instytucja rozwoju?

Z prezesem Polskiego Funduszu Rozwoju Pawłem Borysem, uhonorowanym Nagrodą 30-lecia Forum Ekonomicznego w Karpaczu za „bezprecedensowy sukces PFR w działaniach antykrzysowych podczas pandemii COVID-19 oraz udział w stworzeniu koncepcji grupy PFR – nowoczesnego instrumentu aktywnej polityki gospodarczej rządu”, o pięciu latach działalności Funduszu i planach tej instytucji rozmawia Maciej Wośko, redaktor naczelny „Gazety Bankowej”

Panie prezesie, chciałoby się też powiedzieć „szanowny jubilat”. Polski Fundusz Rozwoju świętuje pięciolecie. Podczas takiego panelu otwierającego Forum Ekonomiczne w Karpaczu przypomniał pan właśnie czas sprzed pięciu lat. Kiedy nie mieliśmy de facto instytucji skupiającej wszystkie fundusze, agencje zajmujące się tematyką rozwoju i wspierania przedsiębiorczości.

Paweł Borys: W ostatnich pięciu latach udało się zmienić oblicze polskich instytucji rozwojowych, czyli tych, które odpowiadają za dostarczanie usług doradczych i finansowania dla przedsiębiorstw, samorządów czy inwestorów. Realizując tzw. plan Morawieckiego, udało się nam te instytucje unowocześnić, wzmocnić i usprawnić, tworząc tym samym jedną z najbardziej dynamicznych agend rozwojowych w Europie. To też spowodowało, że kiedy przyszła pandemia, byliśmy gotowi szybko i sprawnie działać.

Czy PFR jest w takim razie funduszem ratunkowym czy rozwojowym? Mam wrażenie, że w ciągu ostatniego półtora roku stał się taką instytucją ratunkową.

Przez ostatnie 30 lat nie przechodziliśmy poważnego kryzysu makroekonomicznego. A mamy gospodarkę opartą głównie na mikro i małych,

średnich przedsiębiorstwach, które tworzą najwięcej miejsc pracy. Takie firmy nie są wyposażone w duży kapitał. Kiedy rozpoczynała się pandemia, badania wskazywały, że te firmy mają bufor finansowy na półtora do dwóch miesięcy. Byliśmy przed potężnym zagrożeniem, nie wiedząc jeszcze, jak długo potrwać pandemia i lockdown. Istotne było, aby podjąć szybkie i zdecydowane działania. Cieszę się, że udało się nam zorganizować w ramach tarczy finansowej system, który był w stanie wypłacać subwencje w ciągu 48 godzin. To była nie tylko realna pomoc, ale i poczucie bezpieczeństwa dla setek tysięcy firm oraz milionów pracowników. Na okres pandemii zaangażowaliśmy wszystkie siły w walkę z jej skutkami. Teraz chcemy wspierać ponownie przede wszystkim rozwój gospodarki. Ale ratowanie, które miało swój koszt (zaciągnęliśmy przecież dług na ten proces), to też była pewnego rodzaju inwestycja. Tarcza była inwestycją w ochronę potencjału rozwoju na kolejną dekadę. Żeby nie powielić błędów z kryzysu finansowego w 2008 i 2009 r. Poprzez zbyt wolną i zbyt małą reakcję rządu na kryzys kraje południa Europy popadły w takie problemy, że do dzisiaj tak

naprawdę z nich nie wyszły. Mówimy o straconym pokoleniu. Takie ryzyko też było. Dziś ta inwestycja już się zwraca zarówno jako poczucie bezpieczeństwa socjalnego i ekonomicznego Polaków, zdrowy sektor przedsiębiorstw i skokowa poprawa finansów publicznych, w tym spadający dług publiczny w relacji do PKB.

Widzimy po wynikach gospodarki, że ta szybka reakcja, ale i wyraźny sygnał dla przedsiębiorców – nie jesteście sami – miały ogromne znaczenie.

Tak. Często podkreślam, że w tarczy nie chodziło tylko o pieniądze, ale o zapewnienie poczucia bezpieczeństwa Polakom, w sytuacji kiedy wszyscy bardzo obawiali się o zdrowie, zatrudnienie czy stabilność firmy. Pomoc w ramach tarczy finansowej była bardzo efektywna. Koszt dla finansów publicznych to ok. 1,8 proc. PKB. Ale w sytuacji, w której PKB wzrośnie w tym roku realnie nawet o 5,5 proc. i ponad 10 proc. nominalnie, to tarcza zaczyna się szybko zwracać. Naturalnie poprzez szybki rozwój spłacimy ten dług.

Muszę się przyznać do pewnego błędu. Gdy powstawał Polski Fundusz Rozwoju, pomyślałem: „Kolejna instytucja »czapka«, powstanie logo, wydamy

**pieniądze na marketing... i po sprawie".
Dziś jednak, jak wiele osób, zadaje sobie
pytanie – co by było, gdy PFR nie istniał?**

Trzeba pamiętać, że reformę zapoczątkował premier Mateusz Morawiecki, widząc, iż w wielu krajach na świecie tego typu instytucje sprawnie działają na rzecz lokalnej przedsiębiorczości czy inwestycji. Stworzony został zatem program reform instytucji wspierających przedsiębiorców, w tym Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu, która dziś ma swoje przedstawicielstwa w kilkudziesięciu krajach. Wzmocniony został Bank Gospodarstwa Krajowego. Zupełnie nową ustawę ma KUKĘ zajmujące się ubezpieczaniem kontraktów handlowych. Tu nie chodzi o to, by mieć mocarstwowe ambicje, ale zapewnić w Polsce dostęp do takich samych instrumentów, na jakie mogą liczyć firmy w Niemczech czy we Francji. Jak się też okazało w sytuacjach kryzysowych, takie sprawne instytucje są bardzo potrzebne. Teraz musimy się skoncentrować na głównych wyzwaniach, które stoją przed Polską, czyli sfinansowaniu transformacji energetycznej, rozwoju infrastruktury czy przyspieszeniu transformacji technologicznej.

To wszystko inwestycje, bo widzimy, że nie mamy problemu z popytem czy eksportem. Wyzwaniem są inwestycje i tu otwiera się pole dla PFR. Choćby inwestycja długoterminowa w DCT Gdańsk – mamy nadzieję, że nie tylko utrzymamy pierwsze miejsce wśród portów przeladunkowych na Bałtyku, ale i będziemy walczyć o więcej.

DCT jest dobrym przykładem bardzo dużej inwestycji. PFR zrealizował projekty na 28 mld zł w ostatnich latach. Sam DCT to program na 5 mld zł. Proszę zwrócić uwagę, że Polska nie miała tzw. portu głębokowodnego, do którego mogły wpływać największe statki na świecie. One wpływały np. do portu w Hamburgu i stamtąd towary były rozwożone mniejszymi statkami, tirami lub pociągami. Polskie firmy miały też trudniejszy dostęp, jeżeli chodzi o szybki transport i dotarcie do

portu. Traciliśmy także, jeżeli chodzi o cła i inne usługi towarzyszące. Powstał DCT i w ciągu ostatnich trzech lat port uzyskał pozycję numer jeden na Bałtyku. Ogłosiliśmy niedawno plan podwojenia mocy przeładunkowych. Mamy szansę na największy hub kontenerowy na Bałtyku oraz w pierwszej dziesiątce europejskiej. To też pokazuje potencjał, gdy dyskutujemy o Centralnym Porcie Komunikacyjnym.

Co więcej, port jest początkiem pewnej osi budowanej również przy udziale Banku Gospodarstwa Krajowego. Myślę o Trójmorzu. To jest nowy kierunek dla Europy Północ-Południe. Nowy, bo przez wiele lat był pomijany. Próbowaliśmy zmienić tę optykę z pozostałymi krajami Trójmorza.

Cała infrastruktura transportowo-logistyczna w naszym regionie była zbudowana w kierunkach wschód-zachód. Podobnie w Polsce. W naszym interesie leży, byśmy byli silnym hubem logistycznym. Port jest do tego kluczowy, bo mamy duży zasięg: aż po Ukrainę czy Węgry. Drugi projekt, który jest transformacyjny dla Polski, to CPK. Nie chodzi nawet o lotnisko, ale same połączenia kolejowe, by infrastrukturę logistyczną, transportową wyraźnie wzmocnić.

Stąd CPK, które łączy wszystkie środki transportu. Pięciolecie PFR to dobry moment na wspomnienia i podsumowania. Ale ja chciałbym też namówić pana prezesa na dwa zdania o przyszłości, wskazanie takiego największego wyzwania i szansy dla PFR na kolejne pięć lat.

Widzimy to w trzech obszarach. Pierwszy – dalej chcemy upowszechniać programy emerytalne w postaci PPK. Mamy już blisko 3 mln osób, które uczestniczą w konsekwentnym oszczędzaniu na przyszłość i co roku podwajają swoje oszczędności. To jest wzmocnienie długoterminowego bezpieczeństwa finansowego Polaków. Długoterminowe oszczędności to lokalny kapitał, który wzmacnia też fundamenty gospodarki. Wiedzieliśmy, że nie będzie łatwo po historii

OFE, ale wykonaliśmy milowy krok naprzód. Drugi obszar to transformacja energetyczna. Mamy tutaj olbrzymie inwestycje do sfinansowania idące blisko w 300 mld zł. To gigantyczne projekty, jak offshore, ale też mniejsze, jak przekształcanie bloków węglowych w gazowe w ciepłowniach. Energetyka odnawialna oparta na energii słonecznej czy wiatrowej... I trzeci obszar to inwestycje, innowacje i cyfryzacja, czy szeroko rozumiane unowocześnianie polskiej gospodarki. To takie inicjatywy jak Chmura Krajowa, platforma ponad już 40 funduszy inwestowania w młode firmy. Tych aktywności jest znacznie więcej, ale to priorytety.

Ostatnie pytanie – pokonaliśmy pandemię czy po prostu nauczyliśmy się żyć w warunkach pandemicznych?

Pandemia na pewno pozostanie w głowie większości osób jako trudne traumatyczne przeżycie. Obyśmy o tym szybko zapomnieli. Ale pamiętamy, jak zagrożeni się czuliśmy rok temu. To było przede wszystkim zagrożenie zdrowotne i ekonomiczne. Chodzi o utratę pracy, firmy, utratę dorobku życia i wydaje mi się, że dzięki sprawnym działaniom podjętym przez rząd i naprawdę ciężkiej pracy wielu osób i instytucji przeszliśmy przez to możliwie suchą stopą. W sensie ekonomicznym pokonaliśmy te wyzwania, które przyniosła pandemia. Wydaje mi się, że czwarta i ewentualnie kolejne fale nie spowodują już takich negatywnych konsekwencji dla gospodarki. Bo firmy mają duże bufory płynnościowe i się do tego dostosowały. Najgorzej było na początku, gdy był to dla wszystkich szok. Nikt nie był na to przygotowany. Może sytuacja zdrowotna nie jest pewna, bo ten wirus mutuje. Ale jeżeli nie będzie znacznego wzrostu liczby hospitalizacji i śmiertelności, to nie będzie argumentów za zamykaniem sektorów gospodarki. Uważam, że przed nami silne wyniki w ciągu najbliższych dwóch lat, gdzie ponownie motorem wzrostu staną się inwestycje. ●

Finansowy ekosystem przyszłości w kierunku zrównoważonego wzrostu

Na XXX Forum Ekonomicznym w Karpaczu, które odbywało się pod hasłem „Europa w poszukiwaniu przywództwa”, poruszano m.in. tematy dotyczące perspektyw polskiej gospodarki. Jedną z ważnych kwestii było pytanie o to, czy skala działalności jest siłą czy słabością w czasach bezprecedensowego tempa przemian. O tej kwestii dyskutowali uczestnicy panelu „Finansowy ekosystem przyszłości: w kierunku zrównoważonego wzrostu”. Udział wzięli przedstawiciele trzech firm, które tworzą jeden konglomerat finansowy: PZU, Banku Pekao i Alior Banku



Tomasz Kulik, członek zarządu PZU i dyrektor finansowy grupy

Fot. Sebastian Maliszewski

Otym, jak kwestia skali wygląda z perspektywy lidera branży ubezpieczeń, mówił Tomasz Kulik, członek zarządu PZU i dyrektor finansowy grupy:

- Grupa PZU to bardzo duży organizm, konglomerat finansowy, czyli przedsiębiorstwo łączące więcej niż jeden rodzaj działalności
- jedyny polski wśród 65 konglomeratów w Unii Europejskiej. Świadczymy usługi z zakresu ubezpieczeń, bankowości, ochrony zdrowia, zarządzania aktywami. To zwiększa stabilność grupy, bo poszerza źródła dochodu, ale jednocześnie jest wyzwaniem, bo trzeba skonsolidować te wszystkie rodzaje działalności wokół jednego celu – tłumaczył Kulik.

Zdaniem dyrektora finansowego PZU dywersyfikacja działalności i synergia wewnątrz grupy pozwoliły PZU wypracować w pierwszej połowie br. bardzo dobre wyniki. Zysk wyniósł 1,7 mld zł, niemal sześciokrotnie więcej niż w podobnym okresie 2020 r. i więcej niż w tym samym okresie w poprzednich sześciu latach.

- Dzięki temu, że jesteśmy coraz bardziej urozmaiceni, możemy nawet na trudnym rynku pokazywać kwartał w kwartał dobre wyniki – wskazywał przedstawiciel PZU.

Według Kulika jedną z zalet związanych ze skalą działania Grupy PZU są duże możliwości inwestycyjne – przeznaczenie na ten cel już 0,5 proc. przychodów rocznie oznacza w praktyce 120 mln zł.

- To jest skala inwestycji dla wielu konkurentów nieosiągalna. Dzięki temu nie tylko jesteśmy w stanie odpowiadać na

bieżące wyzwania, lecz także na przyszłe potrzeby naszych klientów – wskazywał członek zarządu PZU.

Iwona Duda, prezes Alior Banku, zwróciła uwagę, że dziś klienci oczekują coraz szerszej oferty i personalizacji.

- To jest osiągalne tylko przy bardzo szerokiej ofercie usług, co jest szansą dla grup finansowych. Każda ze spółek należących do grupy może dać to, co ma najlepszego – powiedziała.

Dodała, że dla grupy istotne jest też to, że Alior i Pekao z sobą konkurują, dzięki czemu zachowują czujność, dynamizm i innowacyjność.

- Przynależność do grupy ułatwia budowanie synergii, choćby poprzez to, że my oferujemy ubezpieczenia PZU klientom bankowym, a PZU nasze usługi bankowe klientom ubezpieczeniowym. To pozwala nam także budować trwalszą i bardziej intensywną relację z klientem, który otrzymuje kompleksową ofertę w jednym miejscu – wskazywał Leszek Skiba, prezes Banku Pekao. - Jako Grupa PZU staramy się tworzyć model, w którym nie jesteśmy sumą części składowych, tylko czymś więcej. Musimy stale wyprzedzać oczekiwania klientów, zastanawiać się, czego będą potrzebowali. Chcemy otoczyć klienta jak najszerszą ofertą usług, które do siebie pasują i są mu rzeczywiście potrzebne. To nie ma być sklep z mydłem i powiedziałem, tylko spójna platforma, gdzie klient otrzymuje kompletny ekosystem produktów i usług pod jednym dachem PZU – podsumował dyr. Kulik.

●
(AC)

Większa świadomość klientów wyzwaniem dla ubezpieczycieli.

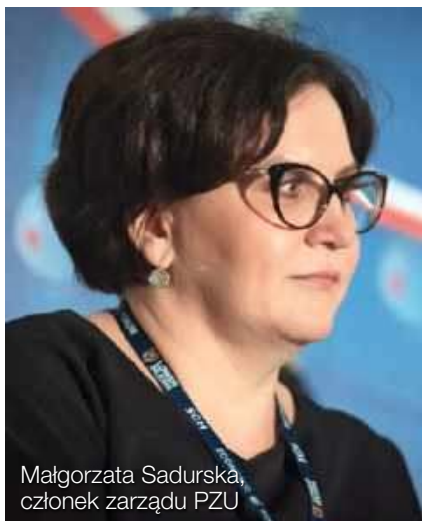
Perspektywy dla branży ubezpieczeń w roku 2021

XXX Forum Ekonomiczne w Karpaczu odbywało się pod hasłem „Europa w poszukiwaniu przywództwa”. W czasie licznych debat eksperci rozmawiali o przyszłości polskiej gospodarki, w tym także branży ubezpieczeń. Paneliści debatujący o perspektywach dla branży ubezpieczeń w 2021 r. byli zgodni, że choć sprzedaż polis w Polsce rośnie, to wciąż mamy duży dystans do państw Europy Zachodniej. Zauważalny jest także wzrost zapotrzebowania na ubezpieczenia zdrowotne

Jak podkreśliła Małgorzata Sadurska, członek zarządu PZU, pandemia zmieniła model pracy ubezpieczycieli i zwiększyła świadomość ubezpieczeniową klientów. Przedstawicielka ubezpieczeniowego potentata wykazywała, że pomimo relatywnie trudniejszej sytuacji wielu polskich rodzin Polacy generalnie nie rezygnowali z ochrony ubezpieczeniowej. Dostrzegli wartość ubezpieczeń jako środka zapewnienia bezpieczeństwa finansowego i zdrowotnego sobie, rodzinie, w przypadku firm także pracownikom i swojemu biznesowi.

– Jednak gdy porównać rynki polski z europejskim, widać, że dużo jest jeszcze do zrobienia. Polska znajduje się na 14. miejscu, jeśli chodzi o wielkość rynku ubezpieczeniowego. Na przykład w podobnej pod wieloma względami Hiszpanii zbierana co roku składka ubezpieczeniowa jest ponadczterokrotnie wyższa. To pokazuje potencjał, jaki jeszcze mamy. Potrzebna jest praca wszystkich ubezpieczycieli na rzecz budowania świadomości ubezpieczeniowej wśród Polaków – od najmłodszego wieku – oceniła Małgorzata Sadurska.

Z punktu widzenia zakładów ubezpieczeń sytuacja na rynku dotkniętym pandemią zaczęła się normalować szybciej, niż można było początkowo sądzić. – Pokazują to m.in. wyniki PZU w pierwszej połowie tego roku,



Małgorzata Sadurska,
członek zarządu PZU

kiedy przypis składki brutto wyniósł rekordowe dla tego okresu 12,3 mld zł, a sprzedaż polis rosla zarówno w obszarze ubezpieczeń majątkowych, jak i życiowych – mówiła Sadurska.

Jan Grzegorz Prądyński, prezes Polskiej Izby Ubezpieczeń, dodawał, że w pandemii zwiększyły się obawy Polaków, którzy mają większy strach przed śmiercią i chorobą osoby najbliższej, większy lęk przed brakiem pieniędzy na leczenie poważnej choroby.

– Obawy te są takie same bez względu na wiek, płeć i miejsce zamieszkania. Dlatego rośnie sprzedaż polis na życie i ubezpieczeń zdrowotnych. Odbija też sprzedaż ubezpieczeń komunikacyjnych, które wracają po pandemicznych spad-

kach do poprzednich poziomów – mówił Prądyński.

Przedstawicielka zarządu PZU wskazywała, że dużą szansą rozwoju dla rynku jest sprzedaż ubezpieczeń w innych, zewnętrznych kanałach, np. poprzez banki.

– Dzięki rozwijaniu współpracy w Grupie PZU, którą poza nami tworzą banki Pekao i Alior, jesteśmy w stanie oferować w bankowej sieci dystrybucji wiele wspólnych, łączonych usług, a także samodzielne produkty ubezpieczeniowe. Dziś już co piąty klient Pekao i Aliora zaciągający pożyczkę gotówkową lub kredyt ma ubezpieczenie PZU. Tylko w pierwszym półroczu tego roku współpraca z tymi bankami przyniosła nam niemal 700 mln zł składki ubezpieczeniowej, czyli ponaddwukrotnie więcej rok do roku. Wierzę w rozwój bancassurance i widzę ogromną przyszłość przed tym segmentem – dodawała Sadurska.

Uczestnicy dyskusji zwracali też uwagę na to, że pandemia przyspieszyła cyfryzację zakładów ubezpieczeń. – Błyskawicznie przeszliśmy na system pracy zdalnej, rozwinęliśmy też narzędzia do sprzedaży i obsługi polis online. Ale jednocześnie w żaden sposób nie ograniczyliśmy bezpośredniego kontaktu z klientami w oddziałach, poprzez agentów. Rola sprzedaży przez internet będzie na pewno rosła, ale w branży ubezpieczeniowej ten kanał nie stanie się dominujący ani podstawowy – przewidywała Małgorzata Sadurska.

Szara strefa gier i zakładów – wojna jeszcze niewygrana

Skuteczne, a nie z dykty, państwo można poznać m.in. po wzroście lub regresie tzw. szarej strefy. Patrząc przez ten pryzmat, nawet krytycy obecnego rządu muszą przyznać, że zmiana w tym zakresie jest duża i znacząca. W prostych słowach: wzięto się za nielegalny biznes i widać tego efekty. Także w branży gier hazardowych

Od 2016 r. Pakiet Paliwowo, Jednolity Plik Kontrolny, STIR, te wszystkie narzędzia bardzo skutecznie pozwalają również w czasie pandemii walczyć z nieprawidłowościami i szarą strefą. Zjawiska uciekania i skłonności do nadużyć się pojawiają, ale w obszarze walki z luką VAT w 2020 r. udało się nam tę lukę jeszcze zmniejszyć. Analiza JPK i STIR daje nam bardzo dobre efekty kontrolne, przede wszystkim nie przeszkadzając przedsiębiorcom. Kolejne narzędzia to e-faktura, której pilotaż niedługo wprowadzimy. Analiza big data i sztuczna inteligencja to ten kierunek technologii, dzięki któremu będziemy dalej wygrywać z szarą strefą – oceniła podczas panelu o walce z szarą strefą na tegorocznym Forum Ekonomicznym w Karpaczu Magdalena Rzeczkowska, sekretarz stanu w Ministerstwie Finansów i szefowa Krajowej Administracji Skarbowej.

Bazą do prowadzonych rozważań o szarej strefie, szczególnie w branży gier hazardowych, był raport H2 Gambling Capital, renomowanej międzynarodowej firmy badającej rynek hazardowy na całym świecie, z którego jasno wynika, jak istotne znaczenie dla państwa polskiego i bezpieczeństwa graczy miała nowelizacja ustawy o grach hazardowych, przeprowadzona w 2016 r. Dzięki ustawie udało się ograniczyć bowiem szarą strefę z ok. 80 proc. w 2016 do 25 proc. wartości całego rynku gier na pieniądze w internecie w 2020 r.

Działania KAS oraz skuteczne zmiany w prawie pochwalił również prezes Totalizatora Sportowego. W szczególności wskazał, że skuteczne przepisy, ale – z perspektywy jego branży – najlepsze produkty oraz edukacja są kluczowe w walce z szarą strefą.

– Spadek skali szarej strefy w grach hazardowych to efekt nowelizacji ustawy z 2016 r. oraz skutecznej pracy Krajowej Administracji Skarbowej – ocenił Olgierd Cieślik, prezes Totalizatora Sportowego.

Jednocześnie zwrócił uwagę na to, że ze względu na pandemiczne restrykcje zdecydowano się na zamknięcie sieci legalnych, stacjonarnych salonów gier, co automatycznie spowodowało wzrost liczby punktów działających niezgodnie z prawem. Coraz większym problemem są witryny podszywające się pod legalne internetowe kasyna. Do tego reklamują się

jak chcą i bez konsekwencji. Brak weryfikacji np. przez Google oraz firmy płatnicze autentyczności i legalności wykorzystania ich platform oraz znaków towarowych w reklamach i na stronach internetowych prezes Totalizatora uznał za rzecz obecnie sprzyjającą rozwojowi szarej strefy w hazardzie. Tak działające nielegalne witryny potrafiły się wysoko pozycjonować. Dodatkowo takie witryny uwiarygodniały swoje działania, wklejając logotypy VISA i Mastercard przy wyborze metody płatności, choć w żaden sposób takie płatności nie były na nich możliwe. Ludzie nawet nie zdają sobie sprawy, że padają ofiarami przestępców. Prezes wskazał na potrzebę edukacji, jednak ona sama bez skutecznego ścigania oszustów nie wystarczy. Dlatego prognozy H2GC na kolejne lata mówią o tym, że potencjał, jaki dała nowelizacja ustawy o grach hazardowych z 2016 r. w walce z szarą strefą, jest właściwie na wyczerpaniu. Innymi słowy – bez rozszerzenia katalogu narzędzi, jakimi będą mogli dysponować legalni operatorzy, trudno im będzie nadal zmniejszać udział podmiotów nielegalnych w naszym rynku.

– Tych elementów, na które musimy zwrócić uwagę, rozmawiając o szarej strefie, jest wiele. Najważniejszym są płatności. W myśl zasady „no pay, no play”, aby ograniczyć możliwość zasilania kont dla nielegalnych graczy i zapewnić ich danym bezpieczeństwo, należy podjąć zdecydowane działania we współpracy z branżą finansową. Drugą kwestią to walka z nadal istniejącą reklamą nielegalnych operatorów. To walka nierównych szans, ponieważ Totalizator nie ma nie tylko możliwości reklamowania się, ale nawet informowania o swojej działalności w zakresie kasyna online i salonów gier na automatach. Szara strefa nie ma takiego ogranicznika – ocenił Olgierd Cieślik, prezes Totalizatora Sportowego.

Prognozy wskazują, że przy założeniu niezmiennych warunków regulacyjnych przychody z legalnych źródeł będą w kolejnych latach rosły szybciej niż przychody nielegalnych operatorów. Szara strefa nadal może jednak liczyć na korzyści rzędu kilkuset milionów złotych rocznie i dużą bazę klientów w Polsce (ok. mln osób). W przypadku umożliwienia monopolistę prowadzenia ograniczonej działalności komunikacyjnej związanej z jedynym legalnym kasynem online szara strefa będzie nadal ograniczana, a udział legalnego biznesu w całości „hazardowego tortu” nadal będzie rósł dynamicznie. ●

Cel? „Osiągnięcie neutralności emisyjnej do 2050 r. i poprawa bezpieczeństwa energetycznego Polski”. Europa Środkowo-Wschodnia wobec szans i wyzwań transformacji energetycznej

W czasie XXX Forum Ekonomicznego w Karpaczu, które odbywało się pod hasłem „Europa w poszukiwaniu przywództwa”, spotkało się ponad 3 tys. osób, w tym przedstawiciele polskiego rządu i goście z zagranicy. Jednym z ważnych tematów poruszanych na Forum były kwestie związane z zieloną energią i wyzwaniami, które czekają Europę Środkowo-Wschodnią w związku z transformacją energetyczną. Debatowano o tym m.in. w czasie panelu, który zorganizował PKN Orlen

Podczas panelu eksperci rozmawiali o wielu zmianach, które czekają Polskę i resztę Europy Środkowo-Wschodniej.

Jan Szewczak, członek zarządu PKN Orlen ds. finansowych, przypomniał, że wyzwaniem transformacji energetycznej jest m.in. zapewnienie spółkom produkującym energię odpowiednich dochodów, przy równoczesnym zapewnieniu dostępu do stabilnych cen energii dla odbiorców.

– Równie ważne jest niedopuszczenie do wykluczenia energetycznego przy jednoczesnym zapewnieniu bezpieczeństwa energetycznego kraju – przypomniał Szewczak.

Członek zarządu PKN Orlen dodawał, że to wyzwania transformacji są jednym z powodów, dla których Orlen realizuje duże inwestycje, warte miliardy złotych.

– Odpowiedzią PKN Orlen na zmieniające się trendy są inwestycje w zero- i niskoemisyjne źródła wytwarzania, m.in. huby wodorowe, czy przygotowywana inwestycja w morskie farmy wiatrowe – opowiadał Szewczak.

Przedstawiciel Orlenu przypominał także o współpracy PKN Orlen i Synthosu, która ma ułatwić rozwój i wdrożenie zeroemisyjnych technologii jądrowych MMR i SMR.

– Realizacja tego celu wpisuje się w strategiczny cel koncernu, jakim jest osiągnięcie neutralności emisyjnej do 2050 r., i zapewni poprawę bezpieczeństwa energetycznego Polski – podsumowywał Szewczak.

Przypomnijmy, dzięki rozpoczętej w czerwcu br. współpracy Orlen uzyska dostęp do technologii i doświadczeń w zakresie małych reaktorów modułowych, a Grupa Synthos pozyska silnego partnera do rozwoju małych elektrowni atomowych w Polsce. Zgodnie z zapisami porozumienia obie firmy wspólnie podejmą się m.in. badań, sprawdzenia możliwości i zastosowania technologii SMR w należących do Grupy Orlen zakładach produkcyjnych w Polsce.

W czasie zorganizowanego przez Orlen panelu o wyzwaniach dotyczących transformacji energetycznej mówili także przedstawiciel PGNiG i Urzędu Regulacji Energetyki.

Zdaniem Pawła Majewskiego, prezesa zarządu PGNiG, najszybszą, najskuteczniejszą metodą „zazielenienia” gazu ziemnego jako paliwa przejściowego w najbliższym czasie będzie raczej biometan niż wódór.



Według prezesa PGNiG technologie wodorowe wymagają jeszcze dopracowania.

– Będzie to wysiłek nie tylko po stronie przedsiębiorstw, które będą te technologie wdrażać, lecz także wysiłek legislacyjny. Przypomnę, że jeszcze nie mamy regulacji dotyczących tego rynku ani na poziomie krajowym, ani unijnym – mówił Majewski.

Brak stosownego prawa sprawia, iż na razie brakuje dużych inwestycji związanych z paliwem wodorowym.

– Technologia sprawdzoną, funkcjonującą w wielu krajach, jest za to biometan wytworzony na bazie biogazu. PGNiG razem z Orlen Południe, należącym do Grupy Orlen, tworzą właśnie spółkę joint venture. Celem tego przedsięwzięcia jest rozwinięcie rynku biometanu w Polsce przy wykorzystaniu modelu franczyzowego – dodawał szef PGNiG.

Głos w czasie panelu zabrał także Rafał Gawin, prezes Urzędu Regulacji Energetyki, który zauważył, że nie jest tajemnicą, iż źródła odnawialne opierają się na nowoczesnych technologiach:

– Kluczem jest to, żeby infrastruktura sieciowa nadążała za transformacją energetyczną. Co trzeba zrobić, żeby sprzyjać rozwojowi infrastruktury energetycznej? Z pewnością inwestować w nowoczesne sieci przesyłowe – podkreślił Rafał Gawin.



Plusy i minusy

- + nowoczesny gadżet dla ludzi lubiących... gadżety
- nie każdy potrzebuje

Hit tygodnia

Samsung Galaxy Watch4

Samsung zaprezentował urządzenia Galaxy Watch4 i Galaxy Watch4 Classic. To pierwsze smartwatche oferujące Wear OS Powered by Samsung – nowy autorski system stworzony wspólnie z Google'em, jak również One UI Watch – zdaniem producenta najbardziej intuicyjny interfejs użytkownika, jaki opracował dotychczas Samsung. Galaxy Watch4 wyposażono w czujnik BioActive, który pozwala dokonywać niezwykle precyzyjnych pomiarów. To nowe rozwiązanie typu „3w1” za pomocą tylko jednego chipsetu obsługuje trzy czujniki: optyczny czujnik tętna, elektryczny czujnik serca oraz czujnik dokonujący analizy impedancji bioelektrycznej. W efekcie użytkownicy mogą monitorować swoje ciśnienie krwi, wykryć nieregularny rytm serca, skontrolować poziom tlenu we krwi, a także zmierzyć skład ciała. Seria Galaxy Watch4 to także pierwsza generacja smartwatchy wyposażona w Wear OS Powered by Samsung – nowy system operacyjny optymalizujący obsługę zegarków. Rozwiązanie to sprawia, że użytkownik z poziomu nadgarstka otrzymuje dostęp do aplikacji Google, takich jak Mapy Google czy Google Pay. Nowa platforma obsługuje również aplikacje innych firm, m.in. Adidas Running, Calm, Strava i Spotify dostępne w Google Play. Galaxy Watch4 jest dostępny w rozmiarze 40 mm i 44 mm, a Galaxy Watch4 Classic – 42 mm i 46 mm. Ceny, w zależności od modelu, zaczynają się od 1169 zł.

Premiera

OPPO Reno6 5G i OPPO Reno6 Pro 5G

Firma OPPO zaprezentowała najnowsze smartfony z serii Reno6. W Polsce dostępne są dwa modele: OPPO Reno6 Pro 5G i OPPO Reno6 5G. OPPO Reno6 Pro 5G został wyposażony w poczwórną kamerę 50 MP i przedni aparat 32 MP, model OPPO Reno6 5G ma zaś na wyposażeniu potrójną kamerę 64 MP z czujnikiem temperatury barw i przedni aparat 32 MP.

OPPO Reno6 Pro 5G zaopatrzono w 6,55-calowy, zakrzywiony wyświetlacz 3D AMOLED, z kolei OPPO Reno6 5G w 6,43-calowy ekran AMOLED. Reno6 Pro 5G jest wyposażony w procesor Qualcomm Snapdragon 870, dysponuje 12 GB pamięci RAM i 256 GB pamięci masowej. Reno6 Pro 5G ma baterię 4500mAh. Z kolei OPPO Reno6 5G jest wyposażony w układ MediaTek Dimensity 900, zintegrowany z 5G. Telefon dysponuje 8 GB pamięci RAM i 128 GB pamięci masowej. Telefon ma baterię 4300 mAh. Sugerowana cena OPPO Reno6 Pro 5G – 3699zł, a OPPO Reno6 5G – 2499zł.

Premiera



Fujifilm GFX 50S II

Japońska firma Fujifilm zaprezentowała drugą wersję jednego ze swoich średnioformatowych bezlusterkowców. Dlaczego ten aparat zasługuje na więcej niż wzmiankę? Pomijając kwestię ceny, która wbrew pozorom wcale nie jest wysoka jak za tej klasy sprzęt, to oferuje ogromne możliwości fotograficzne, przede wszystkim ze względu na matrycę, która ma 51,4 Mpix, rozmiar 43,8 x 32,9 mm i jest 1,7 razy większa od matrycy pełnoklatkowej. Matryca ma również 5-osiową stabilizację na poziomie 6,5 EV, co znacznie ułatwia fotografowanie z ręki, gdyż sam korpus waży niecały kilogram, a do tego trzeba jeszcze dodać wagę obiektywu. A tych jest całkiem sporo, i to bardzo dobrych, gdyż, co trzeba uczciwie oddać Fujifilmowi, ich produkty są naprawdę dobrej jakości.

Cena: 3999,95 dol.

Przygotował Paweł Gadaczek



Porsche Mission R – elektryczna przyszłość

Porsche to marka dla ludzi, którzy spełniają swoje marzenia – mówi Oliver Blume, prezes zarządu Porsche AG. – Teraz robimy kolejny duży krok naprzód w dziedzinie elektromobilności. Konceptyjne studium przedstawia naszą wizję całkowicie elektrycznego sportu motorowego dla klientów. Mission R ucieleśnia wszystko, co decyduje o mocnej pozycji Porsche: osiągi, design oraz zrównoważony rozwój. Mission R to najnowszy koncept elektrycznego auta marki Porsche. Mission R ma napęd na wszystkie koła, który w trybie kwalifikacyjnym dysponuje mocą prawie 1100 KM. Efekt: przyspieszenie od 0 do 100 km/h w ciągu mniej niż 2,5 s. Prędkość maksymalna ponad 300 km/h. Dzięki nowym silnikom elektrycznym i ogniowom akumulatorów w trybie wyścigowym Mission R wytwarza stałą moc 500 kW (680 KM). Cóż dodać?



AUTOFOCUS, czyli co warto wiedzieć

Toyota tego roku do złych na pewno nie zaliczy, w każdym razie w Polsce. W sierpniu zarejestrowano ponad 5,2 tys. samochodów osobowych tej marki. Toyota nie tylko jest liderem polskiego rynku, ale w tym roku zmierza do pobicia własnego rekordu sprzed dwóch lat. Marka zarejestrowała od stycznia do sierpnia br. aż 51 716 samochodów osobowych. To najlepszy wynik z pierwszych ośmiu miesięcy roku w historii marki. Wzrost rejestracji aut Toyoty w porównaniu z tym samym okresem 2020 r. wyniósł 43 proc., a udział marki w rynku utrzymuje się na poziomie 16,5 proc. Dominacja Toyoty na polskim rynku znajduje odzwierciedlenie w bardzo wysokich pozycjach poszczególnych modeli w ich segmentach. Zarówno w sierpniu, jak i od początku roku pierwsze miejsca w swoich klasach obok corolli i rav4 zajęły także aygo i toyota C-HR. Yaris był w sierpniu drugim najpopularniejszym miejskim

autem, ale w ujęciu od początku roku utrzymuje pierwsze miejsce. Hybrydowa camry zajęła w sierpniu bardzo dobre trzecie miejsce, a highlander czwarte. Toyota aygo już tradycyjnie odpowiada za połowę rejestracji w segmencie A – w sierpniu było to 53 proc., a licząc od stycznia do sierpnia – 48 proc.

W Polsce pojawiła się nowa marka samochodów elektrycznych. Pierwszy model to EV Seres 3, który może zainteresować polskich kierowców ze względu na wysokiej jakości komponenty, atrakcyjny wygląd oraz przystępną cenę. Samochód wyposażony jest w akumulator o pojemności 53 kWh i silnik o mocy 162 KM. Według NEDC (New European Driving Cycle) maksymalny zasięg wynosi nawet 405 km, natomiast podczas jazdy w trybie komfortowym ok. 329 km, co zapewnia możliwość pokonywania dłuższych dystansów na jednym łado-

waniu. Samochód obsługuje szybkie ładowanie, które umożliwia uzupełnienie energii od 20 do 80 proc. w ciągu 30 min. Normalny czas ładowania wynosi osiem godzin (6,6 kW). – W pełni elektryczny, dynamiczny samochód Seres 3 w Polsce będzie kosztował 37 tys. euro. Samochody objęte są pięcioletnią gwarancją, natomiast akumulatory ośmioletnią (lub do 120 tys. km). Wszystkich, którzy chcą wypróbować nowe auto, Busnex zaprasza do rejestracji na jazdy próbne przez platformę www.evmotors.eu. Jazdy próbne odbędą się w Warszawie, we Wrocławiu i Łodzi – mówi Simonas Ramanauskas, prezes firmy Busnex. Seres 3 pojawił się na rynku europejskim w czwartym kwartale 2020 r. Samochód trafił na rynki: norweski, niemiecki, hiszpański, holenderski i włoski, a w br. został wprowadzony na rynki litewski i estoński.

Przygotował Paweł Gadaczek

Naleśniki z porwiętami popijane świeżym mlekiem

Czy jestem w życiu bardziej smakoszem, czy wędrowcem? Dla mnie to się łączy. Kiedy dokądś jadę, zwłaszcza na dłużej, ale też kiedy przemieszczam się z miejsca na miejsce na krótko, lubię poznawać smaki rejonów, do których trafia. To również część podróży.

Urodziłem się w Warszawie, ale wychowałem w okolicach Przasnysza. Do 18. roku życia tam mieszałem, potem przeniosłem się na dobre do Warszawy, ale bardzo ciepło wspominam region, w którym dorastałem. I piękną wieś. W tym malowniczym mazowieckim, sytym wydaniu. Piękne okoliczności przyrody i spokój, który potem bardzo pomaga w rozkrzyczanym show-biznesie. I oczywiście ludzi... Jest dokąd uciekać i do czego wracać.

Jeśli chodzi o smaki, które kojarzą mi się z Przasnyszem, to nic nie przebijie dań mojej mamy. Kiedyś zaprosiłbym jeszcze na obiad babci, ale nie mają już wśród nas. Mama przejęła po babci tradycyjne polskie przepisy. Kiedy wracam do rodzinnego domu, czasem czeka na mnie rosół, czasem kaczka, gołąbki albo mielone kotlety... I wszystko wymienione.

Supersmak z dzieciństwa? Naleśniki mojej babci. Oczywiście z dżemem, a raczej porwiętami śliwkowymi własnej roboty. Popijane świeżym mlekiem.

W swoich dorosłych podróżach najdalej dotarłem do Indii. To była raptem tygodniowa wyprawa, czy właściwie wizyta, ale wystarczyła, żeby doświadczyć, jak wiele jest tam kontrastów. W każdej sferze życia. Jeśli chodzi o dania, to kuchnia hinduska oferuje albo bardzo pikantne, albo mocno słodkie potrawy. Ja lubię raczej wyważone w smaku.

W tym roku udało mi się wyjechać na chwilę do Grecji, na Santorini. Tam odkryłem, jak mogą smakować owoce morza. Świeże, przygotowane tuż po dostarczeniu, i jedzone w miejscach urokliwych, ciepłych, kojarzących się z wypoczynkiem i relaksem. Tego nie da się odtworzyć w Polsce. Bardzo dobrze wspominam też Maltę.

Moje kolejne podróżnicze plany? Od jakiegoś czasu marzy mi się zmiana kierunku. Postanowiłem wybrać się na północ. Chciałbym poznać Skandynawię, a zwłaszcza Norwegię, zobaczyć fiordy, białe noce, zorzę polarną... Mam nadzieję, że pandemia odpuści i pozwoli nam poznać jeszcze wiele atrakcyjnych miejsc, powiedzieć trochę świata, który jest naprawdę piękny.

Notowała **Jolanta Gajda-Zadworna**



Kto mi zjadł mój melon

ANNA MONICKA

Króćcówka lata to u mnie zazwyczaj faza dyniowo-kabaczkowo-melonowa. W tym roku jednak zdecydowanie bardziej potrzebuję słodczy, przynajmniej na razie. Zrobiłam się wyczulona na smaki i zapachy tych najbardziej soczystych i smakowitych owoców. To chyba jakaś tęsknota za latem, które, zamiast wszystkich rozleniwień, dało w kość nieobliczalną pogodę. Poza tym zdecydowanie za szybko przeszło w jesień. Na szczęście można je powspominać, siedząc przy stole i zającąc południowe owoce. I, jeszcze raz na szczęście, w tym roku pierwszy raz jadłam kantalupę wyhodowaną po sąsiedzku, u zaprzyjaźnionego rolnika. Wielkością może nie oszalałam, za to smak miała wybitny, kwiatowo-miodowy, a sok dosłownie ciekł nam po brodach.

Melon to jeden z najzdrowszych owoców, karotenoidów ma 30 razy więcej od pomarańczy, zawiera też składniki, które zapobiegają odkładaniu blaszki miażdżycowej i regulują ciśnienie. Ma mnóstwo witaminy B, tak potrzebnej, gdy męczy nas stres albo mamy kłopoty z bezsennością. Ale przecież i tak żaden prawdziwy smakosz nie je melonów z tego powodu, tylko dla smaku. A ten jest na tyle plastyczny, że pasuje i do dań słodkich, i do dań wytrawnych. Pokrojony na paski melon owinięty szynką parmeńską lub inną dojrzewającą wędliną jest jedną z najsmaczniejszych przekąsek. Albo koreczki z kuleczkami małej mozzarelli i orzechem czy sałatka z winogronami i kawałkami pleśniowego sera. Koktajl z melona latem zastępuje chłodziak, a jesienią można go z powodzeniem potraktować jako pełnowartościowe drugie śniadanie.

Ja najbardziej chyba lubię sałatkę z pokrojonego owocu zmieszanego z sałatą rzymską, rukolą, orzechami pekan i podprażonymi piniolami. Jeśli ma być bardziej sycące, można ułożyć wszystko na cieniutkich plasterkach prosciutto crudo. Inny wariant – melon z truskawkami i borówkami amerykańskimi, podkolorowany zielonymi pęczkami roszponki. Na wierzch listki bazylii tajskiej i kilka kropeli sosu balsamicznego i mamy wybitne danie na przyjęcia, zwłaszcza jeśli podamy je w melonowej miseczce. 

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Arrasy i kawa

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Na Wawelu kończy się wystawa arrasów. Najbardziej zaskakującą rzeczą na tych XVI-wiecznych tkaninach są wizerunki kukurydzy. Kolumb odkrył Amerykę w 1492 r. Król Zygmunt August zamówił arras ok. 1550 r. 50 lat zaledwie miała kukurydza, aby dokonać fuzji z jeżynami i dębami szypułkowymi. Pół wieku, aby dokonała się fuzja dwóch kultur: amerykańskiej i europejskiej – czego arras są zadziwiającym przykładem. Kilka dziesięcioleci po odkryciu Kolumba polski zamek posiada już dekoracje, na których pośród pnączy chmielu i w koronach dębów latają papugi amazonki i ary. Projektanci z renesansowych Niderlandów znali już niektórych przedstawicieli flory i fauny Nowego Świata i uznali ich za godne modele do królewskiego zlecenia.

Organizmy z krainy neotropikalnej zapewne miały dla niderlandzkich artystów ważną cechę: łączyły dwa porządki – mitologiczny i realny. Percepcja pojawiających się w Europie artefaktów z Nowego Świata była mocno obciążona wyobrażeniami ukształtowanymi przez mitologię, np. przez mit Złotego Wieku, w którym panowała wielka obfitość i szczęśliwość. Przybywające z Ameryki okazy roślin i zwierząt były niczym cudowności wprost ze strof Homera. Jednocześnie były na wskroś realne. Musiały się znaleźć na arrasach.

Identyczny proces zachodził po drugiej stronie Atlantyku – w inkaskich miastach powstawały renesansowe katedry. Jednym z najciekawszych przykładów opisanego zjawiska jest obraz Marcosa Zapaty „Ostatnia wieczerza”. Zapata był malarzem szkoły kuzkańskiej – od miasta Cuzco w Peru. Żył w XVIII w., a dziełem jego życia są dekoracje katedry w Cuzco. Pośród barokowych form, tematów i rekwizytów iście z Italii wyróżnia się jeden element z dużego płótna przedstawiającego posiłek Chrystusa z uczniami przed Ukrzyżowaniem. Na stole, w miejscu, w którym artyści tradycyjnie odmalowują na półmisku ryby lub pieczywo, znajduje się niecodzienna pieczeń. Naukowcy nie pozostawiają wątpliwości – upieczonym zwierzęciem jest kawa, czyli, jak mówiło się do niedawna, świnka morska. Gryzoń ten, smażony bądź pieczony, to andyjski przysmak. Inkowie udomowili niewiele zwierząt; jeśli chodzi o ssaki, to jedynie lamy oraz świnki morskie. Ten właśnie element kultury Indian zilustrował Zapata, tworząc zaskakujące połączenie dwóch kultur. 



W ŚWIECIE LUSTER



HANNA KARP

W medialnej brei

Senator PO Wadim Tyszkiewicz wyznał z rozbrajającą szczerością podczas debaty w izbie wyższej nad nowelizacją ustawy medialnej, że w jego domu panuje pełen pluralizm medialny. Żona ogląda „Dzień dobry TVN”, a on TVN 24. Poziom dyskusji po stronie opozycji porażał. Media to z pewnością jeden z najbardziej niemożliwych do pojęcia tematów dla polskich parlamentarzystów. Można odnieść wrażenie, że gdyby opozycja mogła wyprzedać na pniu i niemal za darmo ocalałe cudem resztki polskiego rynku mediów, zrobiłaby to natychmiast, ciesząc się z dobrze ubitego interesu.

KTO PIĘKNIEJ SKŁAMIE

A na wojnie informacyjnej jesteśmy od lat. To już stan stały. Już nie zauważamy, jak każdego dnia dosięga nas grad informacyjnych kul. To jest jak powietrze. Oddychamy tym codziennie. Wdychamy jak cyklon B. Daje o sobie znać porannym radiowym jazgotem i belkotem polityków w wieczornych telewizyjnych ramówkach. Przeglądamy gazety, śledzimy internetowe portale i wiemy już z góry, co będzie. Można przewidzieć, co znajdziemy w mediach „prawdziwie wolnych”, takich, co tylko szczerą prawdę podają zawsze i o każdej porze. To najprawdziwsze redakcje, co się tu

osiedliły i postawiły sztyl: POLSKA. Albo mają tzw. kapitał mieszany. Z tych, jak wiadomo – co potwierdza sama Unia Europejska i wszystkie zagraniczne organizacje kontrolujące wolność słowa na świecie – „prawda” płynie całymi strumieniami. Można z nich czerpać jak z krynicy i źródła wody żywej. O czym same mówią, o czym same zapewniają w tasemcowych dzwoniących autoreklamach. Twarze tam są piękne, szczerbioczą szczerą polszczyzną. Nienaganie oświetlone błękitne oczy, policzki i wzorowy zgrzyz, który akcentuje sylaby i głoski jak na egzaminie z dykcji. Mają dobrze skrojone garnitury, modne krawaty i sukienki, okrywające niemal anorektyczne, nieskazitelne ciała. Komunikaty z takich ust są jak małmazja, choćby mówiły skrajne głupstwa, trudno się im oprzeć.

Ważne są też narzędzia, które ułatwiają zgrabniejsze i bezczelniejsze kłamanie. By miało ono wszelkie znamiona wiarygodności. Ostatnio można słyszeć, jak swoje komunikaty rozpoczynają od słów „tu wolne media”. Media jedyne, co mówią prawdę. Tak, żeby widz i słuchacz uwierzył, że prawdziwa prawda jest.

Wprowadzony w błąd odbiorca może podejmować decyzje sprzeczne z jego interesem zarówno jednostkowym, jak i narodowym. Będzie święcie przekonany, że tak właśnie należy czynić.

Dopiero po czasie rozpozna, że został wprowadzony w błąd, którego już nie można naprawić. Bo podjął decyzje nieodwołalne. A są one zgodne wyłącznie z oczekiwaniami środowisk polityczno-medialnych, z którymi się nie utożsamia.

Bywa, że cała dezinformacyjna akcja przeprowadzana jest na podstawie informacji... prawdziwych. Dzieje się tak, kiedy informacje zgodne z prawdą naświetla się lub umieszcza w takim kontekście, że redakcje, którym ufamy, traktują je jako fałszywe. Jeśli spojrzymy w przeszłość na piętrowe dezinformacyjne akcje, które skumulowały się wokół takich tematów jak: „okrągły stół”, lustracja, dekomunizacja, sprawa FOZZ, agentura, w tym na najwyższych szczeblach władzy konstytucyjnej, rozwiązanie Wojskowych Służb Informacyjnych i wiele innych, należy stwierdzić, że w tych sprawach jest wciąż wiele białych plam. Bo dezinformacja wcale nie musi zakrywać prawdy. Wystarczy, jeśli będzie mnożyć wątpliwości i służyć odkrywaniu coraz szerszych możliwych pól interpretacji. Dostarczać przeciwnikowi nowych argumentów, na które jest otwarty i w które ze chce uwierzyć. Opinia publiczna odpowiednio nasycona takimi argumentami zamknięta będzie nawet na oczywiste prawdy i zignoruje je, choćby były niezbite. Ostatni

przykład to choćby to, co działo się jeszcze niedawno przy granicy polsko-białoruskiej w wykonaniu polityków PO wspomaganych przez nadający w Polsce, powielający białoruską narrację, amerykański informacyjny lewicowy kanał telewizyjny.

SKUTKI NISZCZĄCEJ INFORMACJI

Medialne akcje mogą łatwo wprowadzić w błąd społeczeństwo i przez to osłabiać jego instytucje państwowe, podważać demokratycznie ustanowione kręgi rządowe i opiniotwórcze. Wpływać na ich działanie i kreować warunki w kraju przeciwnika. Mogą to być działania legislacyjne rządu dotyczące spraw gospodarki, ekonomii, podatków, instytucji medialnych, organów ścigania czy władzy sądowniczej. Skutkiem działań jest kształtowanie w oczach opinii publicznej takiego postrzegania spraw państwa, które będą się wydawać korzystne, gdy w istocie okazać się mogą dlań niszczące.

Innym skutkiem agresji medialnej jest skłócenie, podzielenie i ustawienie poszczególnych warstw społeczeństwa po skrajnych stronach barykady. Dokonuje się tego także przez przekazywanie informacji, które są prawdziwe, ale tak sformatowane, by kształtować wyłącznie pozytywny obraz określonych postaci czy zdarzeń, które nadawcy medialni skrycie wspierają. Odbiorcy jednak sądzą, że mają do czynienia z przekazem budowanym neutralnie. Przekaz pomija też wszelkie wątpliwości czy niewygodne niejasności wokół liderów politycznych, zdarzeń i wspieranych partii. Tak było w okresie transformacji ustrojowej III RP, z porozumieniami wokół „okrągłego stołu” i ustaleń Czesława Kiszczaka ze sterowaną opozycją w Magdalence. Dokonywano piętrowych dezinformacji na temat pierwszego rządu III RP, kierowanego przez Tadeusza Mazowieckiego, i całej ustrojowej transformacji w latach 90. Żelazna propaganda już nowej RP pracowała także bezwzględnie na rzecz bezalternatywności wstąpienia do Unii Europejskiej.

POD MEDIALNYM OSTRZAŁEM

Do roku 2015 – czasu odzyskania przez Zjednoczoną Prawicę (ZP) mediów publicznych – panował jeden ton i jedna linia wobec polityki prowadzonej przez Platformę Obywatelską. Zarówno w mediach publicznych, jak i komercyjnych. Wołano w redakcjach i na łamach wysokonakładowej prasy: „Wszystkie ręce na pokład”, „Tusku musisz!”. Gdy po odejściu Donalda Tuska na urządniczą posadę w Unii Europejskiej wytworzyła się próżnia polityczna, wobec nowego rządu natychmiast powrócono do dawnej medialnej presji. Chodzi o rodzaj przekazów budowanych w roku 2010, który został określony jako przymysł pogardy i powrócił niemal natych-

Wielkie zagraniczne korporacje medialne bezwzględnie będą zwalczać każdego, kto stanie na drodze realizacji ich biznesów. Warto się pozbyć złudzeń, że głos Polaków tu kogoś interesuje i że ma jakieś znaczenie

miast po katastrofie smoleńskiej wobec wszystkich, którzy kwestionowali rosyjską narrację raportu Tatiany Anodiny.

Od roku 2015, czasu objęcia rządów przez ZP, informacyjna breja płynie nieustannie. Są to strumienie przekazów nieprawdziwych, sfalszowanych, ewidentnie sprofundowanych. Także tendencyjnie przesadzonych. Czarna propaganda ujawnia się ostatnio na przykładzie informacji i radiowo-telewizyjnej publicystyki mediów komercyjnych wobec komunikatów rządowych o strategii Polskiego Ładu. Wcześniej podważano nieustannie reformy ZP, szczególnie informacje związane z 500+.

Obecnie w wielu mediach komercyjnych programy ekonomiczne pomijają

całe partie danych o nowych, korzystnych rozwiązaniach ekonomicznych. Kreują za to obawy wobec nowych przedsięwzięć i negują cele inwestycji gospodarczych. Zapowiadają skrajną inflację, drożyznę, biedę i bezrobocie. Każdego dnia można usłyszeć ekspertów i analityków straszących gospodarczym krachem, niewydolnością gospodarki, społecznym kryzysem. To nic, że realne dane i wskaźniki ekonomiczne przedstawiają coś przeciwnego, a status materialny Polaków rośnie. Bo w tle tych informacji chodzi o ochronę biznesów wielkich zagranicznych korporacji.

W sytuacji, gdy brakuje argumentów, dochodzą ataki personalne, często dehumanizujące polityków czy urzędników strony rządowej lub konstytucyjnych instytucji, którzy nie zachowują się w sposób zgodny z oczekiwaniami wielkich medialnych nadawców. Nakręca się wokół nich spiralę społecznej niechęci i oburzenia. Postaci piastujące konstytucyjne urzędy znajdują się pod stałym medialnym ostrzałem. Ci wykazujący się odwagą i wolą przeciwstawienia się zewnętrznej presji muszą się liczyć z poddaniem medialnemu grillowaniu. Przypomina to często rodzaj osaczenia, poddania presji stałych aktów ośmieszania, odbierania powagi i ostatecznie wyrzucenia poza obszar publicznej debaty. Akcje są bezwzględne, odgrywane wielopoziomowo, synchronicznie w różnych mediach.

Każdy, kto przeszedł przez ten rodzaj medialnej „ścieżki zdrowia”, na pewno jej nie zapomni. Długo się zastanowi, zanim znów zechce trafić do nowego kotła przerabiającego człowieka na medialną breję.

Wielkie zagraniczne korporacje medialne pod hasłami walki o wolność biznesu i gospodarki potrafią wywierać presję na całą scenę polityczno-społeczną, na partie i poszczególnych polityków. Będą zwalczać każdego, kto stanie na drodze realizacji ich biznesów. Warto się pozbyć złudzeń, że głos Polaków tu kogoś interesuje i że ma on jakieś znaczenie.

Autorka jest medioznawcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu

Wrześniowe memento

Zywa jest tradycja wspomnień tamtych dni walki o Polskę. Cytujemy z pamięci wiersze o żołnierzach, którzy „czwórkami do nieba szli”, bili się do końca, do ostatniego naboju, bo dla tamtego pokolenia Polska była największą wartością. Tak byli wychowani – patriotyzm, honor, umiłowanie Ojczyzny traktowali jako naturalne przymioty każdego Polaka.

Od zawsze, jak tylko pamiętam, w moim domu rodzinnym wszyscy wspominali tamten wrzesień 1939 r., każdy miał swoje najważniejsze przeżycia.

Mama była małą dziewczynką, zaczęła piątą klasę, zapamiętała piękny słoneczny dzień, swoje uroczyste ubranie i dramatyczne słowa płaczącej nauczycielki: „Wybuchła wojna, napadli na nas Niemcy, idźcie ostrożnie do domu, nie wiem, kiedy się zobaczymy”.

Ton tym opowieściom nadawał mój ojciec, 15 lat starszy od mamy, kawalerzysta 4 Pułku Strzelców Konnych, na wojnę wyruszył razem z 11 Pułkiem Ułanów, przeszedł cały szlak bojowy, aż na kresy południowo-wschodniej Polski. Opowiadał o walkach z Niemcami, a po 17 września – z Sowietami. Zamyślał się, gdy mówił o strachu przed Ukraińcami, którzy w nocy podcinali gardła koniom, a przecież wtedy w 1939 r. nikt się nie spodziewał, że wkrótce przyjdą te straszne rzezie ukraińskie na Polakach. Zapamiętał dźwięk organów w Leżajsku rozchodzący się hen o świcie i poranne modlitwy za Polskę. Z dumą mówił o wygranych szarżach, o rozpaczliwej walce do końca z nadzieją, że sojusznicy przyjdą na pomoc. A gdy wszyscy zawiedli, bili się o honor, który dla ludzi pokroju mojego ojca był najważniejszy.

„My w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę. Jest jedna tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna. Tą rzeczą jest honor!” – pamiętne słowa ministra Józefa Becka wypowiedziane w Sejmie 5 maja 1939 r. nie były bez pokrycia.

Od dzieciństwa z przejęciem słuchałam opowiadań ojca i jego kolegów pułkowych o kolejnych dniach tamtego pamiętnego września. O tym, jak wyskoczył przez małe okno z pociągu towarowego wiozącego ich do niewoli, a zafascynowany jego odwagą kolega zrobił to samo, niestety, upadł na kamień przy torowiskach i rozwalił sobie kolano. Ojciec targał go na plecach przez całą noc przez lasy, pobił rano okazało się, że doszedł do tego miejsca, z którego wyszedł. Po latach odszukał mojego ojca, aby podziękować za ocalone życie.

Wyrastałam wśród relacji z tamtych wrześniowych dni, a potem okupacyjnej walki całej rodziny. O mojej babci miejscowi ludzie i bliscy mówili: „To prawdziwa bohaterka”. Drobna, szczupła, dumna kobieta, nigdy się nie uskarżała, żywiła, opierała ludzi z lasu, żołnierzy polskiego podziemia wojennego, mimo oblavy niemieckiej, z której jakoś cudownie ocaleli, nie bała się, tak trwała do końca. Przechowywała też całe rodziny żydowskie (nawet swego czasu „Gazeta Wyborcza” opublikowała tekst Renaty Seidler „Podziękowanie za życie dla rodziny Czerniakowskich”). Lu-



**Alina
Czerniakowska**

dzie, wspominając, nazywali ją „nasza dobrodziejka”, bo ona naprawdę żyła dla innych. Los jej nie oszczędzał, przeżyła wielkie tragedie rodzinne, śmierć młodej córki, a potem syna i męża w jednym roku, wszystko dźwigała sama, ukradkiem ocierając łzy.

Z myślą o tym wszystkim zrobiłam film dokumentalny „Ułani, ułani...” o kawalerii września, szarżach i ich najważniejszych walkach, a także losach tych pułków po 1939 r. Nigdy nie zapomnę bohaterów tego filmu, starałam się odszukać chociaż po jednym świadku – kawalerzyście z każdych znaczących szarż wrześniowych: spod Mokrej, Krojant, Wólki Węgłowej, Kocka – wracali myślami do tamtych marzeń,

walk, trudno było ukryć wzruszenie. Kochali Polskę w sposób trudny do opowiedzenia. „Polska od szczepu Piastowego, Polska chrześcijańska wszystko pokona, będzie silna w Europie i na świecie, kolejne pokolenia będą kochać Polskę” – orędowną Ignacy Jan Paderewski, a Józef Piłsudski dodawał: „W Ojczyźnie, która dumy nie znała, dumnym być uczyłem”.

Dzisiaj ta дума z polskości jest nam szczególnie potrzebna, żeby domagać się szanowania i egzekwowania naszych racji narodowych. Silne poczucie własnej tożsamości oparte na znajomości faktów, chociażby z niedawnej historii, pozwoli nam zachować godność i należne miejsce wśród innych narodów. Przed nami wielkie zadania, bo Europa nie chce znać prawdy o Polsce, która obroniła świat przed bolszewizmem w 1920 r. Polska osamotniona, dopiero co powstała po wiekowej niewoli, dokonała „Cudu nad Wisłą”. Bogate kraje Europy i świata nie chcą wiedzieć, gdzie się zaczęła okrutna, hańbiąca II wojna światowa, kto był agresorem, kto knował za plecami, przygotowując pakt Ribbentrop–Mołotow, a kto samotnie nieugięcie bronił się do ostatnich sił pod Kockiem. Unijnych decydentów nie obchodzi, kto był kolaborantem, kto szybko poddał się Hitlerowi, a kto stworzył największą podziemną armię świata i bił się zwycięsko na wszystkich frontach – od Tobruku, przez Bliski Wschód, Włochy, Francję, ocalając Londyn i wyzwając inne miasta Europy.

Bogaci przywódcy Zachodu nie lubią wspominać o Katyniu, o Jalcie, której konsekwencje trwają. Zdradzona Polska, ten wierny sojusznik, samotnie przez ponad pół wieku walczyła ze zbrodniarzami spod znaku NKWD, KGB, UB, straciła najdzielniejszych, najwspanialszych jej synów. Tej wyrwy nie udało się i nie uda zapłacić. Musimy o tym wszystkim mówić głośno, bo inaczej nasi wrogowie napiszą za nas naszą historię, zrobią z Polaków zbrodniarzy, nazistów, a światu będzie to na rękę.

Polska ciągle musi walczyć, odradzać się, jak niegdyś „bękart Europy” czy po wojnie „zapłuty karzeł reakcji”. Polska przekształcająca w zbrataniu się dwóch wielkich sąsiadów musi być dumna i silna swoją niegdyś wielkością, epokowymi dokonaniem poprzednich pokoleń i naszą dzisiejszą mądrością i odwagą.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

W Polsce, czyli nigdzie

Pewien arabski szejek błyskotliwie zauważył, że czasy trudne generują herosów, a okres „lekki, łatwy i przyjemny” sprzyja wylęganiu się pasożytów.

Fatalne położenie Polski – na centralnym „deptaku Europy”, po którego równinach przemieszczały się przez wieki wrogie nam armie – nie dawało wyboru. Mogliśmy ulec i zginąć marnie albo – wysiliwszy swój spryt, inteligencję i waleczność – przetrwać razem kolejną zawieruchę historii. I znów odrodzić się w najjaśniejszej Rzeczypospolitej! Pod koniec lat 80. byliśmy mocno poobijani, bez nadziei na wyrwanie się z komunistycznego letargu, w jaki wpędził nas stan wojenny. Solidarność została spacyfikowana, a w kraju zapanowała smuta. Jednak jako naród byliśmy wciąż monolitem: gdy przy „okrągłym stole” różowi dogadali się z czerwonymi (jak to dowcipnie spuentował tow. Czarzasty) i ogłoszono pierwsze, wolne na 33 proc. wybory – Polacy wzięli wszystkie możliwe mandaty po-



**Lech
Makowiecki**

selskie, jakie były do wyrwania z rąk moskiewskich kolaborantów!

Zapanowała euforia. Uwolniona z oków socjalistycznej ekonomii polska przedsiębiorczość eksplodowała. A ponieważ brakowało wszystkiego, najbardziej przedsiębiorczy z nas zakładali firmy, dawali pracę innym i... bogaciliśmy się na potęgę. Funkcjonowała prosta biznesowa zasada ministra Wilczka: „Co nie jest zakazane, jest dozwolone”. Zachłyszawszy się pozorną wolnością gospodarczą, przegapiliśmy niepokojące sygnały: obalenie pierwszego polskiego rządu premiera Jana Olszewskiego, złodziejską prywatyzację (Balcerowicz–Lewandowski) i powrót postkomuny do władzy. Medialne pranie mózgu (TVN, Polsat, polskojęzyczne rozgłośnie radiowe i zdominowana przez zachodni kapitał polskojęzyczna prasa) zdemoralizowało i wynarodowiło najmłodsze pokolenia Polaków. Nie znając historii i zagrożeń, młodzi biegną dziś radośnie na zderzenie ze ścianą. To może być otrzeźwienie – oby za bardzo nie boleło...

Romans z szympansem

Yes, yes, yes...!” – mógłby zakrzyknąć, a może i zakrzyknął, europoseł Robert Biedroń z Polski, czyli kraju, gdzie geje i inni „niebinarni” są prześladowani niczym Żydzi za okupacji przez nas, Polaków, bo przecież nie przez Niemców, ma się rozumieć. „Suuupcio...!” – mógłby odkrzyknąć, a może i odkrzyknął, jego konkubin czy konkubina Krzysztof Śmiszek, równie prześladowany/-a przez nas, Polaków, bo skazany na roboty w Sejmie. Niewiedzącym wyjaśniam, że konkubina albo konkubent to kobieta lub mężczyzna żyjący z sobą – jak się kiedyś mawiało – „na kartę rowerową”. Dlaczego mieliby zakrzyknąć: „Yes, yes, yes...!” i „Suuupcio...!”? Dlatego, że uchwałą parlamentu nad parlamentami, w skrócie europarlamentu, odtąd ma nie być butów nie do pary, bo to nie do przyjęcia jest we współczesnym świecie: gdy ktoś ma na przykład dwie lewe nogi, szewcy mogą mu obstałować dwa lewe buty i będzie para? A jakże!

Więc szewcy z europarlamentu obstałowali i teraz wszystkie wspólnoty euroentuzjastów mają traktować te „niebinarne” jak pary heteroseksualne. Tu znów muszę wyjaśnić nienadążającym za postępem, że „niebinarność” oznacza „wszystkie tożsamości płciowe, które łączy wyjście poza binarny podział na dwie płcie”. Zgodnie z tą wykład-



**Piotr
Cywiński**

nią nowoczesne rodziny mają tworzyć nie tylko kobieta z mężczyzną plus przychówek, lecz także on z onym, ona z oną i ci tak trochę w tę, trochę w tę, pół na pół, z przychowkiem uzyskanym z próbówki, z surogatki lub z adopcji. Rezolucja europarlamentu nie oznacza przymusu, od przymusu jest ponadrządowa Komisja Europejska. Jak wytyczył ze dwa lata temu wiceprezydent Warszawy Paweł Rabiej, równie uciskany, co europoseł Biedroń i poseł Śmiszek, po wyegzekwowaniu uznania związków spoza podziałów na dwie płcie „łatwiej będzie o równość małżeńską z adopcją”,

nie wszystko od razu.

Szkoda, że wymienieni myślą jedynie o sobie i zapomnieli o naszych braciach. Mieszkance Antwerpii Adie Timmermans, nazywającej się tak jak wiceszef Komisji Europejskiej, zakazano odwiedzania w zoo 38-letniego, a więc pełnoletniego, szympansa Chity, z którym łączy ją „romantyczna relacja”. „Pokochali się po prostu, dotykali przez szybę, wysyłali całusy, a teraz płaczą z osobna”. Jak orzekły władze zoo, romans Timmermans i szympansa „utrudniał stosunki z innymi małpami”. Więc ja, tu, z tego miejsca, apeluję w wołaczku: Robercie Biedroń, Krzysztofie Śmiszek, Pawle Rabiej i inni „niebinarni”, czy chodzi wam tylko o wasz interes?! A co z Chitą, co na to Timmermans...?!

PRZEZ ŚWIETLIK

Tylko historia

Mam nadzieję, że tygodnik „Sieci” wybaczy mi auto-reklamę, ale chciałem państwa zaprosić na własny program „Nie taka prosta historia”, który będzie emitowała TVP Historia. Przede wszystkim jednak chciałbym zaprosić do dyskusji i zwracania uwagi na pewien fakt o – teraz będzie górnolotnie – potężnym znaczeniu globalnym i który będzie miał nieobliczalny wpływ na świadomość i wiedzę naszego gatunku w przyszłości.

Seriale. Filmy też, także gry komputerowe, ale przede wszystkim seriale. Perfekcyjnie zrobione, korzystające z komputerowych algorytmów obliczających emocje i skupienie widza, uwzględniające miliardy potencjalnych odbiorców i z tej grupy dopasowane tak, by jak największą liczbę potencjalnych zamieniło się w prawdziwych. Oglądalności najpopularniejszych seriali przekroczyły trzykrotnie populację naszego kraju i w przeciwieństwie do niej rosną.

Równocześnie mamy, jak to się mawia, zjawisko przeciwnostawne. Otóż w całym zachodnim świecie tnie się naukę historii albo zmienia sposób nauczania. To już nie linearna logiczna opowieść o przemianach politycznych i społecznych

ulożonych w określonych przestrzeniach geograficznych. To narracje, opowiadki, gdzie całość dziejów sprowadza się do prześladowań kobiet lub farmerów, przygód mniejszości seksualnych, kwestii klimatycznych czy rasowych. Wyrwane z kontekstu zestawy faktów i teorii mających dowodzić pewnych tez. Mówiąc krótko, nie ma to wiele wspólnego z nauką historii.

Skąd się więc jej uczy i skąd o niej czerpie wiedzę obecne i przyszłe pokolenie? Z seriali. Kolorowych, wciągających, dopracowanych. A tam oprócz latających smoków i armii zombie, wspaniałe matriarchaty, zbrodnicze religie, II Rzeczpospolita gorsza niż nazistowskie Niemcy i starożytni mędrcy głoszący tezy bliskie dzisiejszej lewicy. A także cała masa ahistorycznych bzdur.

Oczywiście edukacja jest ważna, kultura jest ważna, wszystkie te sprawy, którymi zajmują się ważne ministerstwa. Ale oprócz tego, jeśli mamy jakoś dać sobie z tym radę, jeśli mamy ocalić przeszłość, musimy przy naszych skromnych środkach jeden drugiemu powiedzieć, jak było naprawdę. Zapraszam.



**Wiktor
Świetlik**

RZECZY POSPOLITE

Polska będzie!

W swoich wspomnieniach zatytułowanych „Bez ostatniego rozdziału” generał Władysław Anders opisał sceny, które rozegrały się pod koniec września 1939 r. – gdy został ranny w trakcie walk z Sowietami, wpadł w ich ręce i był prowadzony do więzienia. Jeden z żołdaków wykladał mu w trakcie drogi swój pogląd (a raczej po prostu to, co propaganda przekazała do głów żołnierzom Armii Czerwonej) na to, co się właśnie działo. Pośród typowej paplaniny i belkotu o „wysługiwaniu się Anglii” przez Polaków padały też inne, proste, ale jakże znaczące słowa: „My i Niemcy jesteśmy obecnie prawdziwymi przyjaciółmi i razem pójdziemy przeciwko kapitalizmowi na świecie”. Pojawilo się także zdanie, które – gdy je przeczytałem – wstrząsnęło mną do głębi. Aż na chwilę musiałem przerwać lekturę. Brzmiało ono najprościej i jak najbanalniej na świecie: „Polski już nigdy nie będzie”.

Wyobraziłem sobie, co czuł Anders. Jakby kolejna kula karabinowa przeszła ciałem. Mordercza i zimna. „Polski nigdy już nie będzie!”. Jaki to wydzźwięk musiało mieć wtedy, w ostatnich dniach września, gdy piekło wojenne nas pochłaniało i od zachodu, i od wschodu. Jak to musiało przerażająco brzmieć wobec tak czarno rysującej się przyszłości.

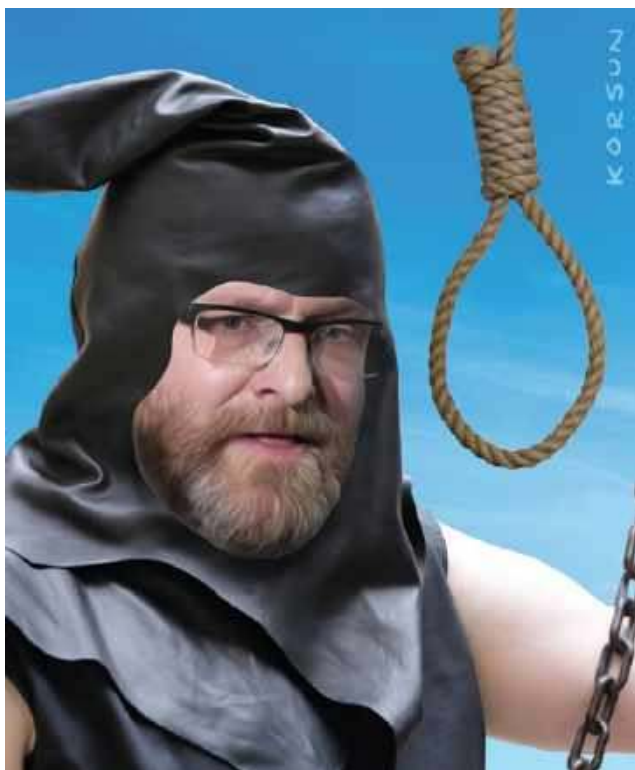
Co można było robić? Drogi były dwie: poddać się i zginąć lub walczyć do ostatniej kropli krwi, by temu sowieckiemu celowi zaprzeczyć. Wszystko, co działo się potem, temu przecież służyło. I trwanie usilne przy życiu w łagrach i miejscach zsyłki i potem formowanie wojska, przejście przez Iran, Irak, Syrię, Egipt do Włoch. I Narwik, i Tobruk. Monte Cassino i Ankona, i Bolonia. I Arnheim. I wreszcie powstanie warszawskie, którego wybuch na początku Anders uważał za błąd, a potem znowuż odwoływał się do tego, jakim ono było czynem woli żelaznej, jakim aktem bohaterskim.

Sam zresztą, gdy podejmował decyzję o udziale 2 Korpusu Polskiego w operacji „Diadem” i ataku na wzgórza wokół Monte Cassino i sam klasztor, widział sens największy tej ofiary żołnierskiej w tym właśnie, aby światu pokazać, że Polska jest i Polska walczy. Że pomimo zdrady aliantów rzucających nas wprost w paszczę Stalina, najpierw w Teheranie, a potem w Jaltie – Polska się nie poddaje. I kiedy żyją Polacy, dopóki oddech w polskiej piersi – Polska jest i będzie! Na przekór temu zdaniu, który rzucił w twarz polskiego generała ów krasnoarmiejec w 1939 r.



**Tomasz
Łysiak**

Michał Korsun prezentuje:
Grzegorz Braun i jego sejmowy savoir-vivre



Wycinki z przeszłości

„Przyjaciółka” datowana na 1 września 1974 r. zachęcała do sportowych ubrań, tym bardziej że „jeszcze kilka lat temu mało kto słyszał o zakładach Tarmilo z Tarnowskich Gór, specjalizujących się w szyciu odzieży dziecięcej, a dziś podobają się wszystkim kurtki ortalionowe tego producenta, zwłaszcza z udanej serii z nadrukiem rysunków Bolka i Lolka”. Ale – jak to w tamtych czasach – pismo zachęcało też do samodzielnego szycia dresów i innych elementów stroju.

Sporo uwagi poświęcano też pierwszemu i drugiemu śniadaniu, podając jadłospisy w sumie bardzo podobne do dzisiejszych, choć ograniczone do warzyw i owoców krajowych. Ale zachęcano też do dbania o styl jedzenia. „Dobry przykład jest jak wiadomo najważniejszy. Toteż mama, podając dzieciom pierwsze śniadanie, także powinna je spożyć w spokoju, bez ponaglania i bez wprowadzania nerwowej atmosfery. Osiągnięto, jeśli potrafi nałożyć obowiązki na starsze dzieci, które mogą na przykład smarować chleb na drugie śniadanie dla siebie i dla rodziców wychodzących do pracy, nakryć do stołu i tak dalej”.

Aktualna to rada także i dzisiaj.

(mk)



By nowych świętych do kalendarza...



Leszek Długosz

Ale w tych rymach ileż piękności! I zwróćcie uwagę na koniec wiersza, napisanego w 1942 r.

„Rymy częstochowskie”

Jan Lechoń (1899–1956)

Wszystko mi się dziś wydało jak z dziecinnej bajki.
Niebo modre jak uszyte z niezapominajki.
Organista gra nietęgo, ale tak jak czuję,
Przy nim dziad kościelny stęka, ale kalikuje.
Dwie jaskółki pod sklepieniem krążą lotem chyżym
I siakają nosem baby, które leżą krzyżem.
O! wy kwiaty mej młodości, prosto z łąki zioła,
Co na Matkę Boską Zielną znoszą do kościoła
I stawiają Częstochowskiej, by podniosła rączkę [...] *Ale piękni są też polscy w ołtarzach patroni,
Których szaty sam pan cieśla pięknie odmalował
I zielonej, i czerwonej farby nie żałował. [...]*
Święty Kazimierz w gronostajach i z chłopięcą grzywką,
A Królowa Kunegunda zaraz naprzeciwko
Trzyma pierścień, co go Pan Bóg zmienił w sól Wieliczki

Idźmy drogą, gdzie jarzębin szumi czub czerwony,
I każdemu spotkanemu mówmy: „Pochwalony”,
Bo to przecież wszystko swoi: bieda przyciśnięci,
Albo wiara do wybitki, albo Pańscy święci.
Już ich mało, lecz się jeszcze czasem jakiś zdarza,
By wciąż nowych Ojciec Święty miał do kalendarza.
Matko Czacka, która kijkiem szukasz sobie drogi
I masz w oczach niewidzących niebios spokój błogi,
I wśród głodu, nędzy, zbrodni wciąż uśmiech paniński,
Której modłów chętnie słucha Jezus Nazareński,
Między Polską a Chrystusem Ty, arko przymierz, *Włącz nas wszystkich, i mnie także, do twego pacierza.*

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Upadek powagi Zachodu

Nawet najwybitniejsi i kierujący potężnymi państwami politycy popełniają poważne błędy. Nie zawsze jednak błędy wywołują nieodwracalne skutki. Niedobre – niekiedy wprost katastrofalne – skutki pojawiają się wtedy, gdy następuje nie- zwykła kumulacja błędów. Otóż mamy wrażenie, że dzisiaj cywilizacji Zachodu właśnie coś takiego się przydarza.

DIAGNOZA

Na początku września br. prof. Przemysław Żurawski vel Grajewski w wywiadzie dla portalu wPolityce.pl mówił:

„Od początku tego roku mieliśmy do czynienia z serią posunięć, które niewątpliwie są odczytywane na Kremlu jako oznaki słabości Zachodu, wręcz demonstracyjne. Począwszy od zgody prezydenta Bidena w sprawie przedłużenia na rosyjskich warunkach układu New Start o strategicznych broniach jądrowych. Później wizytę komisarza Borrelli w Moskwie z kompromitacją powagi dyplomacji Unii Europejskiej. Następnie zgodę na Nord Stream 2 czy próbę zaproszenia Putina na szczyt UE. Należy również przypomnieć deklarację ministra spraw zagranicznych Niemiec Heiko Maasa o odmowie dostarczenia broni Ukrainie, a teraz Afganistan. To wszystko są bardzo ciężkie ciosy w powagę Zachodu i one oczywiście wywołują pokusę testowania przez Rosję, jak daleko w tej sytuacji słabości i konfuzji wewnętrznej UE oraz Stanów Zjednoczonych Kreml jest w stanie się posunąć”.

DEZORIENTACJA ELIT

Naszym zdaniem nie chodzi tylko o Rosję. I nie tylko o autorytarne kultury islamskie.

Chodzi także o naiwność zachodnich społeczeństw wyrażającą się w ślepej wierze, że demokracja, ład ustrojowy, który przyniósł dostatek i (może już nadmiarową!) wolność, sama z siebie ochroni



*W efekcie mamy polityków
potężnych państw, którzy tracą
kontakt z rzeczywistością.
Gubią priorytety*

cywilizację zachodnią. Trochę dziwi, że nawet pandemia nie zresetowała szerokiego upojenia wolnością i konsumpcją, w którym społeczeństwa Zachodu od dekad trwają.

Wyżej przywołana seria błędów ma swoje głębsze przyczyny, ale może też mieć skutki dalekosiężne, nawet wykraczające poza to, o czym mówi prof. Żurawski. Przywódcy Zachodu popełniają błędy już całymi seriami z powodów, wśród których na dwa zwrócimy uwagę.

Po pierwsze, stworzony na Zachodzie internet wytworzył nowy, zdegradowany ekosystem komunikacyjny, który zasługuje na miano „strukturalnie zatrutej infosfery”. Patrząc całościowo, internet nie jest źródłem wiedzy – stał się barierą między człowiekiem a światem i zarazem barierą utrudniającą wartościową komunikację międzyludzką. Cyberswiat rodzi zamieszanie, zamęt, zagubienie. Tworzy dezorientację, której podlega nie tylko

„lud prosty” manipulowany przez algorytmy Facebooka, lecz także politycy i mający ich wspierać eksperci.

IDEOLOGICZNE OPĘTANIE

Po drugie, m.in. w reakcji na ów zamęt, wielkie korporacje zaangażowały się w promocję tego, co Brytyjczyk Douglas Murray nazwał mianem „szaleństwa tłumów” (w wydanej także w Polsce książce „Szaleństwo tłumów: gender, rasa, tożsamość”). Z kolei Amerykanin indyjskiego pochodzenia, Vivek Ramaswamy w wydanej świeżo książce „Woke, Inc.: Inside Corporate America’s Social Justice Scam” opisuje wielki szwindel wielkich korporacji. Mianowicie wmówienie milionom ludzi, zwłaszcza młodych, że zabiegając ręką w rękę z wielkimi korporacjami o prawa mniejszości rasowych, seksualnych, o większą różnorodność, naprawdę zmniejszają niesprawiedliwości społeczne. Co ciekawe, okazało się, że od tego ideologicznego opętania (określeniem tym posługujemy się za Jordanem Petersonem) nie są wolni nawet cyniczni i szczwani politycy demokratycznego Zachodu.

BEZ POWAGI...

W efekcie mamy polityków potężnych państw, którzy tracą kontakt z rzeczywistością. Gubią priorytety. Mylą zadanie zagwarantowania bezpieczeństwa swoich społeczeństw z postulatem wolności seksualnych i promowaniem genderyzmu. Nie odróżniają, którzy z polityków krajów autorytarnych już naprawdę są niebezpieczni. Sytuacja w Afganistanie pokazała, że możemy sobie wymachiwać traktatami i rezolucjami, ale w warunkach rzeczywistego konfliktu kultur ostatecznie rozstrzyga przemoc lub gotowość do sięgnięcia po nią.

**Katarzyna i Andrzej
Zybertowiczowie**

wPolityce.pl

NAJŚWIEŻSZE INFORMACJE

nawet kiedy śpisz



WEJDŹ NA:

wPolityce.pl



NOWOŚĆ

MNOŻYMY WYGRANE

— CO 4 MINUTY —

GRAJ Z MNOŻNIKIEM!



Graj w punktach



i na

lotto.pl

eprasa.pl e1be62e630